



GLEND A SANDERS
DOKTOR HUNK



Tytuł oryginału Dr. Hunk

RS

PROLOG

- Jest gorzej, niż myślałam.

- Hmm? - Doktor Garrick Booth podniósł oczy znad roztworu wody z miodem, który mieszał w zlewomywaku z nierdzewnej stali. - Co jest gorzej, niż myślałaś?

- Z tobą! - odpowiedziała dramatycznym tonem jego siostra Kelsey, zataczając krąg ramieniem i wskazując na zwisające smętnie rolety z bambusa, prowizoryczne półki z desek ustawione na betonowych pustakach i dwa miejsca do pracy: jedno stykające się ze zlewem, podobnie jak on ze stali, a drugie z laminatu, na którym stał mikroskop, leżały lupy, stopery i notatniki. - Całe to miejsce! Twój sposób życia! Mniej więcej tak to sobie wyobrażałam, słuchając opowieści matki po jej ostatniej wizycie u ciebie.

Gere skrzywił się, po czym popchnął poplamione, wciąż zjeżdżające okulary głębiej na nos i utkwiał badawczy wzrok w siostrze. Bliźniaczo podobne złotozielone oczy odwzajemniły mu spojrzenie, Kelsey wysunęła wojowniczo do przodu dolną szczękę. Gere przygotował się na kazanie.

- Mamie bardzo się u mnie podobało - powiedział spokojnie. - Pozieleniała z zawiści.

- O, tak, jasne. Przecież ty nawet nie musisz opuszczać swojej nory. Ona musi ubierać się i jechać na uniwersytet, do pracy. Czasami nawet... - Kelsey udała, że wstrząsa nią dreszcz przerażenia - ... jest zmuszona spotykać się z ludźmi.

- Może przystąpiłabyś do sedna sprawy?

- Nikomu nie uda się zamydląc ci oczu, co? Otóż chodzi o to, mądralo, że żyjesz tu jak pustelnik. Jesteś kompletnie odcięty od cywilizacji.

Gere zakręcił plastikowy pojemnik zawierający wodę z miodem i mocno nim potrząsnął.

- Bzdura! Prenumeruję gazetę, dwa magazyny z aktualnościami i kilka czasopism naukowych. I codziennie oglądam wiadomości.

- Proszę, proszę, co za facet! - parsknęła pogardliwie Kelsey. - Wie wszystko o trzęsieniach ziemi na drugim końcu świata, kto kandyduje do Kongresu, a nie potrafi zamienić dwóch słów z drugim człowiekiem. Kiedy ostatnio z kimś rozmawiałeś?

- Pani Northbrook przychodzi do mnie w każdy czwartek i zawsze sobie gawędzimy.

- Pani Northbrook?

- Sprząta dom i robi zakupy.

- A ile ona ma lat?

- Nie mam pojęcia. Nigdy jej o to nie pytałem.

- Co gorsza, nawet nie zwróciłeś na to uwagi.

- A właśnie, że tak. Jest... no, nie jest raczej młoda, ale też nie stara. Tak gdzieś pośrodku.

- Gdzieś? - powtórzyła kpiącym tonem Kelsey.

- To niegrzecznie pytać kobietę o wiek.

- A o czym rozmawiasz z panią Northbrook?

- O zakupach. - Garrick wzruszył ramionami.
- A także o tym, czy podłogi wymagają woskowania, czy wystarczy je przetrzeć wilgotną ścierką.
- Ach, jakie to błyskotliwe.
- Czemu miałybyś nie przyłączyć się do nas w czwartek? Zapraszam cię na herbatę i bułeczki maślane.
- I co jeszcze? Widzę, że jesteś ogromnie z siebie zadowolony. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.
- W Paryżu? Ryżu?
- Kelsey wzniosła oczy do nieba.
- Jesteś beznadziejny, Gere. To powiedzonko ma już taaaką brodę, a ty go nie znasz.
- Co chcesz mi udowodnić?
- Nie udawaj, że nie rozumiesz! Nie jest to trudne zadanie dla naukowca z dwoma doktoratami, nawet najbardziej nieprzytomnego.
- Owszem, nie rozumiem. O co ci chodzi?
- Natychmiast pożałował swego pytania. Kelsey, choć o cztery lata młodsza, zawsze miała tendencję do matkowania mu. Nie był pewien, czy stanowiło to jej wrodzoną cechę, czy też rekompensowała sobie w ten sposób brak własnego potomstwa. Stała z rękami wspartymi na biodrach, w pozie wyrażającej pobłażliwą cierpliwość.
- To nie jest normalne, Gere. Nigdzie nie wychodzisz.
- Bo nie potrzebuję. Wszystko mam na miejscu, a gdy czegoś mi brakuje, wpisuję to na listę dla pani Northbrook.
- Poświęcasz się wyłącznie pracy! Nie prowadzisz żadnego życia towarzyskiego. Nie rozmawiasz z rówieśnikami. Kiedy byłeś ostatnio na randce? - Nie pozostawiała mu czasu na odpowiedzi. - Kiedy całowałeś się z kobietą?

- Nie wścibiaj nosa w cudze sprawy.
- Jako twoja siostra mam do tego prawo. Nie możesz dalej prowadzić takiego życia. Przy tobie Howard Hughes jest ekstrawertykiem.

- Zrzędzisz!
- Jako twoja siostra mam do tego prawo.
- Czy, gdybym zachorował na zapalenie wyrostka robaczkowego, fakt, że jesteś moją siostrą, upoważniłby cię do przeprowadzenia operacji?

- Widzisz? Stajesz się cynikiem. Pewnego dnia otworzysz usta, by coś powiedzieć, i przekonasz się, że twoje struny głosowe zanikły.

- Teraz ty jesteś śmieszna! Codziennie rozmawiam z psami.

- I pewnie liżą cię za uszami i ogrzewają w nocy?
- Nie bądź wulgarna, Kelsey.
- Próbuję ci uświadomić, jak... nienaturalna jest ta sytuacja. W przyszłym tygodniu stuknie ci trzydziestka, a nie dziewięćdziesiątka. Jesteś zdrowym mężczyzną. Musisz myśleć o kobietach. Czy nigdy nie czujesz się samotny?

Gere zacisnął zęby i zajął się nasączeniem wodą z miodem gąbek ułożonych na siatce, którą były nakryte małe plastikowe klatki. W klatkach znajdowały się ćmy.

- Jestem zbyt zajęty, by odczuwać samotność.
- Każdy czasami musi ją odczuwać.
- Jeśli tak się stanie - skrzywił się Gere - wtedy będę się o to martwić.

Kelsey odczekała chwilę, po czym rzekła cicho:

- Wiedziałam, że zostaniesz zraniony. Masz klapki na oczach i nie widziałeś, co się dzieje.

- Czego nie widziałem? - Gere udał głupiego.

- Że ty oraz instytut jesteście zaledwie ciekawym interludium dla doktor Sondry Updike, podczas gdy ty myślałeś...

- Słucham, słucham, nie krępuj się. Powiedz, co myślałem.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że uważałeś Sondrę i siebie za wspaniały zespół w pracy i w życiu, na zawsze. Taki jak nasi rodzice.

- No i co z tego? Pó prostu nam nie wyszło.

- Ta wiedźma przypisała sobie wszystkie zasługi i wykorzystała waszą wspólną pracę jako odskocznię do przyszłej kariery. Musiało cię to zabołec, Gere. Czemu nie chcesz się do tego przyznać?

- To stara historia. Marzyła o sławie i prestiżowej pozycji wykładowcy. Ja wolałem pozostać tutaj i pracować. Odjechała, ja zostałem. Jakoś to przeżyłem.

- Doprawdy? - spytała wojowniczo Kelsey.

- Przystaw mi lusterko do ust. Oddycham.

- Rzeczywiście. Oddychasz. Pracujesz. Ale trudno to nazwać życiem,

Gere wyglądał jak chmura gradowa, co przyhamowało nieco Kelsey. Przyglądała mu się, zatroskana.

- Nie pozwól, żeby mit zniszczył i ciebie, Gere.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Mówię o naszych rodzicach., Stanowili idealny zespół. W miłości i nauce. Jedność celów. Aż w końcu ojciec umarł, a matka zagrzebała się w pracy.

- Prowadzi bardzo ważne badania.

- Mmm-hmm. A co poza tym? Odcięła się od wszystkiego i wszystkich, nawet od własnych dzieci.

- Zawsze się o nas troszczyła.

- Za pośrednictwem wynajętych osób - odparła Kelsey. - Ale mówimy teraz o tobie. Wciąż jeszcze

można cię uratować i nie zamierzam przypatrywać się w milczeniu, jak wzorujesz się na jej życiu i zmierzasz ku samozagładzie.

- To pewne, że nie będziesz milczała.

Przez chwilę piorunowali się wzrokiem.

- Grzebiesz się żywcem - ostrzegła.

- Posłuchaj, Kelsey, ty lubisz mieć ludzi wokół siebie. Lubisz gry zespołowe, lubisz dyrygować wszystkimi, zostałam więc trenerką i teraz otaczają cię uczniowie, którzy muszą robić to, co im każesz.

- Nie rozmawiamy o mnie.

- Chciałem wyłącznie podkreślić dzielące nas różnice. Odpowiada ci to, co robisz...

"- Absolutnie.

- To widać - rzekł sucho Gere. Rzeczywiście, emanowała z niej spokojna pewność siebie i zadowolenie, w jej jasnobrazowych włosach igrały promienie słońca, lekko oliwkowa skóra miała zdrowy wygląd. - A mnie odpowiada moja praca. Nie muszę być wciąż otoczony ludźmi, nie lubię zgiełku i grzecznościowych rozmówek.

- Nikt od ciebie nie oczekuje, żebyś stał się towarzyskim motylem. - Zachichotała. - Nie próbowałam być zabawna.

- No i udało ci się.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś docenić entomologiczny żart. Towarzyski motyl...

Tak ją ucieszył przypadkowy kalambur, że Gere'owi zaświtał promyk nadziei, iż zapomni o swoim kazaniu. Niestety.

- Może niepotrzebni ci są ludzie, gdy pracujesz, ale jesteś przecież istotą ludzką. Musisz mieć jakieś towarzystwo.

Gere parsknął pogardliwie, co tylko jeszcze bardziej rozdrażniło Kelsey.

- Przyjrzyj się sobie, Gere - powiedziała, podnosząc dłoń w dramatycznym geście. - Jesteś przystojnym mężczyzną. Kiedy ostatni raz byłeś u fryzjera?

- To... podstrzygłem je trochę, gdy...

- Jak długo jeszcze masz zamiar nosić okulary sklezione przylepcem?

Gere mimowolnie podniósł rękę i poprawił okulary na nosie.

- To moje zapasowe okulary. Dobre mi się stłukły, a recepta była już przeterminowana i optyk nie chciał jej przyjąć. W przyszłym tygodniu idę na badanie wzroku... O, cholera!

- W przyszłym czy w tym? - spytała Kelsey.

- W zeszłym - odpowiedział Gere ponuro.

- Och, Gere - równie ponuro westchnęła Kelsey.

- Umówię się na pewno. Te nie są zbyt wygodne.

- Kiedy ostatnio kupiłeś sobie koszulę?

Gere spojrzał na koszulę ze znaczkiem Harvardu na piersiach.

- Koszulę? To ostatnia koszula, jak mi pozostała z czasów studiów.

- Doprawdy? A więc ma zaledwie osiem lub dziewięć lat.

- Jest czysta. I miękka.

- Nie ma rękawów.

- Obciąłem je. Były za długie na Florydę. Teraz są idealne.

- A te szorty?

- To moje ukochane džinsy. Przetarły się na kolanach, więc je obciąłem. Też są idealne.

- Przynajmniej buty ujdą. Mokasyny bez skarpetek, to już lepiej.

- Nie miałem czystych skarpetek - wyjaśnił Gere.

- Co mi przypomina, że zbliżają się moje urodziny.

Czemu nie miałybyś mi podarować kilku par skarpetek?

Nie podobał mu się uśmiech, który zakwitł na twarzy Kelsey. Był przebiegły i, jeśli się nie mylił, trochę sadystyczny. Poczuł się niewyraźnie.

- Zaplanowałam już prezent na twoje urodziny, mądralo - powiedziała. - Coś znacznie lepszego i znacznie ciekawszego niż skarpetki.

Gere próbował wmówić sobie, że uczucie przerażenia, które go ogarnęło, jest niczym nie usprawiedliwione. Przecież Kelsey zamierzała pozostać na Florydzie zaledwie kilka dni. Gdy nadejdą jego urodziny, będzie już w Indianie. Co drastycznego może wymyślić, gdy znajdzie się ponad półtora tysiąca kilometrów stąd?

To rozumowanie bynajmniej go nie uspokoiło. Poczulby się znacznie lepiej, gdyby spytała, jakiego koloru skarpetki chce dostać.

ROZDZIAŁ

1

Listonoszka Shelley Peters, sortując listy, zmarszczyła nos i przyjrzała się jeszcze raz eleganckiej brzoskwiniowej kopercie. Była tak przesiąknięta zapachem drogich perfum, że nawet koń dostałby ataku kichania. Shelley przypatrzyła się dokładnie adresowi wypisanemu brązowym atramentem dużym kobiecym charakterem pisma. Lata praktyki wyrobiły w niej umiejętność wyławiania z adresu wyłącznie nazwy i numeru ulicy, tym razem jednak rzuciło jej się w oczy również nazwisko. Roześmiała się cicho. Doktor Hunk? *

Ulica wymieniona w adresie znajdowała się na końcu jej zwykłej trasy. Powodowana ciekawością, przerzuciła kilka kopert w przegródce. Jeśli się nie myli, pod tym numerem... Tak, pamięć jej nie zawodzi. Mieści się tam placówka badawcza o dziwnej nazwie. Dom z ogrodzonym podwórkiem i dwoma dalmatyńczykami, ujadającymi histerycznie na jej dżipa, gdy podjeżdżała, by wrzucić pocztę do skrzynki. Mieszka tam doktor, który prenumeruje sporo czasopism nau-

* hunk - (ang.) żartobliwie mężczyzna silnie umięśniony, kulturysta.

kowych. Nie mogła przypomnieć sobie jego nazwiska, była jednak pewna, że nie nazywał się Hunk.

Booth! Tak. Doktor Garrick Booth. Na to nazwisko opiewał rachunek telefoniczny dla Instytutu Badań Entomologicznych i Chemicznych. Shelley pokręciła głową. Cóż za dęta nazwa. Słowo entomologia kojarzyło jej się z czymś niejasno, ale od czasu ukończenia przez nią liceum minęło już dziesięć lat.

Zabawne, pomyślała Shelley, jak ludzie wyrabiają sobie z góry zdanie o innych. Zawsze wyobrażała sobie nieznanego doktora jako starszego, roztargnionego mola książkowego. Najwyraźniej kobieta z Kansas o ładnym charakterze pisma, używająca drogich perfum, miała zupełnie inną wizję tajemniczego naukowca.

Wzruszywszy ramionami, Shelley wsunęła list skierowany do doktora Hunka do przegródki, w której znajdowała się reszta korespondencji instytutu, mimo woli marszcząc nos, gdy poczuła intensywny zapach perfum.

Gdy listy zostały już posortowane, umieściła je na długich tacach w kolejności, w jakiej miały być dostarczone, załadowała do dzipa i ruszyła w drogę.

Tego ranka ruch nie był zbyt duży. W porównaniu z pobliskim Orlando czy zatłoczonym przedmieściem Seminole, gdzie dorastała Shelley, w Tropical City trudno było w ogóle mówić o „ruchu”. Było to małe leniwe miasteczko, jeden z ostatnich wiejskich azylów uparcie odpierających zakusy Orlando. Poza urzędem pocztowym w śródmieściu znajdowały się dwa banki, tani sklep z artykułami gospodarstwa domowego, trzy sklepy z konfekcją, ratusz miejski, komisariat policji i dwie kawiarenki. Shelley przejeżdżała obok nich codziennie na początku swej trasy, która obejmowała niewielki fragment miasta, półtora kilometra na północ od centrum. Następnie wyjeżdżała na kręte wiejs-

kie drogi, gdzie domy były rzadko rozsiane. Wczesnym popołudniem brzoskwiniowa koperta znalazła się na wierzchu sterty listów i intensywny zapach perfum aż kręcił w nosie w rozgrzanym samochodzie. Na szczęście za chwilę list znajdzie się w skrzynce doktora.

Jak zwykle dwa daknatyńczyki, bawiące się na wielkim trawniku przed domem, powitały ją histerycznym szczekaniem, gdy zatrzymała dżipa przed furką. Dziękując Bogu, że znajduje się po drugiej stronie ogrodzenia, zaczęła przemawiać do nich łagodnie, na wypadek gdyby przyszła im ochota przesadzić płot.

- Cześć, pieski. Jak się dziś miewacie? Pilnujecie instytutu, co?

Psy uspokoiły się i usiadły, obserwując, jak wkłada do skrzynki rachunek telefoniczny, brzoskwiniową kopertę oraz czasopismo naukowe.

- Rozmawiają tu z wami, prawda? Na pewno jesteście przyjacielskie. Cały ten hałas to tylko dla pozoru, co?

Jednocześnie przesuwała spojrzeniem po rozległym terenie Instytutu Badań Entomologicznych i Chemicznych. Nie miała pojęcia, czy tajemniczy doktor Booth jest przystojny, ale jego instytut sprawiał imponujące wrażenie. Ogrodzony trawiasty plac miał około pół hektara powierzchni, stykające się z nim tereny leśne przynajmniej ze dwa. Garaż znajdował się dobre pięćdziesiąt metrów od bramy z kutego żelaza, do której prowadził podjazd. Pośrodku trawnika stał dom z cegły, zbudowany według dość przypadkowego planu, wyglądający raczej na budynek mieszkalny niż na bazę naukową.

Shelley była ciekawa, czy doktor mieszka tam, czy tylko pracuje. Próbowwała przypomnieć sobie, czy oprócz korespondencji służbowej dostaje również listy

prywatne, ale nie mogła, ponieważ w całej poczcie, którą wkładała do tej skrzynki, jej uwagę zwróciła wyłącznie wyszukana nazwa instytutu.

Teraz wszystko zmienił list w brzoskwiowej kopercie. W przyszłości będzie uważniej przyglądać się korespondencji, przynajmniej dopóki nie zobaczy na własne oczy nieuchwytnego doktora Hunka!

Poza instytutem, na trasie zostało jej jeszcze kilka domów, stacja benzynowa, kościół, złomowisko samochodów i sklep spożywczy. Jako listonoszka zatrudniona na umowę, otrzymywała wynagrodzenie nie za przepracowane godziny, lecz za liczbę przystanków na trasie, toteż jak większość jej kolegów nie korzystała z przerwy na posiłek, wołała przekąsić coś pod drodze, by skończyć pracę wczesnym popołudniem. Podczas długiego, florydzkiego lata nabrała zwyczaju wstawiania do chłodzonej wody sodową w klimatyzowanym wnętrzu sklepu spożywczego.

Dziś było podobnie. Uśmiechając się, wręczyła plik listów ekspedientce Pauli. Trzydziestoletnia, pulchna blondynka odwzajemniła uśmiech i powiedziała:

- Mam nadzieję, że dziś same dobre wiadomości.
- Wydaje mi się, że widziałam list od Mela Gibsona z dopiskiem „poufne” - zażartowała Shelley. Podeszła do saturatora z wodą sodową i napełniła szklanekę, po czym wróciła do kontuaru, by zapłacić za napój.
- Wciąż tak gorąco? - spytała Paula.
- Nie tak strasznie jak w zeszłym tygodniu. W powietrzu czuje się już tchnienie jesieni.
- Chyba tak. U mojego taty nasiliły się objawy alergiczne. Nazywa to przekleństwem jesieni. Odkąd pamiętam, kicha przez cały wrzesień.

- Mieszkaś od dziecka w Tropical City, prawda?
- Tak. Jestem przedstawicielką zagrożonego gatunku: rdzennych mieszkańców Florydy.

- Czy wiesz coś o placówce badawczej przy Palmetto Road? - spytała Shelley, korzystając z okazji, że w sklepie nie było tłoku.

- Jakiej placówce badawczej?

- Instytut Badań Entomologicznych i Chemicznych.

- Ach! -wykrzyknęła Paula, jak gdyby pod jej zbyt żółtą grzywką zabłysnęła nagle żarówka. - Mówisz o domu Hoffmanna. Jakiś dziwaczny doktor kupił go po rozwodzie Hoffmannów. Co za historia! Podobno Hoffmann wrócił wcześniej z podróży służbowej i przyłapał żonę *in flagranti*. Coś okropnego!

- Dziwaczny? - naciskała dalej Shelley.

- Każdy, kto zarabia na życie badaniem owadów, jest dziwakiem.

Ach, tak, pomyślała Shelley, więc to właśnie oznacza słowo entomologia.

- Opisali go kiedyś w gazecie - powiedział Paula.

- To jakiś geniusz.

- Ile ma lat?

- Kto to wie? - Paula wzruszyła ramionami.

- Nikt go nie widział. Większość ludzi nazywa go szalonym naukowcem. Ale musi być bogaty.

- Bogaty?

- Ten dom i cały teren! Musiał zapłacić za wszystko z pół miliona dolarów.

A więc mamy dziwaczного, bogatego geniusza, który otrzymuje listy adresowane do doktora Hunka. Miała o czym myśleć, gdy wyjeżdżała w swoją trasę, tym bardziej że listy do doktora Hunka wciąż nadchodziły.

W różnych kopertach.
Pachnące różnymi perfumami.
Z różnych zakątków kraju.

- Gere, co za miła niespodzianka!

Gniew Gere'a sięgnął zenitu, gdy usłyszał kpiący ton siostry. Byłaby kompletną idiotką, gdyby nie spodziewała się telefonu od niego!

- Przestań mi mydlić oczy! Wiesz, czemu dzwonię.

- Pewnie chcesz, żebym ci złożyła życzenia urodzinowe.

- Masz szczęście, że jesteś tak daleko, inaczej mógłbym się posunąć do przemocy fizycznej. - Dobrze, że nie wsiadł w najbliższy samolot i nie skręcił jej karku.

- Czy tak się rozmawia z oddaną siostrą?

- Jak śmiałaś... opublikować mój adres w... w... takim szmatławcu?

- Och, Gere, nie bądź taki melodramatyczny - roześmiała się Kelsey. - To jedna z najpopularniejszych rubryk matrymonialnych w kraju.

- A więc przyznajesz się, że zamieściłaś to ogłoszenie?

- Czy się przyznaję? Oczywiście. Powiedziałam ci, że mam dla ciebie coś specjalnego na urodziny.

- „Ekspert w dziedzinie rozmnażania owadów poszukuje duchowego partnerstwa i zmysłowej podniety. Proszę przesyłać perfumowane odpowiedzi do doktora Hunka.”

- Istny majstersztyk, prawda? - spytała z dumą Kelsey.

- To parodia! Naruszenie mojej prywatności! Mój adres. Moja praca. Jeśli ktokolwiek z branży to przeczyta, będę skompromitowany.

- Daj spokój! Te ogłoszenia są niczym ciemne bary, do których żonaci mężczyźni zapraszają zameżne kobiety. Gdyby ktoś je zobaczył i zaczął o tym rozpowiadać, musiałyby wyjaśnić, gdzie i dlaczego je widział.

- Wszystko się wyda, zobaczysz. Nie ma zbyt wielu entomologów, a ja jestem jedynym naukowcem w Tropical City. Stanę się pośmiewiskiem.

- Staniesz się obiektem podziwu i zazdrości. Laborantki będą ci się ścieliły da stóp, doktorze Hunk.

- Na miłość boską, Kelsey! Babcia padłaby trupem, gdyby usłyszała, co mówisz. Nie wiem, skąd ty bierzesz takie powiedzonka.

- Jestem dzieckiem podmienionym przez wróżki, zapomniałeś? Jedyna w rodzinie, która nie poświęciła się karierze naukowej. Podczas gdy wszyscy ślęczą nad mikroskopami, ja żyję w prawdziwym świecie. Próbuję cię do niego wciągnąć. Zaczekaj chwilę, dobrze?

Zirytowany Gere usłyszał, jak woła do kogoś:

- Hej, chłopcy, ściszcie trochę telewizor. Mam międzymiastową. - Po czym wyjaśniła Gere'owi: - Pokój nauczycielski jest nieduży, a nauczyciele angielskiego oglądają operę mydlaną w telewizji. Co mówiłeś?

- Podałaś mój adres, Kelsey! A jeśli jakaś kobieta pojawi się na moim progu?

- Brawo dla niej! Może okaże się piękna? A przynajmniej będzie istotą ludzką.

- Nie wiadomo jacy niezrównoważeni... zbrojeńcy czytują takie ogłoszenia! Niektóre kobiety mogą działać pod wpływem obsesji, jak ta w... Jak się nazywał ten film, który wypożyczyłaś, będąc u mnie?

- „Fatalne zauroczenie”. To mało prawdopodobne, Gere. Zresztą potrafisz się zabezpieczyć. Jesteś zdrowym osobnikiem. Poza tym masz psy.

- Cieszę się, że cię to bawi. - Była doprawdy niemożliwa! Rubryka matrymonialna. Najbardziej niedorzeczny z pomysłów.

- Wydało mi się to podniecające - powiedziała Kelsey. - Chciałam wstrząsnąć twoją szarą, uporządkowaną egzystencją i chyba mi się to udało. Czemu nie przeczytasz tych listów? Może któryś ci się spodoba?

- Masz specyficzne poczucie humoru, Kelsey.

- Ponieważ jestem pierwszym od trzech pokoleń członkiem rodziny Boothów, który robi użytek z poczucia humoru. Teraz pracuję nad tobą.

Gere zacisnął palce na słuchawce telefonicznej.

- Mam duże poczucie humoru. Właśnie wczoraj mój kolega opowiedział mi świetny dowcip o krótkowzrocznej ćmie, która...

- Oszczędź mi entomologicznych dowcipów, dobrze? Posłuchaj, zaraz zacznym zajęcia, a poza tym...

- Tak?

- Przepadam za rozmowami z tobą, ale proszę nie dzwoń więcej do szkoły, chyba że w nagłym wypadku.

- To był nagły wypadek.

- Naprawdę muszę już iść, zaraz będzie dzwonek. Pa, pa, braciszku. Baw się dobrze swoją korespondencją.

Gere odwiesił ze złością słuchawkę. Dobrze jej mówić. Jeśli ktoś się dowie o tej sprawie, stanie się pośmiewiskiem całego środowiska naukowego.

Nie miała racji! Jego życie wcale nie jest szare, ma interesującą pracę. Poza tym z pewnością nie można mu odmówić poczucia humoru. Na samą myśl o krótkowzrocznej ćmie wybuchnął głośnym śmiechem.

Może Kelsey rzeczywiście została zamieniona? Natychmiast pokręcił głową, odrzucając teorię opartą na przesądzie. Nie, przecież jest naukowcem, a naukowcy nie wierzą w takie bzdury.

Shelley nacisnęła ponownie dzwonek i czekała niecierpliwie, podczas gdy zza ogrodzenia dalmatyńczyki śledziły ją groźnym wzrokiem.

Niestety! A już myślała, że uda jej się zobaczyć nieuchwytnego doktora Hunka. Usiadła z westchnieniem w dziupie, przetarła twarz papierowym ręcznikiem i napiła się wody z plastikowej butelki. Mimo października było wciąż okropnie gorąco. Następnie wypełniła blankiet awiza i wsunęła go do skrzynki. Schowała z powrotem poleconą przesyłkę, którą miała doręczyć doktorowi. No, jeśli nawet nie odbierze jej osobiście, to przynajmniej będzie miała okazję czegoś się o nim dowiedzieć.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk wody, po czym wyjechała na drogę.

Gere wyszedł przed dom tylko po to, by zobaczyć tył odjeżdżającego dżipa pocztowego. A więc jednak słyszał dzwonek. Zajęty pracą w laboratorium nie był tego pewny. Pomyślał, że pewnie przywieziono mu zamówienie do laboratorium lub nowe okulary.

Psy omal go nie przewróciły z radości. Śmiejąc się, głaskał je na zmianę.

- Cześć, Wigglesworth. Dobry pies. Co słychać? A u ciebie, von Frisch? Czy Wigglesworth traktuje cię jak należy?

Żółta karteczka w skrzynce potwierdziła, że listonosz rzeczywiście musiał dzwonić. No cóż, jutro jest czwartek, wyśle na pocztę panią Northbrook po odbiór przesyłki.

W piątek rano, ledwie Shelley zdążyła pchnąć ciężkie drzwi prowadzące do służbowych pomieszczeń, usłyszała męski głos wykrzykujący jej imię. Przystanęła, rozglądając się, kto ją woła.

- Cześć, George. Co się stało?

- Chciałaś coś wiedzieć o przesyłce poleconej dla Bootha?

- Przyszedł po nią? - spytała niecierpliwie, zadowolona, że trafiło na George'a. Był nie tylko urzędnikiem o największym doświadczeniu, lecz i najbardziej kompetentnym. A co najważniejsze, był po prostu naprawdę sympatyczny. - Jak wyglądał? - naciskała dalej, wiedząc, że George jej wszystko opowie.

- To nie był on, lecz ona.

- Kobieta? - zdumiała się Shelley. Nawet jej nie przeszło przez myśl, że doktor Hunk może być żonaty albo mieszkać z kochanką. Nigdy nie miała żadnych przesyłek dla pani Booth, dla nikogo poza doktorem lub instytutem badawczym. - No cóż, jak wyglądała?

- Byłem pewny, że o to zapytasz - powiedział George, celowo się z nią drażniąc.

- Geooorge - jęknęła błagalnie Shelley.

- No dobrze. Przewidziałem, że będziesz ciekawa, więc przyjrzałem się jej dokładnie. Miała szpakowate włosy, drelichową spódnicę i praktyczne buty. Wyglądała jak typowa gospodyni.

- Gospodyni?

- To właśnie powiedziała, że jest gospodynią doktora. Chciała odebrać paczkę, ale ponieważ była to przesyłka polecona, nie mogliśmy jej wydać.

- Czy powiedziała coś... interesującego?

- Interesującego?

- O doktorze.

- Nie. Tylko że pewnie zadzwoni z prośbą o ponowne dostarczenie paczki, ponieważ nie zechce mu się jechać na pocztę.

- Czy powiedziała... Czy on jest... niesprawny?

- Nic nie mówiła. - George spojrział na nią pytającym wzrokiem. - A co ty masz wspólnego z doktorem?

- Na razie nic - skrzywiła się Shelley. - Nigdy go nie widziałam. Po prostu przychodzą do niego interesujące listy.

- W jakim sensie? - George był wyraźnie zaintrygowany.

- Pastelowe, perfumowane, drogie.

George gwizdnął z uznaniem.

- Zaadresowane do doktora Hunka.

- Żartujesz!

- Wcale nie. Odkąd dostarczam pocztę, zawsze przychodziły jakieś naukowe czasopisma i wyraźnie służbowa korespondencja kierowana do doktora Bootha lub do instytutu badawczego. A potem, bęc! Perfumowane listy do doktora Hunka.

- Myślisz, że doktor ma przyjaciółkę?

- Przyjaciółkę? Raczej harem. Listy przychodzą ze wszystkich stron.

- Napisał do jakiejś rubryki, czy co?

- Na to wygląda - powiedziała Shelley, po czym dodała w zamyśleniu: - Może jest samotny.

- Chciałabyś dotrzymać mu towarzystwa? - dokucał jej George.

- Może - uśmiechnęła się Shelley - jeśli jest dość atrakcyjny.

- Wysoki, szczupły, przystojny brunet?

- Z kupą forsy - dodała Shelley.

- Mowa!

- Który wspaniale całuje.

- Wy, współczesne kobiety, wszystkie na to lecicie, co? - spytał sucho George.

- Wolno marzyć o ideale - powiedziała, wzruszając ramionami.

- Tak. Możesz sobie marzyć dalej. Ja mam jeszcze trochę roboty, zanim otworzę swoje okienko.

- Ja też - zapewniła Shelley. Starła się, by zabrzmiało to obojętnie, ale w głębi duszy nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie polecona przesyłka do doktora Hunka znajdzie się ponownie w jej dzipie. - Dzięki, George.

- Nie ma za co - odrzekł George, przytrzymując ciężkie drzwi i przepuszczając ją przodem.

Shelley przejrzała szybko przesyłki polecone, by stwierdzić, że paczka do doktora Bootha znalazła się na powrót wśród poczty, którą miała rozwieźć.

Uradowana, że szansa ujżenia jeszcze dziś na własne oczy doktora Hunka znacznie wzrosła, Shelley zajęła się sortowaniem zwykłej poczty.

Gdy w jakiś czas później podjechała do bramy instytutu, okazało się, że jest ona otwarta, a psów nie ma w zasięgu wzroku. Zatrzymała dżipa mniej więcej w połowie podjazdu, po czym podeszła do drzwi wejściowych.

Na dźwięk dzwonka rozległo się gwałtowne ujadanie, a następnie odgłos kroków. Stanowczy głos uciszył psy i nagle drzwi się otworzyły, a przed Shelley stanął rozczochrany mężczyzna w wystrzępionej koszuli, obciętych dżinsach i najohydniejszych okularach, jakie w życiu widziała.

- Przesyłka polecona dla doktora Garricka Bootha - powiedziała.

- To dla mnie.

- Pan jest doktorem Boothem? - spytała Shelley z powątpiewaniem.

To miał być doktor Hunk?!

ROZDZIAŁ 2

Młoda kobieta, która przywiozła mu przesyłkę, nie wyglądała na to, by miała szczególną ochotę ją zostawić. Gere poprawił okulary zsuwające mu się na czubek nosa, mając nadzieję, że paczka zawierała zamówioną przez niego nową parę.

- Czy mam pokazać dowód tożsamości?

- Nie, poproszę tylko o podpis - powiedziała, podsuwając mu paczkę i długopis. - Tutaj.

Gere podpisał się.

- I co?

Młoda kobieta wzięła z powrotem paczkę, oderwała perforowaną kartkę, którą właśnie podpisał, i zwróciła mu pudełko.

- To również dla pana. - Podała mu z uśmiechem plik listów, zawinięty w czasopismo. - Nie będzie pan musiał chodzić do skrzynki.

Patrzył na nią, nie zwracając najmniejszej uwagi na koperty, które wziął automatycznie z jej ręki, zafascynowany zmianami, jakie uśmiech spowodował w jej twarzy. Ze spostrzegawczością badacza zauważył ciepły blask jej oczu, wygięte ku górze kąciaki ust, dołeczki, które utworzyły się w okrągłych policzkach, pełne wargi.

- Miłego dnia, doktorze Booth - powiedziała ciepłym, melodyjnym głosem.

Odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. Nie przestawał jej się przyglądać. Złote włosy lśniły w słońcu, poruszała się z nieuchwytnym wdziękiem. Pod krótkimi szortami miała kragły i ponętny tyłeczek, nogi zgrabne i gładkie, silne, lecz szczupłe.

Gere'owi podobała się zarówno całość, jak i jej poszczególne elementy. Miał uczucie, jak gdyby bez ostrzeżenia zainkasował cios prosto w splot słoneczny - a jednak było to cudowne. Bezwiednie zaczął iść za dziewczyną, jak gdyby przyciągany niewidzialną siłą.

Wyczuwając jego obecność, Shelley przystanąła.

- Słucham, coś nie w porządku?

Gere oprzytomniał. Co ma powiedzieć tej kobiecie? Zadała mu pytanie i czeka na odpowiedź.

Czuł się jak kompletny idiota. Nie miał zielonego pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji, na szczęście uratowały go Wigglesworth i von Frisch, które wybiegły z domu, zaniepokojone obecnością obcej osoby na podwórku.

Dziewczyna wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu, pozwalając, by psy obwąchiwały jej buty, kostki, kolana.

- One nie gryzą, prawda? - spytała ostrożnie.

- Są po prostu ciekawe - odpowiedział z ulgą Gere. Chciał dodać jakieś przeprosiny, ale wydawała się nie mieć nic przeciwko psom. Wyciągnęła rękę, żeby mogły ją obwąchać.

- Jest pani przyzwyczajona do psów? - spytał.

- Pracuję jako doręczycielka poczty - odrzekła.

- Psy stanowią ryzyko zawodowe.

Uklękła, by pogłaskać zwierzęta, a jego ukochane dalmatyńczyki poddały się pieszczotom z absolutnym brakiem godności. Gere rzucił okiem na trzymane

w ręku listy i zauważył nietypową, żółtą jak masło kopertę. Nie musiał jej odwracać, po prostu wiedział, że jest zaadresowana do doktora Hunka i pachnie jak stoisko perfumeryjne w domu towarowym. Jak długo jeszcze będzie otrzymywał odpowiedzi na to diabelskie ogłoszenie?

Nagła myśl niemal zjeżyła mu włosy na głowie. Jeśli ta kobieta zawsze dostarcza mu pocztę, z pewnością musiała zwrócić uwagę na listy. Co sobie o nim pomyślała?

- Czy jest pani... czy doręcza pani pocztę codziennie?

- Od poniedziałku do piątku. W soboty zastępuje mnie zmienniczka.

Domyślił się, że widziałam listy do doktora Hunka, stwierdziła w duchu Shelley. Był wyraźnie zakłopotany, jego nieśmiałość sprawiała sympatyczne wrażenie.

- Jak się wabią? - spytała, celowo zmieniając temat.

- Wigglesworth i von Frisch - odpowiedzieli.

- Co za niezwykle imiona.

- Zostały tak nazwane na cześć entomologów.

- Ach! - Podniosła się. - Pan... zajmuje się badaniem robaków, tak?

Kąciki ust wygięły mu się w lekkim uśmiechu.

- Tak, rzeczywiście.

Shelley pomyślała, że wcale nie jest taki brzydki. Po prostu trochę... zaniedbany.

- Mój brat kupuje tuzinami świerszcze.

- Świerszcze?

- Dla swoich gadów.

- Czy jest herpetologiem?

- Nie - roześmiała się Shelley. - To po prostu dzieciak, który lubi jaszczurki.

- Rozumiem. A jaszczurki lubią świerszcze.
- Przeważnie. Ale Annabel zawsze była wybredna.

Nie je nic od przeszło tygodnia. Kevin okropnie się o nią martwi. Przyniósł jej trochę larw chrząszczy, ale też jej nie smakują.

- To niedobrze.
- To się chyba zdarza. Zwierzęta bywają wybredne.
- Zajmuję się trochę żabami. - Gere sam się zdziwił, słysząc swe wyznanie. Rzadko opowiadał z własnej woli o swojej pracy, ponieważ nie interesowało to raczej nikogo spoza środowiska naukowców.

- Żabami? Naprawdę?

Chyba nie wzbudziło to w niej wstępu. Ucieszył się, ale jednocześnie poczuł nagle skrępowanie.

- To nic skomplikowanego.

Zapadło krótkie milczenie. Następnie Shelley wskazała głową na wąż ogrodowy zwinięty na ziemi obok kranu przy rogu domu.

- Czy mogłabym umyć ręce? Nie chcę, żeby reszta poczty, którą muszę dostarczyć, pachniała piaskami.

- Umyć... - Patrzył na nią tępym wzrokiem.

- Ach, oczywiście. Proszę skorzystać z łazienki.

- Dziękuję, tu będzie szybciej. Wystarczy, że je opłuczę.

- Pomogę pani. - Sięgnęli jednocześnie do kurka i ich ręce zetknęły się. Gere cofnął dłoń i podniósł końcówkę węża. - Ta dysza jest zdradliwa.

Shelley odkręciła kurek i wyprostowała się dokładnie w chwili, gdy nastąpiła przypadkowa demonstracja najczęstszego grzeszku dyszy - tendencji do nieoczekiwanego stawania się Niagarą. Dziewczyna pisnęła i odskoczyła do tyłu, krzyżując ręce na piersi i bezskutecznie zasłaniając się przed prysznicem, który

doszczętnie przemoczył jej białą trykotową bluzkę. Przez mokry materiał przebijała biała koronka.

I nie tylko koronka. Upokorzony i zafascynowany, Gere skierował strumień wody z węża ku ziemi.

- Przepraszam. - Wydało mu się to tak niewystarczające, tak idiotyczne, że powtórzył jeszcze raz: - Bardzo przepraszam.

- Nic się nie stało - powiedziała. - To tylko woda.

Spojrzał jej w twarz, sprawdzając, czy nie udaje, ale ku swemu zdumieniu zobaczył, że się uśmiecha.

- Wyschnie błyskawicznie w tym upale.

Gere majstrował przy dyszy, aż wreszcie udało mu się ustawić delikatny strumień wody.

- Spróbujemy jeszcze raz?

Podstawiła dłonie pod wodę, splukała je aż po łokcie, po czym spontanicznie ochlapała twarz. Gere, który zwykle był bardziej skory do rozwiązywania zagadek naukowych niż puszczenia wodzy fantazji, złapał się na tym, że wyobraża ją sobie igrającą w kasadach wody w tropikalnej scenerii, mokrą i lśniącą, w białej, prześwitującej, oblepiającej jej ciało sukience. Ten obraz był tak żywy, że zareagował nań fizycznie, a intensywność tej reakcji wręcz nim wstrząsnęła. O Boże, a jeśli zauważyła?

- Dosyć - powiedziała.

Czy potrafi czytać w jego myślach? A może zauważyła jego reakcję? Jeśli tak, to dobrze to ukrywa. Nagle zrozumiał, o co jej chodzi, i skinąwszy głową, odwrócił się, by zakręcić kran, sprawdzając jednocześnie z drzeniem, czy jego problem jest bardzo widoczny. Na szczęście krój spodenek wybawił go od konfuzji.

- Do zobaczenia - uśmiechnęła się Shelley.

Gere odprowadził ją do białego dżipa z czerwono-niebieskim spiralnym ornamentem po obu bokach.

- Czy to nowy wzór? - spytał.

- Zrobiony na zamówienie - odpowiedziała, siadając za kierownicą. - To moja własność. Kupiłam go na aukcji. - Uruchomiła samochód. - Przepraszam, ale mam jeszcze pocztę do rozwiezenia.

Pięć minut. Zobaczył ją po raz pierwszy pięć minut temu, a nie miał ochoty się z nią rozstawać.

- Jak się pani nazywa? - spytał.

- Shelley Peters - uśmiechnęła się.

- Garrick Booth - powiedział, wyciągając dłoń.

Wyraźnie zdziwił ją ten gest, zawahała się chwilę, nim podała mu rękę.

- Jest wciąż mokra - ostrzegła go.

Gere'owi to nie przeszkadzało. Dotyk jej chłodnej, gładkiej dłoni sprawił mu przyjemność. Poczłł nieprze-partą chęć, by podnieść ją do ust i ucałować, jednocześnie zaskoczony swym odruchem rycerskości. Zamiast tego ucisnął ją zdecydowanie, po czym niechętnie puścił.

- Do zobaczenia, Shelley.

- Do widzenia, doktorze Booth.

Patrzył tęsknie, jak dzcip znika w oddali, staje się małą białą kropką.

- Moi przyjaciele nazywają mnie Gere - powiedział na głos, w przestrzeń.

Pomimo odświeżającego prysznic na podwórku „doktora Hunka”, Shelley czuła się ogromnie znużona nietypowym o tej porze roku upałem. Marzyła o powrocie do domu i długim chłodnym natrysku. Najpierw jednak musi rozładować dzipa, wyjąć pocztę, którą zebrała do wysłania, uporać się z całą papierkową robotą, posegregować paczki, które były zbyt duże, by zostawić je w skrzynce, a adresatów nie było w domu...Uff!

Uwinęła się ze wszystkim tak szybko, jak tylko potrafiła i wybiegając wreszcie z pracy, omal nie wpadła na Maggie Schmidt, która wchodziła z naręczem przesyłek wyładowanych z dżipa. Maggie była najlepszą przyjaciółką Shelley od czasów, gdy jeszcze bawiły się lalkami Barbie. To właśnie Maggie namówiła ją, by starała się o pracę na poczcie.

- Cześć, Shelley! - powitała radośnie przyjaciółkę. Policzki miała zaczerwienione od gorąca, ciemne wilgotne od potu włosy wiły się nad czołem. - Miałam nadzieję, że cię jeszcze złapię. Może wybrałybyśmy się wieczorem do „Angela”?

- Nie idziesz z Charlesem? - Był to ostatni wielbiciel Maggie.

- Jakim Charlesem? Tym bęcwałem?

- Znowu kłapa? - Shelley pomyślała o ostatnim mężczyźnie, z którym spotkała się więcej niż jeden raz. Również nie zasługiwał na lepszy epitet. - Cóż, całkiem niezła propozycja. - Tysiąc razy lepsza od spędzenia całego piątkowego wieczoru w domu, samotnie. - Siódma trzydzieści?

- Świetnie. Do zobaczenia. Zaraz, zaraz, a co z doktorem Hunkiem? Czy go widziałaś?

- Tak - odrzekła ze smętnym westchnieniem.

- I co?

- Jest... sympatyczny.

- Sympatyczny? - Maggie była wyraźnie rozczarowana tym nijakim opisem.

Shelley znów westchnęła. Nie chciała rozmawiać o doktorze Garricku Boothie, po części dlatego, że nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Był taki inny. Taki dziwny.

- To wszystko? - zdziwiła się Maggie.

- Jest zwykłym sympatycznym facetem. Nie mam nic więcej do dodania.

- Nic więcej? Shelley, jest seksowny czy nie?

- Nie.

- Brzydki?

- Nie! - skrzywiła się Shelley. - Nie jest brzydki, raczej... zaniedbany. Posłuchaj, pogadamy wieczorem, dobrze? Cała się lepię i marzę wyłącznie o tym, żeby zdjąć ubranie i stanąć przed otwartą lodówką.

- Tak, to nie żarty - przytaknęła Maggie, wachlując się przodem bluzki. - Jest goręcej niż czwartego lipca. - Przygwoździła Shelley surowym spojrzeniem. - Ale wieczorem u „Angela” spodziewam się pełnego sprawozdania.

- Zrobię notatki - roześmiała się Shelley.

W pół godziny później stała pod prysznicem, pozwalając, by woda spływała po jej ciele i zastanawiając się, w jaki sposób zdoła zaspokoić niepokohamowaną ciekawość przyjaciółki. Doktor Garrick Booth nie był wcale supermężczyzną, jak podejrzewała, ale gdy wspominała ich spotkanie, czuła się dziwnie wzruszona. Może sprawił to jego nieśmiały uśmiech, niezwykle rycerskie maniery, samotność wyzierająca z oczu? Jak miała opisać tak skomplikowanego człowieka?

Wyszła spod prysznica i owinięła się ręcznikiem, śmiejąc się cicho. Nie ma nic lepszego do roboty, tylko martwić się o to! Przecież Maggie wycisnie z niej wszystkie szczegóły jak wodę z gąbki. Potrafiła z niej wydobyć każdy sekret, od kiedy zmusiła ją do przyznania się w szóstej klasie, kto jest jej chłopcem.

Wciąż owinięta w ręcznik, Shelley rzuciła się na łóżko. Pomyśli o tym później. Przez najbliższą godzinę

będzie wyłącznie odpoczywać i marzyć o niebieskich migdałach.

Po krótkiej, lecz pokrzepiającej drzemce, przebrała się na wieczorne spotkanie u „Angela”. Była to popularna restauracja, do której przychodzili poważnie młodzi ludzie. Shelley i Maggie chodziły tam w piątki lub soboty, gdy akurat żadna z nich nie umówiła się na randkę, i zawsze przedtem robiły się na bóstwo. Dziewczyna nigdy nie wie, kogo może spotkać.

Ich wejście do restauracji powitały pełne uznania spojrzenia mężczyzn. Shelley zakręciła i upięła włosy oraz włożyła swoje najbardziej seksowne legginsy wykończone koronką i zbyt obszerną bluzkę odsłaniającą jedno ramię. Maggie ubrała się bardziej konserwatywnie: bawełnianą bluzkę w drobne paski wpuściła w krótkie dżinsowe spodnie z mankietami, przyczesała gładko krótkie ciemne włosy, co dawało również świetny efekt. Gdy wybierały się gdzieś razem, tworzyły bardzo kontrastowy tandem. Shelley - blondynka o jasnej cerze, zmysłowa. Maggie - ciemnowłosa, zgrabna, światowa. Shelley często myślała, że demonstrowana pewność siebie to maska kryjąca gołębnie serce, gdy tymczasem jej własna pozorna swoboda stanowiła przykrywkę dla ostrożnego pragmatyzmu.

Knajpka „Angelo” z bujną półtropikalną roślinnością i świecami w butelkach po winie przypominała włoski ogród. Shelley i Maggie, które zdażyły przed największym tłokiem, usiadły przy dużym narożnym stole, skąd miały doskonały widok na resztę gości.

Przez chwilę udało się Shelley odwrócić uwagę Maggie od doktora Hunka, wypyując ją o jej ostatniego chłopaka, który zasłużył na miano bęcwała.

Historia znów się powtórzyła. Charles okazał się niedojrzały, nieodpowiedzialny, nie chciał się wiązać. Spóźniał się na randki, wołał utrzymywać znajomość w „chłodnym” stadium: bez zobowiązań, bez odpowiedzialności, bez przyszłości. Obiecał zadzwonić i nie zadzwonił.

- Krótko mówiąc - podsumowała Maggie smętną historię miłości - Charles to typowy bęcwał. Ot, i wszystko, romans skończony.

Shelley postanowiła być ostrożna w wypowiedziach na temat randek, ale podzieliła się z przyjaciółką swym doświadczeniem, jeśli idzie o głupków. Wreszcie podniosła kieliszek wina -jedeny, na jaki pozwalała sobie przez cały wieczór - i powiedziała:

- Za mężczyzn... Komu oni są potrzebni?

- Brawo! -zawołała Maggie, śmiejąc się, i stuknęły się kieliszkami.

Maggie upiła łyk wina, po czym odstawwszy kieliszek na stół, podparła brodę dłońmi.

- Świetnie. Skoro już ustaliliśmy, że mężczyźni są nam niepotrzebni, chciałabym usłyszeć coś na temat doktora Hunka. Czemu nie jest seksowny?

- Miał na nosie komiczne okulary, był okropnie zarośnięty, a jego ubranie wyglądało, jak gdyby dostał je z instytucji charytatywnej.

- Wydawało mi się, że wspominałaś coś o jego zamożności.

- Co wcale nie oznacza, że musi nosić drogie ciuchy. - Shelley wzruszyła ramionami.

- Ale czy był miły?

- Już ci mówiłam. Był przemiły. Bardzo uprzejmy. Nieśmiały. Uderzyła mnie jakaś jego... niewinność.

- Niewinność? - Maggie otworzyła usta ze zdumienia.. - W dzisiejszych czasach?

- Wiem, że to brzmi dziwnie. On jest doktorem, znanym naukowcem, nosi koszulę z nadrukiem Harvardu...

- Mówiłaś chyba, że miał zniszczone ubranie.

- Harvardzkie koszule niszczą się w praniu tak samo jak inne.

- Nie znałam nigdy nikogo, kto studiowałby w Harvardzie.

- Można by więc sądzić, że... To chyba mało prawdopodobne, żeby był... niewinny.

- Może to typ roztargnionego profesora.

Shelley w zamyśleniu lepiła kulki z chleba. Rzeczywiście sprawiał wrażenie roztargnionego.

- Pewnie masz rację - skinęła głową. - Pasuje do niego to określenie.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? - spytała Maggie, odkładając widelec.

Przerwały na chwilę rozmowę, ponieważ kelner przyniósł im sałatki. Shelley nie miała pojęcia, jakim torem biegają myśli jej przyjaciółki.

- O czym? - spytała, gdy kelner się oddalił.

- O doktorze Hunku - odpowiedziała Maggie.

- Wydaje mi się, że go lubisz.

- Przecież prawie go nie znam.

- Ale go lubisz.

Shelley pokręciła przecząco głową.

- To nie tak. Miło mi się z nim rozmawiało, ale raczej nie poszłabym z nim na randkę.

- Dlaczego?

- Nie jest... Mam wątpliwości, czy w ogóle zauważył, że jestem kobietą.

- Chcesz powiedzieć, że to...

- Skąd mogę wiedzieć? Nie, nie wydaje mi się. Po prostu nie potrafię wyobrazić go sobie... - Zachichotała. - No wiesz.

- Kochającego się?
- Chodzącego na randki - parsknęła z irytacją Shelley.

Maggie zajęła się swoją sałatką. Przełknęła dużą porcję, po czym spytała:

- Dlaczego?
- Po prostu to nie taki typ faceta.
- Założę się, że zmieniłabyś jego podejście już po pierwszej randce.

- Posłuchaj, Maggie, rozwożę pocztę na tej trasie od czterech miesięcy, a widziałam go po raz pierwszy. Nawet gdybym miała ochotę się z nim umówić - a nie mam! - wątpię, żebym mogła zmienić jego podejście. A teraz raczej zmienimy temat, dobrze?

- Oczywiście - westchnęła z rezygnacją Maggie. I pochylając się do przodu, dodała konspiracyjnym szeptem: - Czy zauważyłaś, że nasz kelner ma tyłek jak bochen chleba?

- Ja tam wolę jego chrupiące bułeczki - powiedziała Shelley, sięgając do koszyczka i zatapiając zęby w świeżym pieczywie.

Gere czekał niecierpliwie, aż Kelsey podniesie słuchawkę.

- Kelsey?
- Gere?
- Chcę, żebyś wysłała do mnie list.
- Która godzina?
- Jeśli wyślesz polecony, będę musiał pokwitować odbiór.

- Jest już dobrze po północy, Gere. Spałam jak zabita. Poza tym jutro niedziela. Poczta będzie zamknięta. - Ziewnęła głośno, - Mało dostałeś odpowiedzi na ogłoszenie?

- Będę musiał pokwitować odbiór, czyli odda mi list do rąk własnych.

Kelsey natychmiast się rozbudziła.

- Kto ci go odda do rąk własnych?

- Shelley Peters.

- Zaraz, zaraz, pogubiłam się. Kto to jest Shelley Peters?

- Mój listonosz.

- Mam nadzieję, że raczej listonoszka.

- Chyba tak - odrzekł Gere w zamyśleniu. - Choć teraz sami nazywają siebie doręczycielami. To kojarzy mi się z nosicielami, na przykład wirusa tyfusu.

- Nie zmieniaj tematu - powiedziała Kelsey. - Jak ta Shirley...

- Shelley.

- W porządku. Jak ona wygląda?

- Jak wygląda? - Powinien był przewidzieć, że Kelsey będzie wscibiała nos w jego sprawy. - Jak kobieta. Ma błyszczące włosy i... Jej piersi są całkiem ładne.

Kelsey wybuchnęła śmiechem.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to zauważyłeś!

- Nie powinnaś śmiać się ze mnie. Potrzebuję twojej pomocy.

- Postawmy sprawę jasno. Mam wysłać do ciebie list polecony po to, żeby listonoszka o lśniących włosach i obfitym biuście zapukała do twoich drzwi?

- Zrobisz to dla mnie?

- Jasne. - Znów ziewnęła głośno. - Nie będziesz na mnie zły, że zaczekam, aż otworzą pocztę?

- Masz specyficzne poczucie humoru, Kelsey.

- Już mi to mówiłeś. Wyślę list w poniedziałek po drodze do szkoły, obiecuję.

- Dziękuję.

- Gere?
- Słucham?
- Posłuchaj mojej rady. Wyjdź wreszcie ze swojej dziupli, ostrzyż porządnie włosy i kup parę koszul.

Gere odłożył słuchawkę i siedział przez chwilę, bębniąc palcami po stole. Jeśli Kelsey wyśle list w poniedziałek, będzie szedł przez jakieś dwa dni, to znaczy Shelley dostarczy go najwcześniej w środę. To stanowczo za długo. Powinien był poprosić Kelsey, żeby wysłała ekspres.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz, ale zrezygnował z tego pomysłu. Jeśli znowu wyrwie ją ze snu, gotowa nie kiwnąć palcem w jego sprawie.

ROZDZIAŁ

3

Gdy Shelley przywiozła poniedziałkową pocztę, Gere bawił się na podwórku z dalmatyńczykami. Rozpromienił się w uśmiechu i pomachał do niej pomarańczowym plastikowym dyskiem, który rzucał psom.'

Kwiatowy aromat, rozchodzący się w powietrzu, gdy odwzajemniła gest powitania, przypomniał Shelley o trzech perfumowanych listach zaadresowanych do doktora Hunka, które trzymała w ręku. Włożyła je do skrzynki wraz z inną korespondencją i zatrzasnęła drzwiczki, po czym spojrzała znów w stronę doktora Bootha.

Powitał ją tak radośnie, że spodziewała się, iż podejdzie, by uciąć z nią pogawędkę, tymczasem on skierował się w stronę, domu. Lekko rozczarowana, Shelley spojrzała przez ramię, czy może ruszyć.

Droga wolna. Zdjęła nogę z hamulca.

- Nie! Shelley! Stój!

Wcisnęła pedał hamulca. Doktor Booth biegł przez trawnik, wciąż trzymając w jednej ręce kolorowy dysk, w drugiej zaś małe pudełko.

Obok niego sadziły wielkimi susami oba dalmatyńczyki, podskakując i wachając ciekawie pudełko. Wymykał im się przez kilka metrów, niemal się o nie potykając, wreszcie zatrzymał się i rzucił dysk w drugi koniec trawnika. Gdy dotarł do ogrodzenia, podniósł do góry rękę z pudełkiem i zawołał zdyszany:

- Mam coś dla pani.

Gest był tak spontaniczny i dziecinny, że mężczyzna wydał się Shelley co najmniej o dziesięć lat młodszy niż wtedy, w piątek, może częściowo dlatego że ostrzygł włosy. Policzki miał zaczerwienione z wysiłku i Shelley zwróciła nagle uwagę na jego wydatne kości policzkowe.

Wyłączyła silnik dżipa i wysiadła.

- Co to jest?

- Chrząszcze.

Chrząszcze? Ten facet naprawdę jest dziwny.

- Dla Annabel.

- Annabel? - Przychodził jej na myśl wyłącznie Edgar Allan Poe i „Annabel Lee”, wiersz, którego uczyła się w dziesiątej klasie.

Doktor Booth i Edgar Allan Poe. Nie było to uspokajające skojarzenie, zwłaszcza że zdawała sobie sprawę, jak daleko znajduje się od innych domów. Oczyma wyobraźni widziała już nagłówki w gazecie: „Zwłoki doręczycielki poczty znalezione na wiejskiej drodze. Ciało w tajemniczy sposób objedzone przez chrząszcze. Trwają poszukiwania szalonego naukowca.”

- Jaszczurki pani brata - wyjaśnił.

- ...?

- Tej, która nie chce jeść. Czy nie mówiła pani, że ma na imię Annabel?

- Och! - Shelley poczuła, że się czerwieni ze zmieszania. - Oczywiście. Annabel.

- Może jej to smakować.
- Na pewno. - Shelley ostrożnie wzięła od niego pudełko. Było plastikowe i miało siatkowe okienka. Wewnątrz znajdowało się pełno małych czarnych chrząszczy. - Jak się nazywają?

- Zwykle chrząszcze. Łacińska nazwa nic pani nie powie. To przysmak moich żab.

- Żab?

- Chyba wspominałem, że zajmuję się również badaniem żab.

- Tak. Rzeczywiście - przyznała Shelley.

- Dostarczam im rozmaite owady i badam, które z nich im smakują, a które nie.

- Po co? - spytała Shelley po namyśle.

- Chodzi mi o skład chemiczny.

Na jej twarzy malowało się wyraźne zdziwienie, pośpieszył więc z wyjaśnieniami.

- W organizmie owadów znajdują się naturalne składniki chemiczne, które mogą być wykorzystane dla dobra ludzi, a dotąd nie podjęto nad tym żadnych skoordynowanych badań.

- Tak jak w... medycynie?

Powitał uśmiechem zarówno jej zainteresowanie tematem, jak i szybkie zrozumienie problemu.

- Owszem, tak jak w medycynie, Ale to załedwie początek. Nie wiadomo, co uda nam się odkryć i zastosować. Naturalną regulację populacji owadów. Naturalne nawozy. Sposoby ochrony naszego środowiska i polepszanie jakości życia bez niszczenia planety. Rośliny wykorzystujemy od stuleci, a mimo to nasza wiedza o nich jest powierzchowna. Jeśli idzie natomiast o owady, wciąż znajdujemy się w epoce kamienia łupanego.

- A co mają z tym wspólnego żaby? - spytała Shelley po krótkim milczeniu.

- Być może właśnie smak poszczególnych składników chemicznych przyciąga żaby do niektórych owadów, a do niektórych je zniechęca. Gdy zauważę taką prawidłowość, przeprowadzam badania owadów pod kątem nietypowego składu chemicznego.

- Hmm - mruknęła Shelley, zaglądając do pudełka. - A pańskie żaby lubią właśnie te chrząszcze?

- Uwielbiają. Może Annabel również je polubi. Warto spróbować.

Shelley pomyślała, jakie to miłe z jego strony, że zapamiętał nie tylko wybredną jaszczurkę jej brata, lecz nawet jej imię. A także imię Shelley.

- Zawiozę je Kevinowi po pracy - powiedziała z głęboką wdzięcznością. - Dziękuję, doktorze Booth.

Jej głos był niczym balsam dla jego duszy. Cztery godziny spędzone na kolanach w trawie i chwastach z lupą w ręku wydały mu się niską ceną za takie uznanie.

Sposób, w jaki reagował na nią, przeczył zdrowemu rozsądkowi. Nagle zdał sobie sprawę, że czuje jej zapach, choć dzieliła ich odległość przynajmniej półtora metra. Wśród tysiąca różnych zapachów unoszących się w powietrzu rozróżnił zapach szamponu, mydła i pudru, których używała Shelley Peters, i ten fakt zachwycał go w równym stopniu co kobieta, która była katalizatorem tej reakcji. Zawsze podziwiał zdolność owadów, które potrafiły się odnajdywać, kierując się zapachem. Teraz sam doświadczał czegoś bardzo podobnego.

- Ma pan nowe okulary - zauważyła.

- Tak - powiedział Gere, dotykając odruchowo oprawki. - Były w tamtej przesyłce polecanej, którą mi pani dostarczyła. - Uśmiechnął się. - Koniec podklejania taśmą.

- Ładne - stwierdziła. Choć ciemna szylkretowa oprawka była nieco zbyt masywna jak na panującą modę, okulary dziwnie do niego pasowały.

- Muszę jechać - powiedziała Shelley po długiej chwili niezręcznego milczenia. - Mam jeszcze sporo poczty do rozwiezienia. Jeszcze raz dziękuję za chrząszcze, doktorze Booth. Jeśli Annabel je polubi, prawdopodobnie uratuje jej pan życie.

- Shelley?

Zaniepokoił ją jego poważny ton. Czyżby miał zamiar ją ostrzec, że te chrząszcze gryzą?

- Proszę, mów do mnie Gere.

-Gere?

- Zdrobnienie od Garrick.

- Z chęcią - odrzekła Shelley z promiennym uśmiechem.

Gere oprzytomniał nagle niczym ktoś wyrwany z głębokiego snu ostrym dzwonkiem budzika. Spojrzał na zegarek i zaklął.

- O, cholera!

Zaplanował, że wyjdzie pobawić się z psami na piętnaście minut przed spodziewanym przyjazdem Shelley, ale zagapił się. Na wszelki wypadek wybiegł z cieplarni, przemierzył pędem kuchnię i wpadł do salonu. Zdażył zobaczyć przez frontowe okno jej dżipa, który był już tylko białą plamką w oddali. Stał z rękami w kieszeniach nowych dżinsowych szortów, wpatrując się w pustą drogę i odczuwał ogromne rozczarowanie.

Gdy zabrał się z powrotem do pracy, a także gdy kładł się później spać, w głowie kołatała mu się jedna myśl: jutro nie może przegapić jej przyjazdu!

Był na podwórzu na pół godziny przed zwykłą porą doręczania poczty. Wziął ze sobą pomarańczowy dysk, ale nawet psy zmęczyły się szybko i nie miały ochoty na igraszki w upale. Usiadł więc na ocienionej werandzie, obserwując pajaka, który kończył pleść misterną sieć pomiędzy ścianą domu a kolorową gałęzią bukszpanu.

Wigglesworth i von Frisch zerwały się nagle, uprzedzając go o przyjeździe Shelley, zanim usłyszał pisk hamulców. Gere wstał i otrzepał piasek z szortów. Shelley wyłączyła silnik i wysiadła. Podszedł do ogrodzenia. Pomachała do niego kwitariuszem.

- Potrzebny mi znów pański autograf, doktorze...
- Omal nie powiedziała Hunk, ale zmytygowała się w ostatniej chwili: - ...ee, Gere.

- Tak? - Robił wszystko, by wyglądać na zdziwionego.

- List polecony - wyjaśniła.

- Hmm!

Rzeczywiście, hmm, pomyślała Shelley, bardziej zakłopotana niż zwykle. Nie był to perfumowany list do doktora Hunka, lecz spora koperta, jakich używa się w korespondencji służbowej, zaadresowana do doktora Garricka Bootha, z pieczętą urzędu pocztowego w małym miasteczku w Indianie, Adres zwrotny brzmiał: Krajowe Stowarzyszenie Profesjonalnych Striptizerów.

Gere pokwitował odbiór listu, spojrzął na kopertę i zaczerwienił się jak piwonia. Wargi zacisnęły mu się w wąską kreskę, w policzku drgał nerwowo mięsień.

- Nie strzelaj do mnie, jestem tylko posłańcem
- powiedziała lekkim tonem Shelley.

- Strzelanie nie jest w moim stylu. Ja zakopuję ludzi w mrowiskach albo podrzucam im jaja karaluchów.

Oczy Shelley zrobiły się całkiem okrągłe.

- Żartuję. Naprawdę nie zakopuję ludzi w mrowiskach,

- A co z jajami karalichów? - spytała podejrzliwie.

Spojrzał znacząco na list, który trzymał w ręku.

- To bardziej prawdopodobne.

Zamilkli oboje. Shelley umierała z ciekawości. Listy polecone nie były czymś niezwykłym, ale przysyłali je z reguły ludzie, którym potrzebne było potwierdzenie wysyłki. Kto wysłał list polecony do niego? I co się kryło za perfumowanymi kopertami? Kusiło ją, by go o to spytać, ale nie śmiała. Do obowiązków listonoszki należało dostarczanie przesyłek, a nie wtykanie nosa w cudze sprawy.

- Nie jestem striptizerem— rzekł z zakłopotaniem.

- Wcale mi to nie przyszło do głowy - powiedziała szybko, poruszona jego skrępowaniem. Znow uderzyła ją w nim jakaś dziwna niewinność, wrażliwość.

Utkwił wzrok w czubku swego trampka i skinał głową. Był w tym gościu jakiś smutek. Czy podświadomie pragnął - marzył, miał nadzieję - by Shelley lub w ogóle ktokolwiek uwierzył, że może być przedmiotem seksualnej adoracji kobiet?

Oczywiście, że tak. Przecież był mężczyzną, a jaki mężczyzna nie chciałby, żeby kobieta tak właśnie myślała? Kobietom też sprawia przyjemność, gdy uważa się je za obiekt westchnień i pożądania.

- Widywałam nieraz takie koperty z różnymi kawalerskimi nadrukami - powiedziała wesołym tonem, mając nadzieję przekonać go, że poznała po kopercie, iż to zwykły kawał, a nie podanie w wątpliwość jego atrakcyjności dla kobiet.

- Z kawalerskimi nadrukami?

- Tak. Profesjonalne Stowarzyszenie Striptizerów. Krajowe Towarzystwo Nawracania Zboczeńców Seksualnych. Stowarzyszenie Ofiar Chorób Roznoszonych Drogą Płciową.

- Przypuszczalnie otrzymam następny w przyszłym tygodniu - rzekł ponuro. Po chwili niezręcznego milczenia dodał: - Pewnie widzisz mnóstwo... interesujących przesyłek.

- O, tak. Najrozmaitsze rodzaje. - Ponieważ znów wlepił wzrok w czubki trampek, Shelley wydedukowała, że myśli o listach do doktora Hunka, i spróbowała zmienić temat. Przypomniała sobie, że nie powiedziała mu ostatniej nowiny o jaszczurce Kevina. - Annabel bardzo smakowały chrząszcze.

- Naprawdę? - Gere zaryzykował spojrzenie w oczy dziewczyny.

- Przyglądała im się przez kilka minut, spróbowała jednego, a potem urządziła sobie istną ucztę. Kevin uważa, że uratował jej pan życie.

- Bardzo się cieszę - powiedział z miłym uśmiechem.

- Gdyby zdechła, Kevin strasznie by to przeżył. Jest teraz w trudnym wieku i ulubione zwierzęta... o czym ja zresztą mówię, zna pan to z własnego doświadczenia.

- Ile ma lat?

- Jedenaście. - Uśmiechnęła się na widok jego reakcji. - Wiem. Miedzy nami jest bardzo duża różnica wieku. To jedno z tych zupełnie nieoczekiwanych dzieci. Mama zaszła w ciążę, gdy mój starszy brat kończył szkołę średnią.

- Ile was jest rodzeństwa?

- Poza Kevinem jeszcze troje. Ron - jest mechanikiem samochodowym. Potem Lizzy - urodziła w lipcu dziecko, a następnie ja - doręczam pocztę.

- To bardzo ważne zajęcie - powiedział Gere.
- Nie tak ważne jak niańczenie wnuka, a przynajmniej tak sądzą moi rodzice - uśmiechnęła się pobłażliwie Shelley. - No i oczywiście Kevin puszy się jak paw, będąc jedynym wujkiem w szkole podstawowej.

Powiedziała mu wystarczająco dużo, by jeszcze bardziej pobudzić jego zainteresowanie. Chciał wiedzieć o niej więcej: czy pragnie mieć dzieci, czy ma ukochanego, czemu została listonoszką?

- Ja mam siostrę - zwierzył się nagle. - To ona przysłała mi ten list.

- Musi mieć ciekawe poczucie humoru - zauważyła Shelley, zastanawiając się, czemu tak ją ucieszył fakt, że to siostra jest autorką listu.

- Bardzo szczególne, powiedziałbym. - Westchnął cicho, po czym dodał ze smutkiem: - Ona uważa, że ja jestem pozbawiony poczucia humoru.

- Ty?

- Dziękuję - rzekł, uśmiechając się.

- Za co?

- Za wiarę, że mogę je mieć.

- Wszyscy mają poczucie humoru. Może ty masz po prostu inne niż twoja siostra.

- Nie pękam ze śmiechu na widok tego adresu zwrotnego.

- Wcale się nie dziwię. A skoro już mówimy o adresach zwrotnych...

- ...masz jeszcze pocztę do rozwiezienia..- Gere miał nadzieję, że Shelley nie pozna, jak cierpi z tego powodu. Kelsey zaprezentowała próbkę swego osobliwego humoru, ale dzięki temu miał okazję porozmawiać z Shelley. Cały problem w tym, że mu to nie wystarczało, Pięciominutowa pogawędka tylko wzmożyła jego apetyt, a nie widział sposobu, by go zaspokoić.

Musi zastosować bardziej radykalne środki. Myślał gorączkowo, nawet wówczas gdy Shelley podziękowała mu jeszcze raz za chrząstki i pomachała dłonią na pożegnanie. Odjechała już daleko, gdy otworzył list od Kelsey. Na niebieskim papierze jego wszystkowiedząca siostra napisała jedno jedyne zdanie: „Pora umówić się z nią na randkę”.

RS

ROZDZIAŁ

4

Gdy tylko wypatrzył dziępa Shelley, Gere rzucił plastikowy dysk w drugi koniec podwórka i podbiegł do płotu, by się z nią przywitać.

- Cześć - odpowiedziała, wyłączając silnik. - Czekasz chyba na to. - Podała mu kwitariusz wraz z listem.

- Co to jest?

- Kolejny list polecony. Krajowa Organizacja Cierpiących na Hemoroidy. - Na próżno usiłowała utrzymać powagę. - Z Indiany.

Marszcząc brwi, Gere pokwitował list, tak mocno przyciskając pióro, że rozerwał papier.

- Przepraszam - powiedział zmieszany, próbując wyprostować papier.

- Nie szkodzi - odrzekła Shelley. - Podpis jest czytelny. Tylko to ma znaczenie.

- Uhm - mruknął Gere. Choć znajdowali się po przeciwnych stronach ogrodzenia, zdawał sobie sprawę, jak mała odległość ich dzieli. Stał, ona zaś siedziała w dziępie, dzięki czemu zyskał inny kąt obserwacji, zwłaszcza gdy pochylała się do przodu. Utkwił wzrok w srebrnym wisiorze w wycięciu bluzki. Filigranowe

serduszko wydawało się żyć własnym życiem, unosiło się i opadało w rytm jej oddechu. Gere pomyślał, że nie miałyby nic przeciwko temu, żeby być bryłką srebra pomiędzy piersiami Shelley Peters, dotykać jej, chłonać jej ciepło.

- Gere?

Otrząsnął się niczym dziecko przyłapanie na myśleniu o niebieskich migdałach podczas lekcji.

- Przepraszam... Mówiłaś coś?

- Proszę, to reszta twojej poczty.

Gere wziął od niej plik listów i katalogi.

- Dziękuję.

Shelley czuła, że coś go gnębi, i czekała, aby to z siebie wyrzucił, on jednak milczał. Wreszcie przekreśliła kluczyczek w stacyjce.

- Cóż...

No, nadeszła chwila prawdy, pomyślał Gere. Musi coś zrobić, teraz albo nigdy, najpóźniej jutro. Nie, nie chce czekać. Nie będzie czekać.

- Czy pójdziesz ze mną na kolację w sobotę wieczorem?

Była to ostatnia rzecz, jakiej mogła się po nim spodziewać. Zaskoczona, patrzyła na niego, jak gdyby zaproponował, żeby pomalowała twarz na czerwono i wzięła udział w pogańskim obrzędku.

Wyłączyła silnik.

- Kolację?

- W sobotę wieczorem - powtórzył.

Kolację? Z tym owadziim pustelnikiem? Czy chce iść na kolagę z doktorem Hunkiem? Na randkę? Jest miły, ale...

Różne myśli przelatywały jej przez głowę. Przecież to tylko kolacja. Jest samotny. Garnie się do niej jak człowiek do drugiego człowieka. Chodzi mu po prostu o towarzystwo.

Czy jednak powinna go zachęcać?

Przypomniała sobie chrząszcze, które dał dla Anabel. Uratował jej życie ku radości Kevina. Ma wobec niego dług wdzięczności.

Wahając się pomiędzy przyjęciem zaproszenia a odmową, popatrzyła na niego. Nigdy nie widziała, by czyjaś twarz tak bardzo odzwierciedlała emocje. Nadzieja czaiła się w jego oczach, usta mu drżały. Podejrzewała, że wstrzymuje oddech, czekając na odpowiedź. Nie widziała tak gorącej tęsknoty na męskiej twarzy od tamtej chwili, gdy Buddy Walker zaprosił ją na bal w szkole średniej.

Poczuła miłe ciepło w klatce piersiowej. Serce jej zmiękło. Żadna kobieta; w które drzemie choć odrobina współczucia, nie potrafiłaby zawieść takiej nadziei, zwłaszcza gdy mężczyzna był tak szczery.

- Z przyjemnością pójde z tobą na kolację.

Widziała, jak usiłuje zapanować nad swoją reakcją i jak te usiłowania spełzają na niczym, jak jego twarz rozpromienia się w uśmiechu autentycznej radości. Miał ładne zęby: duże, białe, równe oraz, co zauważyła po raz pierwszy, ładnie wykrojone zmysłowe usta.

Bezwiednie odwzajemniła uśmiech i uruchomiła silnik.

Gere zaczekał, aż samochód zniknął z pola widzenia i dopiero otworzył list. Musiał przyznać, że jego siostra umiała trafić w sedno. Tym razem zdanie brzmiało: „Włóż garnitur i nie zapomnij użyć płynu po goleniu, który dostałeś ode mnie na gwiazdkę”.

Jeszcze jeden piątkowy wieczór spędzony u „Angela” z Maggie, zamiast na randce. Tym razem zajmowały stolik pośrodku sali, gdzie panował ruch niczym na zatłoczonej ulicy. Było już po dziesiątej,

właśnie skończyły jeść kolację i zastanawiały się nad wyborem deseru.

- Nie chcę się opychać, bo jutro wieczorem pewnie czeka mnie obfita kolacja - powiedziała Shelley.

- No opowiedz wreszcie ze szczegółami. Facet zaprosił cię do eleganckiej restauracji.

- Ty też masz randkę.

- O, tak. Idę w przyszły czwartek wieczorem do bratowej, która ma mnie poznać z synem swojej koleżanki z pracy. Po prostu super!

- Nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć.

- Wiadomo. Katastrofa. Jak wszystkie moje randki w ciemno. Nawet sobie nie pojem. Moja bratowa jest beznadziejną kucharką.

Podszedł kelner, by spytać, czy coś wybrały.

- Sernik z polewą czekoladową - powiedziały zgodnym chórem.

- Może twój brat upiecze mięso na ruszcie.

- Ale to nie „Gaspard”.

- To tylko kolacja - przypomniała Shelley, wzsuszając ramionami.

- Z doktorem Hunkiem. Shelley, facet nie zabiera kobiety do najelegantszej restauracji w pięciu hrabstwach, jeśli nie chce zrobić na niej wrażenia.

Shelley wsparła brodę na dłoni i westchnęła.

- Ten facet to pustelnik, Maggie. Pewnie nie miał pojęcia, dokąd pójść. Myślę, że dzwonił do informacji, by mu coś polecili.

- I ty również nie zamierzasz robić na nim wrażenia? - spytała Maggie, unosząc brew.

- Ależ skąd!

- To czemu przymierzyłaś w butikiu kilkanaście sukienek i żadna ci się nie podobała?

- Po prostu nie mam nic odpowiedniego do „Gas-parda”.
- A twoja mała czarna?
- Jest za mała.
- Nie utyłaś ani odrobinę. Sukienka leży na tobie jak ulał. - Maggie obrzuciła ją zagadkowym spojrzeniem.
- Nie o to chodzi. Jest zbyt krótka, ma zbyt duży dekolt. Muszę mieć coś naprawdę w dobrym guście.
- I twierdzisz, że nie chcesz zrobić na nim wrażenia?
- W głosie Maggie brzmiała ironia.
- Nie. Ale nie chcę też wprawić go w zakłopotanie.
- Włóż czarną sukienkę.
- Zbyt wyzywająca - pokręciła głową Shelley.
- Potrzebuję czegoś konserwa... - Odłożyła serwetkę i wstała. - Przepraszam cię na chwilę.
- .- Shelley, dokąd..?
- Muszę zadzwonić. - Lawirując między stolikami, dotarła do rzędu telefonów znajdujących się na tylnej ścianie, w pobliżu toalet. Zatkąła lewe ucho ręką, by odgrodzić się od zgiełku rozmów i dźwięku muzyki, i wykręciła numer siostry.
- Lizzy? Mówi Shelley. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale to coś w rodzaju nagłego wypadku. Pamiętasz tę sukienkę...
- Załatwione - powiedziała radośnie po powrocie do stolika. - Odbieram rano suknię.
- O jakiej sukni mówisz?
- Tej, którą Lizzy kupiła na pogrzeb ciotecznej babki Joshuy dwa lata temu. Nigdy nie lubiła tej kiecki, bałam się, że oddała ją do instytucji dobroczynnej.
- I ty chcesz włożyć tę sukienkę na randkę?
- Pasuje idealnie. Jest ciemna, pod szyję ima długie rękawy. Bardzo gustowna.

- Masz hopla na punkcie tego faceta, Shelley.
- Wcale nie! Nie wiem nawet, czemu zgodziłam się z nim pójść, chyba dlatego że wyglądał tak... Nie chciałam zranić jego uczuć.

- Shelley! Czy to randka z litości?

- Oczywiście, że nie. Wiesz, że nigdy nie chodzę na randki z litości. W przeciwieństwie do pewnej mojej znajomej, która wciąż pozwala zapędzać się w ślepy zaułek mężczyznom, którzy nie są tego warci.

Tym razem Maggie nie podjęła zwykłych przekomarzanek.

- Jak więc nazwiesz pójście na randkę tylko dlatego, że nie chcesz zranić czyichś uczuć?

Shelley zastanawiała się dokładnie nad tym samym.

- To... przyjacielska randka - powiedziała, starając się, by w jej głosie brzmiało przekonanie.

- „Przyjacielska” randka? - powtórzyła Maggie sceptycznym tonem.

Shelley stwierdziła, że podoba jej się to określenie.

- Tak. Właśnie przyjacielska. Nie czuję do niego... no, rozumiesz... ale Gere jest szalenie sympatycznym człowiekiem, czemu więc nie miałabym z nim pójść na kolację?

- A więc już Gere, a nie doktor Hunk?

- Nigdy tak go nie nazywałam, a przynajmniej w jego obecności - powiedziała Shelley.

- Mówiłaś o nim doktor jakiś tam.

- Doktor Booth.

- Właśnie. A teraz już Gere.

- Ma na imię Garrick.

Maggie patrzyła na nią przez chwilę w zamyśleniu.

- A jednak masz hopla na jego punkcie.

- Co dziwnego widzisz w zwracaniu się po imieniu do przyjaciół?

- Cała ta sytuacja jest dziwna. Czy dowiedziałaś się, czemu przychodzi do niego korespondencja adresowana do doktora Hunka?

- Nie pytałam o to.

- I umówiłaś się z nim? Skąd wiesz, czy to nie jakiś zboczeniec?

- Zaufaj mi, Maggie - roześmiała się Shelley. - Cokolwiek się za tym kryje, nie sądzę, żeby to on wymyślił doktora Hunka. Gdybyś go znała, zrozumiałabyś. On jest bardzo nieśmiały.

- Jesteś pewna, że cię nie skrzywdzi?

- Absolutnie. - Zmarszczyła brwi. - Byłabym okropnie rozczarowana, gdyby okazał się jeszcze jednym cymbałem.

- Czemu uważasz, że różni się od innych?

- Ponieważ jest miły. Nie jest seksowny, ale jest... miły. - Zauważywszy sceptyczne spojrzenie Maggie, dodała: - Ilu jeszcze sympatycznych ludzi zostało na tym świecie?

- Dziwne - powiedziała Maggie, uśmiechając się złośliwie. - Ale nie martw się, Shel. Jeśli się okaże, że wcale nie jest taki miły, jak sobie wyobrażasz, dołączysz po prostu do grona rozczarowanych dziewczyn.

Nazajutrz rano Shelley stała przed ogromnym lustrem w wiktoriańskiej sypialni swojej siostry.

- Wyglądam jak pokutnica - skrzywiła się.

- Jak sądzisz, czemu nie włożyłam jej ani razu po pogrzebie? - spytała Lizzy. Leżała na łóżku wsparta na obszytych koronką poduszkach i karmiła piersią swą małą córeczkę. - Gdy ją kupowałam, miałam nadzieję, że biały kołnierzyk nieco ją ożywi, a efekt jest wręcz przeciwny.

- Przynajmniej jest w dobrym guście - westchnęła Shelley, patrząc na swe odbicie.

- O, tak - zgodziła się Lizzie. - Doskonale pasuje na pogrzeb, ale nie mogę zrozumieć, czemu chcesz w niej iść na randkę.

- Z tego co słyszałam o „Gaspardzie”, przychodzą tam raczej starsi ludzie. Przeważnie milionerzy. Nie mogę włożyć niczego wyzywającego. Nie chcę, by pokazywano mnie palcami i szeptano. Lizzie, ty jesteś autorytetem w sprawach mody. Może włożyć do niej perły?

- Zawsze możesz włożyć lakierki z dużymi klamerkami - drażniła się z nią Lizzy.

- Gdybyś nie karmiła mojej ukochanej siostrzenicy...

- To co?

- Wypowiedziałabym ci poduszkową wojnę.

- Tylko nie moimi poduszkami! - zastrzegła się Lizzy. - Czy wiesz, ile dzisiaj kosztują poduszki z prawdziwego gęsiego puchu?

Shelley przysiadła na brzegu łóżka, śmiejąc się.

- Czy sądzisz, że były tańsze w czasach, gdy się nimi tłukłyśmy?

Lizzy uśmiechnęła się. Była podobna do Shelley, ale miała trochę pełniejszą twarz i jasnobrązowe włosy, które często związywała w koński ogon.

- Cud, że nas mama nie obdarła ze skóry! - wykrzyknęła.

- Teraz, gdy same musimy kupować poduszki, patrzymy z innej perspektywy na dyscyplinę stosowaną wobec dzieci - powiedziała Shelley, łaskocząc małą stopkę siostrzenicy, - Kiedy Brittany wejdzie w wiek rzucania poduszkami, pewnie ty będziesz miała ochotę obdrzeć ją ze skóry.

- Już się to stało - powiedziała Lizzy. - Tego dnia gdy zażądała jedzenia o piątej czterdzieści pięć.

- Rozpuściłaś ją, karmiąc za każdym razem, gdy tylko zapłacze. Powinnaś wyjaśnić jej, że do dziewiątej rano w sobotę fontanna jest nieczynna.

- Tego właśnie mi potrzeba. Uwag wziętych żywcem z „Poradnika niezamężnej ciotki: Jak wychowywać dzieci”.

- Niezamężnej ciotki? - przeszła do ataku Shelley. - Przypomnę ci to, gdy będziesz znów potrzebowała opiekunki do dziecka. - Wstała z łóżka. - Muszę zdjąć suknię, żebym mogła swobodnie pobawić się z moją najukochańszą siostrzemcą. Skoro jest już syta i szczęśliwa, zamierzam psuć ją, ile wlezie.

Shelley została u siostry do późnego popołudnia, zajmując się małą Brittany, dzięki czemu Lizzy mogła nadrobić domowe zaległości. Potem wróciła do domu i posprzątała, żeby wszystko lśniło, kiedy przyjedzie Gere.

Tuż przed wpół do ósmej usłyszała warkot samochodu skręcającego na podjazd. Wyjrzała ukradkiem przez okno w sypialni i wybuchnęła śmiechem. Volkswagen „Beetle” z odkrywaniem dachem. Oczywiście. Czym innym mógłby jeździć entomolog?

Gere wysiadł z samochodu i ruszył w stronę domu. Miał na sobie ciemny garnitur, nieskazitelnie białą koszulę oraz krawat i Shelley ucieszyła się, że zaufała instynktowi i ubrała się konserwatywnie. Jak na mężczyznę, który zwykle przypominał pluszowego niedźwiadka, wyglądał zaskakująco wytwornie. Szedł pewnym krokiem, poruszał się z męskim wdziękiem.

* beetle - (ang.) chrząszcz, żuk

Odszedłszy od okna, Shelley zastanowiła się, czemu tak ją zdziwiła jego ogłada towarzyska. Przecież jest człowiekiem wykształconym i, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, majątnym. „Gaspard” to dla niego chleb powszedni.

Ta myśl wprawiła ją w zdenerwowanie. Trudno ją nazwać całkiem nieobytą, ale czuła się znacznie lepiej w takich przytulnych miejscach jak „Angelo” niż w eleganckich restauracjach typu „Gaspard”. Ale zgodziła się na tę randkę, ponieważ wyraźnie zależało na niej Gere'owi, ona zaś miała dług do spłacenia. Życie to nie bajka i nie czeka na nią za każdym rogiem księżę. Mądre księżniczki godzą się z nieuchronnością przebywania w towarzystwie żab.

Doktor Booth jest przynajmniej grzeczną żabą, pomyślała. Nie wygląda na kogoś, kto mógłby pomylić przyjaźń z namiętnością. Z pewnością czeka ją sympatyczny wieczór.

Weszła do salonu i czekała niecierpliwie na dźwięk dzwonka. Zamiast niego usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu. Przemknęła jej przez głowę myśl, że stchórzył w ostatniej chwili, ale ostry dzwonek rozproszył jej wątpliwości. Shelley odetchnęła głęboko, policzyła do dziesięciu i otworzyła drzwi.

Przyniósł jej kwiaty: kolorowy bukiet mieszanych kwiatów, owinięty w celofan. Trzymał je przed sobą w wyciągniętej ręce, niczym chłopiec przynoszący po raz pierwszy kwiaty dziewczynie,- wyraz oczu miał zarazem błagalny i zdecydowany.

Shelley poczuła taki przyływ nagłej czułości, że najchętniej pocałowałaaby go w policzek, odbierając od niego kwiaty, gdyby nie obawiała się, że wprawi go w zakłopotanie. Podziękowała mu więc z uśmiechem, powąchała kwiaty, zachwycając się ich urodą i spytała, czy nie miał trudności ze znalezieniem jej domu.

-Absolutnie żadnych - odpowiedział. - Twoje wskazówki były bardzo dokładne. A gdy już znalazłem ulicę, pomogły mi kamienne pelikany na podjeździe.

- Musiałam coś zrobić, żeby mój dom wyróżniał się jakoś spośród wszystkich identycznych budynków. Mój sąsiad nazywa je pudełkami od butów.

- Wewnątrz mieszkanie wcale tak nie wygląda - powiedział Gere, rozglądając się po salonie, podczas gdy Shelley układała kwiaty w wazonie w przyległej kuchni. - Jest...

Jest takie jak ty, pomyślał, schludne, ładne. Niezrównane.

- ...miłe - dokończył, czując, że to nieodpowiednie słowo. Powinien był powiedzieć, że czuje się u niej swobodny i nieskrępowany, jak w domu. Że obraz przedstawiający mamę-flaminga z dziećmi jest wzruszający, że nowoczesna miękka kanapa zdaje się zachęcać do odpoczynku po długim męczącym dniu. Że salon z pomalowanymi na beżowo ścianami, pnącym bluszczem w doniczkach stanowiłby niebiański azyl podczas burzliwej nocy i że wyobraża sobie, jak wspaniale byłoby tulić ją w ramionach i słuchać deszczu bębniącego o dach.

Shelley wniosła wazon z kwiatami do salonu i ustawiła na niskim stoliku.

- Zdumiewające, jak kwiaty rozjaśniają pokój, prawda?

- Hmm - zgodził się, żałując, iż nie starcza mu odwagi, by powiedzieć jej, że według niego to jej uśmiech rozjaśnia pokój.

- Gzy napiszesz się czegoś przed wyjściem?

- Mamy stół zarezerwowany na ósmą - powiedział przeproszającym tonem. - Może raczej...

- Dobrze, oczywiście. Wezmę tylko torebkę.

Gdy wsiedli do volkswagena, Shelley powiedziała:
- Musisz mi podać dokładne dane swojego samochodu. Kiedy powiem Ronowi, że jeździsz klasycznym volkswagenem z odkrywanym dachem, zaczniesz mnie wypytywać o szczegóły.

Kim, u diabła, jest Ron? - zastanawiał się gorączkowo Gere. Po chwili przypomniał sobie, że tak ma na imię jej starszy brat. Spojrzał z ukosa na Shelley, która szperała w torebce.

- Szczegóły?

- No, na przykład, rok produkcji, pojemność silnika. Ron przepada za staromodnymi samochodami. To on utrzymuje mojego dżipa na chodzie. - Wyjęła pióro i mały notatnik. - Dobra, zaczynaj.

Gere, uradowany, że podsunęto mu temat do rozmowy, podał informacje, o które jej chodziło, a Shelley wszystko skrzętnie zanotowała.

- Jest w idealnym stanie - powiedziała, wkładając notatnik z powrotem do torebki.

- Pierwszy właściciel trzymał go przez cały czas w garażu - wyjaśnił Gere.

- Czemu wybrałeś właśnie ten samochód zamiast nowego?

- Zaczęło się od college'u. Jakiś idiota skasował mi samochód. i musiałem kupić nowy. Najpierw był to żart. Student specjalizujący się w entomologii prowadzi VW „Beetle”. Wziąłem go na próbę. - Uśmiechnął się na samo wspomnienie. - Był piękny wiosenny dzień, opuściłem dach, a gdy wróciłem do komisji, kupiłem go.

- Mężczyzna i jego samochód - skomentowała Shelley.

- Jeździłem nim przez cztery lata. Wreszcie nastąpiło zmęczenie materiału, jak to się mówi, i za-

cząłem rozglądać się za następnym. Mój przyjaciel usłyszał właśnie o tym. Jeśli kiedyś się skończy, będę musiał kupić sobie prawdziwy samochód.

- Ron twierdzi, że tylko stare samochody są prawdziwe.

- Jest zawodowym mechanikiem?

- Mhm. Pracuje w policji. Dbą o stan techniczny samochodów.

- A twoja siostra?

- Pracowała w centrali telefonicznej, aż do urodzenia dziecka w lipcu.

- Dziecka - powtórzył, jak gdyby ten temat był mu obcy. I rzeczywiście był. Miał zaledwie cztery lata, gdy urodziła się Kelsey i zapamiętał z dzieciństwa małe krzyczące zawiniątko. W rodzinie nie było więcej dzieci, żadnego rodzeństwa, żadnych kuzynów. Kelsey była jego jedyną bratnią duszą w świecie dorosłych.

- A więc zostałeś ciotką.

- Tak - odrzekła Shelley. - A co ważniejsze, moja mama została babcią.

- Czy twoja mama chciała mieć wnuki?

- A która nie chce? Prawie dała za wygraną, gdy Ron rozstał się z żoną, a my z siostrą nie wychodziłyśmy za męża, na szczęście Lizzy poznała Joshuę, a potem już wszystko potoczyło się bardzo szybko,

Gere zastanowił się, czy jego matka pragnęła kiedykolwiek mieć wnuki, i doszedł do wniosku, że nie. Paulette Booth nie należała do osób pozbawionych uczuć, ale po śmierci męża poświęciła się całkowicie pracy.

Sam Gere nigdy nie myślał o dzieciach. Gdy zdał sobie z tego sprawę, posmutniał, tak jak zwykle gdy myślał o matce.

- Brittany jest taka słodka - westchnęła cicho Shelley. - Mam nadzieję, że skoro jedna wnuczka jest

taka wspaniała, to mama nie zechce mieć natychmiast tuzina następnych.

Gere spojrzał na nią ukradkiem.

- Nie chcesz mieć dzieci?

- Oczywiście, że chcę - odpowiedziała z uśmiechem. - Gdy spotkam odpowiedniego mężczyznę i oboje zdecydujemy, że nadszedł właściwy czas.

- Aha. - Gere poczuł nagle, że ma zbyt ciasny kołnierzyk.

- A ty? - spytała.

- Słucham?— Przypomniał sobie, o czym rozmawiali. - Chodzi ci o dzieci?

Shelley skinęła głową.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Jeszcze dwie minuty temu było to prawdą.

- Większość mężczyzn nie myśli o dzieciach. To chyba jest uwarunkowane biologicznie.

- Uhm - zgodził się Gere. - Kwestia hormonów.

- Czy to wina jego wyobraźni, czy w samochodzie zaczęło się robić coraz bardziej gorąco?

- To okropne - powiedziała Shelley.,

- Okropne?

- Pomyśl tylko! Dzieci są takie... słodkie. - Przypomniała sobie małą Brittany, którą tuliła w ramionach. - Takie malutkie, a mimo to takie... doskonałe. Zależą całkowicie od dorosłych, a jednocześnie są bardzo niezależne i każde ma swoją indywidualność. Przykro pomyśleć, że ktoś, kto chociaż raz trzymał dziecko w ramionach, chciałby mieć własne wyłącznie z powodu hormonów.

- Cała reakcja emocjonalna związana jest z instynktem zachowania gatunku.

Shelley odwróciła głowę, tak że mógł widzieć jej twarz.

- Instynkt zachowania gatunku?
- Tak. Bez prokreacji ludzkość przestałaby istnieć. Nasze pragnienie łączenia się i rozmnażania wypływa z instynktu, by przedłużyć własne istnienie poprzez potomstwo.

- Niezbyt to romantyczne - zauważyła Shelley. Tak naprawdę była to najmniej romantyczna rzecz, jaką w życiu usłyszała.

- Romantyzm jest wynalazkiem człowieka, nie natury - roześmiał się cicho Gere.

- A miłość?

- Luksus wdrapywania się coraz wyżej po drabinie ewolucyjnej.

- Bzdura! - zaprotestowała Shelley.

- To... - odchrząknął Gere - oczywiście, znaczne uproszczenie. Człowiek jest bardzo złożoną istotą i dlatego jego emocje... - W tej chwili zdał sobie sprawę, że Shelley nie rozumie, o co mu chodzi. Czemu dotąd nie przyjął do wiadomości faktu, że nie potrafi rozmawiać z ludźmi spoza kręgu naukowców? Tak bardzo pragnął zrobić dobre wrażenie, a tylko ją obraził.

Poczuł ulgę, gdy zajechali pod restaurację i oddał samochód do zaparkowania portierowi. Zyskał chwilę, by zastanowić się, jak nawiązać na nowo sympatyczny kontakt z Shelley.

Jej zaś wystarczyło jedno spojrzenie na portiera w szarym uniformie, by myśl o przekroczeniu progu restauracji napełniła ją przerażeniem. Fakt, że „sympatyczny facet” zaczął się zachowywać jak niewrażliwy jajogłowy, bynajmniej nie poprawiał sytuacji. Jego teoria wyprowadziła ją z równowagi. Wysiadła z samochodu i stanęła przy wejściu do restauracji, czekając na Gere'a.

Gdy szedł w jej kierunku, ponownie zwróciła uwagę, jak elegancko wygląda w ciemnym garniturze. Sama czuła się jak pielgrzym, który wsiadł na niewłaściwy statek. Wiele dałaby, żeby znaleźć się teraz u „Angela” w swej „małej czarnej” zamiast w tym nudnym miejscu, w ponurej sukience ze sztywno wykrochmalonym kołnierzem!

Portier otworzył przed nimi drzwi, witając ich oficjalnym: „Dobry wieczór”, Gere zaś ujął ją pod rękę i weszli do przestronnego holu, w którym ogromny żyrandol rzucał cienie na nieskazitelnie białe, częściowo wyłożone boazerią ściany i na masywnych postumentach w greckim stylu stały donice z wielkimi paprociami. Czując, że Gere ściska lekko jej łokieć, Shelley spojrzała mu w twarz. Miał tak poważną minę i był tak onieśmielony, że wszystkie inne myśli wyparowały jej z głowy.

- Mam skłonność do patrzenia na wszystko z naukowego punktu widzenia - powiedział.

- Zauważyłam.

- Czasami muszę przez to wydawać się... daleki i oschły. Ale to wcale nie oznacza, że jestem pozbawiony uczuć.

- W to wierzę - odrzekła, patrząc mu w oczy.

ROZDZIAŁ

5

Shelley nigdy dotąd nie wyczuwała tak wyraźnie czyjegoś wyobcowania, samotności i rozpaczliwej potrzeby akceptacji, jak w chwili gdy patrzyła w oczy Gere'a w holu eleganckiej restauracji. Był nawet bardziej otwarty od Kevina. Podniosła rękę, by go pogłaskać po policzku, ale w momencie gdy dotykała z wahaniem jego twarzy, pojawił się wyfrakowany szef kelnerów. Z miną winowajcy cofnęła rękę.

- Dobry wieczór. Jestem doktor Garrick Booth. Zarezerwowałem u was stół.

Szef sali skinął głową z dziwną mieszaniną służalczości oraz arogancji i poprowadził ich do stolika. W całej sali powtarzał się motyw kolumn greckich. Jedne przedzielały salę, tworząc, przytulne nisze, inne służyły jako postumenty pod donice z paprociami i wazony z ciętymi liliami.

Ich stół był nieduży i okrągły i gdy przy nim usiedli, z miejsca zapanowała atmosfera intymności. Shelley założyła nogę na nogę, odsuwając je na bok, żeby broń Boże nie dotknąć kolan Gere'a, mimo to czuła ciepło jego nóg.

Niemal natychmiast zjawił się kelner i podał Gere'owi listę win, który przejrzał ją, po czym spytał troskliwie Shelley:

- Czy masz jakieś szczególnie ulubione wino?

Szczególnie ulubione? U „Angela” zawsze zamawiała wino stołowe.

- Jakieś... - powiedziała piskliwym głosem, odchrząknęła, spróbowała jeszcze raz. - Jakieś białe?

Gere skinął głową, przejrzał jeszcze raz listę, wreszcie wymienił jakąś imponującą niemiecką nazwę. Kelner stuknął obcasami, warknął: *Jawohl* i odmaszerował po zamówione przez Gere'a wino.

Nie zdążył się jeszcze oddalić, gdy inny kelner przyniósł im kartę. Shelley zawahała się, zerkając na złote godło restauracji wytłoczone na skórzanej okładce.

Zżerała ją ciekawość, ile ten wieczór będzie kosztował Gere'a, ale przy daniach nie podano cen. Po raz pierwszy zauważyła, że jej karta była białego koloru, tymczasem Gere'a - niebieskiego, w dodatku znacznie większa. Ze ściśniętym gardłem pomyślała, ile musi kosztować kolacja, skoro chroni się kobiety przed wstrząsem, jaki mogłyby przeżyć na widok cen.

Chociaż pochlebiało jej, że zabrał ją do takiej restauracji, aby jej zaimponować, i prawdopodobnie wyda tyle pieniędzy, ile ona zarabia przez tydzień, korciło ją, by pochylić się ku niemu i powiedzieć: „To nie jest konieczne. Wołałabym raczej pójść gdzieś, gdzie jest mniej sztywno”.

Nie mogąc się na nic zdecydować, pozostawiła wybór Gere'owi, z czego był wyraźnie zadowolony. Zamówił jako główne danie *mahi-mahi*, a przedtem kompot ze świeżych owoców i sałatkę cesarską.

Kelner przyjął zamówienie, nie zapisując niczego, co Shelley umiała docenić, ponieważ sama pracowała

krótko jako kelnerka, tymczasem pierwszy pojawił się z winem i odegrał małe przedstawienie, celebrując otwieranie butelki i nalewając odrobinę Gere'owi do spróbowania. I znowu Gere, nieśmiały odludek Gere, z absolutnym spokojem sprostą sytuacji. Powąchał wino, poruszył kieliszkiem, oglądając je pod światło, zrobił uwagę na temat bukietu, następnie skosztował łyk i pochwalił jego smak.

Kelner napełnił kieliszek Shelley, potem Gere'a, następnie włożył butelkę z powrotem do kubełka z lodem i dyskretnie się oddalił. Shelley zastanawiała się, czy powinna pierwsza się napić, ale Gere wybawił ją z kłopotu, wznosząc kieliszek w toaście:

- Za pocztę i śliczną doręczycielkę.

Shelley stuknęła się z nim kieliszkiem, kwitując uśmiechem komplement. Gere obserwował ją znad kieliszka.

- Dobrze? - Spytał.

- Pyszne - odrzekła szczerze. - Smakuje... słońcem.

- Ilość słońca w okresie dojrzewania winogron wpływa na zawartość cukru w owocach, co z kolei rzutuje na proces fermentacji po zebraniu winogron. W pewnym sensie rzeczywiście próbujesz słońca.

Shelley przyglądała mu się, gdy sączył wino. Ten człowiek był doprawdy zagadką. W chwili gdy najmniej się tego spodziewała, okazywał się rozbrajająco uroczy. Jak pogodzić jego wcześniejsze uwagi na temat miłości z tą ostatnią o smaku wina?

Był również kameleonem, jeśli idzie o wygląd zewnętrzny. Czy elegant w ciemnym garniturze i jedwabnym krawacie to ten, sam facet, który biegał z psami w zniszczonej bluzie i obciętych dżinsach? Niegdyś zmierzwione włosy zostały podstrzyżone,

zaczęte do tyłu i przyglądzone za pomocą jakiegoś nadającego połysk środka. Surowy styl podkreślał jego męskie rysy, przez co przypominał raczej gangstera lub hazardzistę niż naukowca.

- Dlaczego...

- Dlaczego...

Spojrzeni na siebie i wybuchnęli śmiechem.

- Ty pierwszy - powiedziała Shelley.

- Zastanawiałem się, dlaczego wybrałaś pracę listonoszki.

- To dobrze płatne zajęcie - odparła ze wzruszeniem ramion. - Spotykam mnóstwo ludzi. Mam uczucie, że robię coś ważnego. - Uśmiechnęła się. - Poza tym próbowałam już praktycznie wszystkiego.

- Na przykład?

- Byłam kelnerką. Ekspedientką. Potem pracowałam w biurze, odbierałam telefony, otwierałam korespondencję i adresowałam koperty. Było całkiem nieźle, ale miałam dosyć wiecznego opędzania się od mojego szefa, musiałam więc rozejrzeć się za czymś innym. Moja najlepsza przyjaciółka pracowała jako zmienniczka na poczcie. Jej wujek jest listonoszem, i pomógł jej załatwić tę pracę, postanowiłam więc spróbować i ja.

- Zmienniczka?

- Tak. Poczta dostarcza się sześć razy w tygodniu, a tydzień pracy doręczyciela liczy pięć dni. Każdy więc ma zmiennika, który pracuje szóstego dnia, a poza tym załatwia wszelkie nadwyżki i obsługuje nowe trasy, dla których nie wyznaczono jeszcze stałych listonoszy.

- Czy widzisz każdy list, który dostarczasz adresatowi? - Chociaż Gere starał się, by zabrzmiało to nonszalancko, było oczywiste, że czuje się skrępowany.

- Cała poczta, którą mam rozwieźć, trafia do mnie w dużym pojemniku. Przed rozwiezieniem muszę ją posortować.

- To musi być interesujące - rzekł z przymusem.

- Czasami - przyznała. - Ale istnieje tajemnica korespondencji i staram się widzieć wyłącznie adres.

- Ale nie zawsze ci się to udaje, prawda?

Widmo doktora Hunka siedziało z nimi przy stole. Shelley postanowiła, że czas już rozprawić się z nim raz na zawsze.

- Pewnych rzeczy trudno nie zauważyć, na przykład korespondencji do doktora Hunka.

Gere westchnął, czując właściwie ulgę, że temat został w końcu poruszony.

- Domyślałem się. Shelley, te listy...

Miała zamiar mu powiedzieć, że nie musi się tłumaczyć, ale rozmowę przerwało nadejście kelnera, który przyniósł składniki ich sałatki. Celebrował podobnie jak jego poprzednik z winem. Przekroił ząbek czosnku i posmarował nim od wewnątrz drewnianą misę, po czym ułożył w niej sałatę. Następnie wbił jajko do pomocniczej miseczki, roztrzepał je dokładnie i spryskał nim sałatę. Przewracał ją tak długo specjalnymi srebrnymi widelcami, aż listki nabrały połysku, ale nie było na nich widać jajka.

Kelner spytał Gere'a, czy życzą sobie grzanki. Gere odwrócił się do Shelley, unosząc brew. Skinęła z uśmiechem głową, a Gere zrobił to samo, patrząc na kelnera. Ten sam rytuał powtórzył się przy serze pleśniowym, gdy jednak kelner otworzył szklany pojemniczek z sardelami, Shelley skrzywiła się i pokręciła głową. Gere uśmiechnął się i odtworzył wiernie jej gest, na co kelner z miną urażonej godności postawił pojemnik z powrotem na wózku.

Po raz pierwszy, odkąd weszli do restauracji, Shelley dobrze się bawiła. Zdawała sobie sprawę, że inni goście przyglądają się im i, o dziwo, nie miała nic przeciwko temu. Może ten wieczór nie okaże się całkowitą katastrofą.

Kelner wycisnął sok z owiniętej w gazę połówki cytryny do shakera z oliwą, zamknął pokrywkę i zaczął nim potrząsać. Wreszcie polał sosem sałatę, nałożył swe dzieło na oziębione talerze i postawił je przed Shelley i Gere'em. Następnie dramatycznym gestem magika wyczarował młynek do pieprzu z ciemnego lśniącego drzewa. Trzymając go przed sobą niczym miecz samurajski, spytał wyniośle:

- Czy *madame* życzy sobie świeżo mielonego pieprzu?

- Poproszę - odpowiedziała Shelley. Uśmiechnęła się do Gere'a, tymczasem kelner, stojąc tuż obok niej, z przesadną gorliwością kręcił młynkiem. Nagle, bez ostrzeżenia, zaczęło ją straszliwie kręcić w nosie.

Nie zdołała się opanować i kichnęła. Serdecznie. Z całej siły. Tak głośno, że usłyszeli wszyscy eleganccy goście eleganckiej, drogiej restauracji. Kelner odsunął gwałtownie młynek, jak gdyby obawiał się, że zostanie zakażony ilością zarazków zdolną wywołać światową epidemię dżumy.

Do Shelley ledwie dotarło: „Na zdrowie!” Gere'a, tymczasem kelner zabrał talerz z jej sałatką i powiedział przez nos:

- Przyniosę z kuchni talerz na świeżą sałatkę.

Gere przyglądał się zafascynowany twarzy Shelley, na której odzwierciedlały się kolejno różne emocje: obawa przed upokorzeniem, dezaprobata, poczucie winy i wreszcie zawstydzenie.

- Nie - odpowiedziała kelnerowi, policzki jej pło-
nęły. - Nie musi pan... Nie potrzebuję... Nie...

- Shelley - wtrącił Gere tak autorytatywnym to-
nem, że przyciągnął jej spojrzenie - wszystko w po-
rządku. W misie zostało jeszcze całe mnóstwo sałaty.
Dostaniesz nowy talerz.

Kelner wycofał się, niosąc jej talerz z takim obrzy-
dzeniem, jak gdyby był to basen chorego.

Shelley nie odrywała wzroku od twarzy Gere'a.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Policzki wciąż jeszcze miała zaróżowione. Gere
nigdy nie przypuszczał, że czyste piękno kobiecego
rumieńca może sprawić, by zamarło w nim serce, by
kompletnie stracił oddech. Ale też nigdy dotąd nie był
naprawdę zakochany. A w Shelley Peters zakochał się
po uszy, beznadziejnie i nieodwołalnie.

- Nie ma nic poniżającego w kichaniu - powie-
dział, mając nadzieję, że ją pocieszy.

- Nigdy nie byłam uczulona na pieprz.

- Prawdopodobnie pieprz był bardzo świeży.

- Chciałabym zapaść się pod ziemię.

- Nie rób tego. Kelner mógłby zmusić mnie do zje-
dzenia całej sałatki i nie zostałyby miejsca na *mahi-mahi*.

Za tę dowcipną uwagę został nagrodzony uśmiechem.

- Twoja siostra bardzo się myli - powiedziała
Shelley. - Masz wspaniałe poczucie humoru.

- Ona tak twierdzi, ponieważ nie zawsze podobają
mi się jej dowcipy. Na przykład, zupełnie mnie nie
rozśmieszyło ogłoszenie, które zamieściła w rubryce
samotnych serc, zachęcając kobiety, by pisały do
doktora Hunka.

- A więc tak to wygląda. Podejrzewałam, że cho-
dziło o ogłoszenie, ponieważ listy nadchodzą z całego
kraju.

- Myślałaś, że to ja je zamieściłem?
- Nie miałam pojęcia. Ale gdy cię poznałam, pomyślałam, że nie wyglądasz na kogoś, kto robi takie rzeczy.

„Nie wyglądasz na kogoś, kto robi takie rzeczy.” Nagle Gere poczuł się zdemaskowany. Czyżby intuicja podpowiadała jej, że nigdy nie wybrałby dla siebie takiego absurdalnego nazwiska? Czy uważała go za nedorajdę, którego nie stać nawet na zamieszczenie ogłoszenia matrymonialnego? Czy też według niej jest nieprawdopodobne, by otrzymywał listy adresowane do doktora Hunka?

Tymczasem kelner nałożył sałatkę na czysty talerz i postawił go przed Shelley. Przyniósł też młynek i spytał protekcyjnym tonem:

- Czy *madame* życzy sobie świeżo zmielonego pieprzu?

Jego nadęta mina wyzwoliła w niej odwagę. Równie nieprzyjemnym, lodowatym tonem odpowiedziała:

- Nie, *madame* nie życzy sobie świeżo zmielonego pieprzu, uprzejmie dziękuję.

Kelner skłonił się krótko Gere'owi, zadarł nos do góry i oddalił się, pchając przed sobą wózek.

Shelley sięgnęła po widelec, czując jednak, że Gere jej się przygląda, oparła lekko rękę na stole.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam stracić panowania nad sobą, ale on był taki...

- Arogancki i trudny do zniesienia - dokończył za nią Gere. - A ty wspaniale sobie z nim poradziłaś.

Uśmiechnął się do niej z aprobatą. Shelley zalała falą ciepłych uczuć. Zastanawiała się, jak mogła dotąd nie zauważyć, że ma naprawdę piękny uśmiech. Po chwili zreflektowała się, nie było przecież po temu zbyt wielu okazji podczas krótkich spotkań przy jego

skrzynce pocztowej. Gere był dzisiaj zupełnie inny: wciąż nieśmiały, spokojny, ale jednocześnie pewny siebie. Nigdy nie wydawał jej się specjalnie postawnym mężczyzną, ale najpierw w samochodzie, a teraz przy małym stoliku na dwie osoby sprawiał wrażenie znacznie potężniejszego niż na swym ogromnym podwórku.

Shelley po raz pierwszy zobaczyła w nim mężczyznę. Siedząc blisko niego, wyczuwała ciepło emanujące z jego ciała, wdychała zapach płynu po goleniu. Był przyjemny, bardzo męski. Próbowwała sobie przypomnieć, czy zwróciła kiedykolwiek uwagę na ten zapach, doszła jednak do wniosku, że Gere używał widocznie kosmetyków tylko wówczas, gdy się gdzieś wybierał.

Jedli w milczeniu sałatkę, słuchając dobiegających z przyległej sali łagodnych dźwięków pianina.

- Kevin uważa twoją pracę za najciekawszą w świecie ~ powiedziała Shelley, gdy czekali na danie główne.

- Zaimponowało mu, gdy powiedziałam, że zajmujesz się badaniem owadów, ale gdy usłyszał w dodatku o żabach, postanowił zostać entomologiem.

- Twój brat jest dla ciebie kimś bardzo ważnym, prawda?

- Tak - odrzekła z uśmiechem. - Byłam prawie nastolatką, gdy się urodził, rósł przy mnie. - Upiła łyk wina. - Jest bardzo zdolny. Chciał się dowiedzieć czegoś o twoich badaniach, ale nie potrafiłam mu wytłumaczyć tak dobrze jak ty.

- Założę się, że zrobiłaś to świetnie.

- Na tyle, na ile sama zrozumiałam.

- Większość ludzi nie próbuje nawet zrozumieć, czym się zajmuję.

- Jesteś tak namiętnie oddany pracy.

- Namiętnie? - Gere omal się nie zachłysnął winem.

- Oczywiście. Wierzysz w to, co robisz. Większość ludzi tylko pracuje, a ty próbujesz ulepszyć świat.

- W twoich ustach zabrzmiało to, jak gdybym był bohaterem - powiedział, przyglądając jej się bacznie.

- Może jesteś.

Gere pokręcił głową, odrzucając tę ewentualność. Nigdy w życiu nie czuł się ani trochę bohatersko.

^Ł- Czemu nie? Mnóstwo osób pragnęłoby zmienić świat, ale niewielu się to udaje. Ty masz szansę.

Wiedział, że nie stara się mu pochlebić, ponieważ jednak był tylko człowiekiem, chciał usłyszeć więcej.

- Dlaczego?

Wydawała się zdziwiona jego pytaniem.

- Sam wiesz dlaczego. Jesteś naukowcem.

Gere wybuchnął śmiechem.

- Co w tym widzisz zabawnego? - spytała.

- Nic. Po prostu... twoja prostoduszność jest taka urocza, Shelley.

- Mówiłam poważnie.

- Wiem. I wzrusza mnie twoja wiara. Ale prawdziwe odkrycia naukowe są w równej mierze dziełem szczęśliwego przypadku, co wiedzy. Może się zdarzyć, że spędzę resztę życia na poszukiwaniu naturalnych związków chemicznych i nie znajdę ani jednego, który mógłby być wykorzystany w praktyce.

- Albo znajdziesz coś, eo pomoże milionom ludzi.

- Miło mi, że we mnie wierzysz, Shelley, ale to nie jest takie proste.

- Próbowalesz zastosować metodę wizualizacji?

- Wizualizacji?

- Nigdy o tym nie słyszałeś?

- Obawiam się, że nie.

- Polega na... No po prostu wyobrażasz sobie, że odniosłeś sukces, aby twój umysł mógł to zaakceptować.

- Chyba nie wierzysz, że wyobrażanie sobie czegoś może sprawić, że naprawdę się to stanie?

- To kwestia otwarcia umysłu na wszystko, co może się zdarzyć. Jeśli twój umysł jest zamknięty, nie zauważysz, że dokonałeś odkrycia, ponieważ na to nie liczysz.

Widząc jego sceptyczne spojrzenie, dodała:

- Twój umysł nie postrzega różnicy pomiędzy tym, co mówisz, a tym, co naprawdę się dzieje. Jeśli wmawiasz sobie, że nie dokonasz odkrycia, chyba że dopisze ci szczęście, twój umysł nie będzie pracował jak należy.

- Sama wymyśliłaś tę... teorię?

- Nie! - wykrzyknęła zdumiona, że mógł uważać ją za zdolną do tego. - Oczywiście, że nie. Brałam udział w specjalnych zajęciach.

- Uczyłaś się fantazjowania?

- Kreatywnej wizualizacji - sprostowała. - Tak, uczyłam się wielu rzeczy. Niektórzy ludzie zdobywają stopnie naukowe, a ja po prostu uczę się tego, co mnie interesuje/Pewnie to brzmi głupio dla kogoś, kto ma dwa doktoraty.

- To brzmi jak pragmatyczne podejście do kształcenia się. - Pomyślał, że Kelsey z pewnością polubi Shelley i ta myśl sprawiła mu przyjemność.

- Mogłabym nauczyć cię podstaw wizualizacji - zaproponowała Shelley pomiędzy *mahi-mahi* a *dese-rem*. - Jak się relaksować i jak stworzyć swój wizerunek człowieka, któremu, wszystko się udaje.

- Pozostanę przy czterolistnej koniczynie i zajęczej łapce - uśmiechnął się Gere.

- Rozumiem - powiedziała Shelley, unosząc brew.
- To naukowe podejście.

W tej chwili kelner przywiózł wózek z deserami. Oczy Shelley zrobiły się okrągłe jak spodki na widok tortów udekorowanych owocami w galaretkce, oszronionych szklanek z musem czekoladowym i kremem polanym likierem, plastrów różnych owoców czekających, by je pokryć świeżo ubitą śmietaną, wielkich truskawek zanurzonych w sosie czekoladowym.

- O mój Boże! - wykrzyknęła, gdy zdołała wreszcie oderwać wzrok od wózka, co rozśmieszyło Gere'a niemal do łez.

- Wnioskuje, że *madame* życzy sobie deser? - rzekł zimno kelner.

- Sądzę, że się pan nie myli - odpowiedział Gere.

Musieli wysłuchać nie kończących się kwiecistych opisów wszystkich deserów, aż wreszcie kelner cofnął się i spojrzał wyczekująco na Gere'a, który z kolei spytał wzrokiem Shelley. Ona zaś poprosiła o jedną truskawkę.

- Jedną truskawkę? - powtórzyli chórem Gere oraz kelner.

- Jedną, doskonałą truskawkę zanurzoną w pysznym sosie czekoladowym - zacytowała słowa kelnera.

- Standardowe zamówienie przewiduje trzy truskawki - poinformował ją kelner.

- Ja proszę o jedną.

- Słyszał pan? - wtrącił się Gere. - *Madame* życzy sobie jedną doskonałą truskawkę zanurzoną w pysznym sosie czekoladowym. - Mrugnął do kelnera. - Ja zjem dwie pozostaje.

Później, gdy czekali, aż portier podstawy samochód, Gere spytał Shelley:

- Dlaczego akurat jedna truskawka?
- A dlaczego jedna czerwona róża? - odrzekła wojowniczo, - Ponieważ jest doskonała.

Później już w samochodzie powiedziała:

- Gere?

- Tak?

- Co do truskawki... - zaczęła poważnie, jak gdyby chciała zdradzić mu jakiś straszliwy sekret.

- Co takiego? - spytał zaciekawiony.

- Zamówiłam jedną, ponieważ wiedziałam, że to zdenerwuje kelnera. - Przełknęła ślinę, po czym dodała cicho: - Czy wprawiłam cię w zakłopotanie?

Gere milczał przez chwilę zdumiony, po czym wybuchnął głośnym śmiechem.

- Zakłopotanie? Ależ byłem z ciebie dumny! Ten kelner zachowywał się bezczelnie. Nie rozumiem, jak mogą tolerować taką arogancję! - Zamilkł na chwilę, po czym spytał: - Wolisz inny typ restauracji, prawda?

- Jest bardzo ładna - odpowiedziała. - Jedzenie było znakomite.

- W zeszłym roku odwiedzili instytut moi dawni profesorowie i Sondra, moja partnerka, zamówiła kolację w „Gaspardzie”. Stąd przysłała mi do głowy ta właśnie restauracja.

- Nie wiedziałam, że jesteś z kimś związany - powiedziała Shelley.

- Już nie - odrzekł krótko.

Z tonu Gere'a Shelley domyśliła się, że rozstanie nie należało do przyjemnych. Jego niechęć do rozmowy na temat Sondry pobudziła tylko jej ciekawość. Czy Sondra również była naukowcem? Czy Gere poznał ją w Harvardzie?

Nie powodowała nią zazdrość, ale nie miała ochoty być kimś gorszym od jego tajemniczej partnerki.

Sondra prawdopodobnie nie musiała pożyczać sukni ani nie była uczulona na świeżo zmielony pieprz.

Gere wyrwał ją z zamyślenia, mówiąc:

- Nie jestem zbyt towarzyski. Rzadko gdzieś bywam, toteż nie jestem biegły w planowaniu...

Shelley położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ależ, Gere, naprawdę cieszę się, że mnie tam zabrałeś. Wiele słyszałam o tej restauracji, ale nigdy w niej nie byłam.

- Z pewnością często wychodzisz z przyjaciółmi.

- Rzeczywiście raczej nie siedzę w domu - przyznała.

- A dokąd chodzicie? Co robisz zwykle w sobotę wieczorem?

- Różne rzeczy, Idę do restauracji, do kina...

Gere zastanawiał się przez chwilę nad jej odpowiedzią, a następnie spytał:

- A co chciałabyś robić dzisiaj?

- Dzisiaj?

- Jest jeszcze dość wcześnie. Jeśli masz na coś ochotę...

Shelley zorientowała się, że zależy mu bardzo, by coś zaproponowała. Gorączkowo rozważała różne ewentualności. W grę wchodził film, który miała ochotę zobaczyć, ale była już dziesiąta i zanim kupiliby gazetę i sprawdzili, gdzie go grają, zrobiłoby się zbyt późno. Nie wyobrażała sobie też, by mogła grać w siatkówkę w klubie „Beachcomber” w swojej sukience. Pozostawał zawsze „Angelo”, ale z pewnością panuje tam o tej porze straszliwy tłok. Przydałoby się im spokojne miejsce, gdzie mogliby porozmawiać i poznać się lepiej.

- Czy ten dach się składa? - spytała.

- Tak. Oczywiście.

- Czemu więc jeszcze tego nie zrobiłeś? Noc jest taka piękna.

Gere posłusznie opuścił dach, a Shelley włączyła radio i zaczęła szukać jakiejś muzyki.

- Dokąd? - spytał.

- Do jednego z moich ulubionych miejsc - powiedziała, odchylając się w fotelu i patrząc w gwiazdy.
- Jedź prosto, dopóki ci nie powiem, żebyś skręcił.

W piętnaście minut później znaleźli się w niewielkim parku. Zaparkowali samochód nad brzegiem jeziora, po którego grafitowoczarnej tafli tańczyły srebrzyste promienie.

- Jak ci się podoba moje jezioro? - spytała Shelley.

- Jest śliczne - odpowiedział Gere, którego znacznie bardziej interesowała dziewczyna niż połyskliwa woda. Po raz pierwszy miał okazję rozkoszować się widokiem Shelley w blasku księżyca.

Skrzyła się cała w tej bladej poświacie. W jej włosach igrały promienie, tworząc srebrną aureolę wokół twarzy, skóra wydawała się półprzezroczysta. Choć z radia dobiegały ciche dźwięki muzyki, słyszał delikatny szmer jej oddechu.

- Ten opuszczany dach to po prostu чудо - powiedziała. - Tak się przyzwyczałam do mojego dziapa, że w większości samochodów czuję się jak w więzieniu.

Odchyliwszy głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i głośno westchnęła.

- Jaki niewiarygodny spokój panuje tutaj w nocy.

Czy zdawała sobie sprawę, jak na niego działała? Czy robiła to celowo? To westchnienie. Sposób, w jaki odchyliła głowę, eksponując szyję. Z zapartym tchem przyglądał się, jak delikatnie falują jej piersi.

- Często tu przyjeżdżasz? - spytał.

- Nie tak często, jak bym chciała. Bałabym się sama w nocy szaleńca z hakiem.

- Szaleńca z hakiem?

- Nigdy o nim nie słyszałeś?

Pokręcił przecząco głową.

- Opowiedz mi.

- Pewnej nocy - zaczęła mówić w taki sposób, jak gdyby opowiadała bajkę młodszemu bratu - bardzo podobnej do dzisiejszej, chłopiec i dziewczyna, bardzo podobni do nas, wybrali się do parku, bardzo podobnego do tego, w którym jesteśmy. Rozmawiali, słuchali radia i całowali się. Nagle spiker podał przez radio specjalny komunikat. Otóż z miejscowego zakładu dla psychicznie chorych zbrodniarzy zbiegł szaleniec i podejrzewano, że krąży gdzieś po tym terenie. Zamiast prawej ręki miał hak, którym torturował ludzi, i uważano go za bardzo niebezpiecznego.

Gere słuchał zafascynowany zarówno historią, jak i wdziękiem, z jakim ją opowiadała.

- Dziewczyna przestraszyła się i chciała wracać do domu, ale chłopiec... No cóż, nie miał ochoty przerywać pieszczot...

- H m m - mruknął Gere.

- Klócili się przez chwilę, ale dziewczyna nalegała tak bardzo, że chłopiec w końcu ustąpił. Przez całą drogę do domu słyszeli dziwny dźwięk dobiegający z zewnątrz, jak gdyby coś uderzało o drzwi. Gdy dojechali do domu dziewczyny i chłopiec wysiadł, by ją wypuścić, zobaczył... Wiesz co?

- Wydaje mi się, że się domyślam.

- No właśnie. Na klamce drzwi wisiał zaczepiony hak. A następnego dnia dowiedzieli się, że szaleniec zamordował cztery osoby nad tym samym jeziorem.

- Czekala na reakcje Gere'a, on jednak sie nie odzywala. - Podobno to prawdziwa historia.

- Wapnie - odparl ze sceptycyzmem.

- Moze sie troche przejdziemy? - spytala. - Brzegiem jeziora prowadzi sciezka.

- I nie boisz sie szaleńca?

- Zaryzykuje. Poza tym jest przy mnie silny męczyzna, który mnie w razie czego obroni.

Gere delectował sie myślą odegrania roli bohatera nawet w hipotetycznej sytuacji.

- Stawmy wiec czoło niebezpieczeństwu - powiedzial, wysiadajac.

Ruszyli sciezka wzdłuż brzegu, mijajac spiacę kaczkę z nastroszonymi piórami i głowami schowanymi pod skrzydła. Niekiedy lekki powiew marszczył spokojną wodę, macac odbicie księzyca i drobne fale pluskaly o brzeg. Jedna z kaczek obudzila sie i podniosla dziób w nadziei dostania jakiegoś smacznego kaska, widzac jednak, ze ludzie nie mają żadnego jedzenia, schowala z powrotem dziób pod skrzydło.

- Zdaje sie, ze zrobiono nam afront - powiedziala Shelley, chichoczac.

- Najpierw kelnerzy, teraz kaczkę - dodal Gere.

Nagle, wypatrzywszy z lewej strony plac zabaw, Shelley puszcila sie biegiem, wołajac przez ramie:

- Założę sie, ze potrafię sie huścac wyzej od ciebie!

Byla to ostatnia rzecz, jakiej mógł sie spodziewac po dziewczynie ubranej wyjściowo w nobliwą czarną suknie. Oszołomiony, pobiegl za nia i usiadl na sasiedniej huścawce, dopiero moszczac sie na niej, gdy Shelley byla juz w gorze. Odbil sie nogami od ziemi i frunal pod niebo.

Shelley huścala sie jak szalona, wznoszac sie coraz wyzej i wyzej, a Gere staral sie jej dorównac. Nie

był na huśtawkach ód czasów dzieciństwa i nie pamiętał już uczucia absolutnej wolności, szybowania w powietrzu. Jak gdyby czytając w jego myślach, Shelley powiedziała:

- To jest prawie tak wspaniałe jak jazda z opuszczonym dachem.

- Jeszcze lepsze - potwierdził, mając akurat w zasięgu wzroku jej wyprostowaną nogę i sukienkę wydeętą na wietrze.

Nie miał pojęcia, jak długo się huścili, wiedział tylko, że czuł się cudownie. Wreszcie Shelley pierwsza zatrzymała huśtawkę.

- Zmęczona? - spytał troskliwie.

- Nie, po prostu chcę spróbować czegoś innego.

- Czego?

- Przygody - powiedziała, zeskakując z huśtawki. Zaczekała na niego, a następnie poprowadziła w głąb placu zabaw, gdzie wznosiły się drewniane konstrukcje niczym gigantyczne zwierzęta, które przycupnęły tu na noc. - Gdy byłam mała, nie mieliśmy takich możliwości zabawy - powiedziała z zadumą. - Były tylko zwykłe karuzele i huśtawki na desce.

Przyglądała się bacznie różnym konstrukcjom, wreszcie wybrała kombinację z drewna i lin: Weszła ostrożnie na drewnianą kładkę ze sznurowymi poręczami.

- Przeszliśmy tędy kiedyś z moim bratem. Nie da się tutaj utrzymać równowagi.

Obcas zakleszczył się Shelley pomiędzy dwiema deszczułkami i gdy chciała iść dalej, stopa wyslizgnęła jej się z pantofelka.

- W tenisówkach było to znacznie łatwiejsze zadanie - powiedziała, nie tracąc dobrego humoru. Przyklękała, by podnieść pantofelek, zdjęła drugi i rzuciła

obydwa na ziemię. - Przypomnij mi, żebym je włożyła, gdy będziemy wracać.

Posuwali się bardzo wolno po niepewnym moście. Kołysał się i trząsał przy każdym poruszeniu, zmuszając ich, by trzymali się mocno sznurowej poręczy. Ponieważ idący z tyłu Gere był cięższy, Shelley miała jeszcze bardziej utrudnione zadanie, musiała bowiem iść pod górę. W pewnym momencie jeden fałszywy krok tak rozhuścił most, że stoczyła się na Gere'a.

- Niesamowite uczucie, gdy ziemia kołysze się pod stopami. - Nie chodziło mu o harce mostu, lecz o chwilę gdy ramię Shelley dotknęło jego piersi.

- Kevin wspinał się po tej kładce niczym małpa.

- Co jest na szczycie?

- Poczekaj, a zobaczysz.

Po kilku minutach dotarli na górną platformę, która przypominała duży kojec z podłogą uplecioną z siatki, jakiej używają akrobaci dla zabezpieczenia w razie upadku. Z okrzykiem radości Shelley dała długiego susa na sam środek siatki, która ugięła się pod jej ciężarem. Straciwszy równowagę, wylądowała na niej w pozycji siedzącej, z rozłożonymi nogami i zadarła sukienką, niczym szmaciana lalka.

Spiesząc się, by sprawdzić, czy nic się jej nie stało, Gere stracił oparcie dla stóp i poleciał do przodu, uderzając Shelley w plecy i ładując z ramieniem przerzuconym przez jej talię i nosem wtulonym w nieskazitelną białą kołnierzyk sukni.

Zawstydzony, chciał się odsunąć. Jego nagły ruch rozkołysał siatkę niczym łódź na falach. Na próżno usiłował znaleźć jakiś punkt oparcia, siatka ugięła się pod jego ciężarem i Shelley, chichocząc, poturlała się na niego, wspierając się dłonią o jego pierś.

Jej gest był absolutnie naturalny, przypadkowy, w przeciwieństwie do reakcji Gere'a. Czuł ciepło jej palców, napór jej piersi na żebra, biodra na udo.

- To przypomina pływanie w żelatynie - powiedziała z zachwytem.

Raczej tonięcie w podnieceniu, pomyślał Gere, ciekaw, czy na nią choć trochę działa ta bliskość, która powodowała u niego zawrót głowy.

Leżeli w bezruchu, dopóki gwałtowne drgania siatki nie przeszły w łagodne kołysanie. Znajdowali się teraz w gigantycznym hamaku pod baldachimem chmur i gwiazd otaczających sierp księżyca. Łagodny powiew szemrał w koronach drzew, od czasu do czasu rozlegał się krzyk jakiegoś ptaka, w trawie grały świerszcze.

- Jaki cudowny spokój! - westchnęła z rozmarzeniem Shelley.

- Niebiański - zgodził się Gere. Poświęciłby rok pracy za możliwość kochania się z nią tutaj, pod gwiazdami, nie wiedział jednak, jak ją spytać, a bał się popełnić błąd.

- Gdy byłam dzieckiem, lubiłam przyglądać się chmurom i zastanawiać się, jakie mają kształty. Ta nad nami przypomina królika.

- Mnie przypomina osę - powiedział Gere, obserwując chmurę w zamyśleniu.

- Na tym polega cała magia. Widzisz to, co chcesz zobaczyć. Ja widzę królika, ponieważ lubię małe puszyste zwierzątka, a ty widzisz osę, ponieważ lubisz owady.

- A jeśli nie zobaczysz niczego, co lubisz?

- Wtedy musisz poczekać, aż wiatr wyczaruje ci coś nowego. Widzisz? Królik zamienił się w serce.

- Osa zamieniła się w pszczołę - sprostował Gere.

Shelley nie zamierzała się z nim sprzeczać. Chwila była zbyt cudowna.

- To świetne miejsce, by spróbować kreatywnej wizualizacji.

- Ach, tak, chodzi ci o wyobrażanie sobie drogi do sukcesu - przypomniał sobie Gere.

- Nikt nie wierzył, że uda mi się załatwić posadę listonoszki w wieku dwudziestu dwóch lat, ale ja wyobraziłam sobie, jak rozwożę pocztę dżipem, i wkrótce potem pracowałam jako zmienniczka.

- A reszta poszła jak z płatka - dokończył Gere z wyraźnym powątpiewaniem.

- Spróbujmy tylko - powiedziała. - To nie boli.

- Co mam robić? - spytał Gere, nie chcąc jej urazić za żadne skarby.

- Po pierwsze, rozluźnij się.

Łatwo ci mówić, pomyślał Gere. Pożądanie narastało w nim niczym rozkręcająca się spirala i głęboki oddech, który mu zademonstrowała, tylko pogorszył sprawę.

- No, wybierz sobie jakąś gwiazdę, skoncentruj się na niej i weź głęboki oddech.

Gere spróbował bez przekonania.

- Jesteś taki spięty - zauważyła. - To ćwiczenie jest dla ciebie dobre, pomoże ci się zrelaksować. Czy już wybrałeś sobie gwiazdę? Pokaż mi którą.

Gere wybrał gwiazdę na chybił trafił.

- Niech będzie ta.

- Dobrze. Teraz się skoncentruj. Oddychaj głęboko. Próbuje myśleć wyłącznie o swojej gwiazdce.

Skoncentrować się na gwiazdce, gdy ma obok ciepłe ciało Shelley Peters? Gdy jej piersi napierają na jego żebra za każdym razem, gdy nabiera powietrza w płuca? Wolne żarty!

- Wyobraź sobie, że twoje ciało jest puste i ktoś wlewa w nie ciepły wosk, który wypełnia cię powoli, rozluźniasz się, stajesz się coraz cięższy, zapadasz się głębiej i głębiej w siatkę.

Gere zachowywał się nienaturalnie cicho.

- Czy czujesz się coraz cięższy? - spytała Shelley.

- Można tak to nazwać - rzekł ospale.

- To dobrze. Nie walcz z tym. Pozwól, żeby twoje ciało stawało się coraz cięższe. - Niemal straciła nadzieję, że zechce z nią współpracować, ale uważała, iż doktor Garrick Booth jest osobą, która powinna nauczyć się relaksować. - Zamknij oczy, gdy twoje powieki staną się ciężkie.

Shelley sama zamknęła oczy i odczekała chwilę.

- Już?

- Uhm.

- A teraz pomyśl o czymś, co chciałbyś odkryć, i wyobraź to sobie. Skoncentruj się na tym, czego pragniesz, i wyobraź sobie, że to robisz.

Wzięła jeszcze jeden głęboki oddech.

- Czy potrafisz wyobra....

Gere zamknął jej usta pocałunkiem. W pierwszej chwili Shelley była zbyt zaskoczona, by się poruszyć, jednak stopniowo delikatność tego pocałunku podziała na jej zmysły. Choć dotyk jego ust był lekki, kołysząca się siatka powodowała, że ich ciała stykały się w sposób bardzo intymny i znacznie intensywniejszy, niż gdyby znajdowali się w pozycji stojącej. Gere praktycznie leżał na niej, czuła jego sprężyste ciało rozpalone pożądaniem.

Oddychała ciężko, zaskoczona własną reakcją, rozchylając wargi i obejmując go, dziwiąc się, że coś tak nieoczekiwanego może okazać się tak niewiarygodnie naturalne. Przewidywała, że być może zechce ją zdaw-

kowo pocałować na pożegnanie i że ich znajomość będzie się rozwijać raczej na przyjacielskiej niż romantycznej płaszczyźnie.

Musiła mieć źle w głowie! Platoniczna płaszczyzna? Serce waliło jej jak oszalałe, każda cząstka jej ciała zaprzeczała takiej możliwości.

Taki pocałunek potrafiłby zmiękczyć nawet głaz! Usta miał delikatne, lecz natarczywe, zmysłowe wargi miały niespotykaną siłę perswazji. Pieszczotliwy dotyk jego rąk przesuwających się po jej twarzy, szyi, talii wywoływał przyjemne sensacje.

Uniósłszy głowę, by na nią spojrzeć, Gere nie wypuścił jej z objęć, jego oczy lśniły ciepłym blaskiem. Shelley czekała na to, co powie. Miała uczucie, że pocałunek trwał zbyt krótko.

- Miałeś skoncentrować się na czymś, czego bardzo pragniesz - wymówiła drżącym głosem.

- Właśnie to zrobiłem - zaśmiał się szatańsko.

ROZDZIAŁ

6

Uwielbienie. Shelley nie zdawała sobie dotąd sprawy, jaką może mieć siłę. A w połączeniu z tym delikatnym, pełnym szacunku pocałunkiem odniosło piorunujący skutek. Miała uczucie, że za chwilę się rozpułynie i przesycają przez oka siatki.

Uniosła ręce, dotykając lekko palcami policzków Gere'a i napotkała jego czuły wzrok. Wydawało jej się, że zagląda mu w głąb duszy. Widziała zarówno jego pożądanie, jak i bezbronność. Trzymając wciąż twarz mężczyzny w dłoniach, podniosła głowę i musnęła lekko wargami jego usta, po czym uśmiechnęła się do niego.

Leżeli przez dłuższą chwilę w milczeniu, rozkoszując się nocą i swoją bliskością, dopóki uwagi Shelley nie przyciągnęło migotliwe światełko w zagajniku. Wsparła się na łokciu, wypatrując następnych.

- Robaczki świętojańskie! Od lat ich nie widziałam! Co sprawia, że świecą? - spytała Gere'a. - Zawsze byłam okropnie ciekawa.

- To tlen wchodzi w reakcję z lucyferyną, pigmentem zawartym w ich ciałach tłuszczowych. A świecą wówczas, gdy są samotne i chcą przyciągnąć inne świetliki.

- Kiedy chcą znaleźć partnera?
- Tak.
- To coś nowego - zachichotała. - Napala się i świecą.

Gere patrzył na nią tak długo, że przestraszyła się, iż ma jej za złe zbytnią bezpośredniość, rozwiązał jednak jej obawy dobrodusznym śmiechem.

- Masz takie świeże spojrzenie na różne sprawy. Naukowcovi dobrze robi, gdy posłucha czasem laika w danej dziedzinie.

- Rzeczywiście kompletnie się na tym nie znam. Ale zastanawiałam się czasem, jak to robią owady.

- Robaczki świętojańskie są trochę nietypowe, nie tylko dlatego że potrafią świecić, ale są jednymi z niewielu nocnych owadów, które używają wzroku do wzajemnego odnajdywania się. Większość kieruje się zapachem.

- Wyczuwają swój zapach? - zdumiała się Shelley.

- Tak. Zwłaszcza motyle nocne produkują substancje hormonalne zwane feromonami, które przyciągają partnerów.

- Samce czy samice?

- Obie płci. Samice produkują substancję, która przywabia samców.

- Jak perfumy?

- Mniej więcej - roześmiał się Gere. - Tylko nie przechowują ich we flakonikach. Gdy samiec wyczuje ten zapach, przyfruwa do samicy i sprawdza, czy jej odpowiada.

- Czy nie jest to oczywiste, skoro go wabiła?

- Nie zawsze. Samice bywają bardzo wybredne.

- Wybierają tylko tych seksownych, co?

Gere uśmiechnął się z przymusem.

- Dopiero zaczynamy dowiadywać się nieco więcej na ten temat. Istnieją pewne dowody na to, że sposób odżywiania się niektórych ciem wpływa na produkcję przez nie substancji chemicznych, które odpędzają drapieżne owady. Samica wybiera instynktownie tego samca, który zapewnia jej większą szansę przeżycia.

- U ludzi wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane.

- Oczywiście. Większość owadów żyje krócej niż rok. Wylęgają się, dojrzewają, łączą się, rozmnażają i umierają. Cała ich egzystencja opiera się na instynkcie. Ludzie natomiast żyją dłużej i jeśli ich podstawowe potrzeby są zaspokajane, kierują się rozumem.

- Szkoda, że nie są przez to mądrzejsi.

- Uważasz, że ludzie nie są mądrzy?

- Nie zawsze. Zwłaszcza jeśli idzie o dobór partnerów. Chemia, która przyciąga ludzi do siebie, niema nic wspólnego z tym, jacy są naprawdę, czy też jakimi będą rodzicami. Bardzo często zakochują się w nieodpowiednich partnerach.

- Czy mówisz na podstawie własnego doświadczenia?

- Nie - odrzekła w zamyśleniu. - Raczej miałam szczęście, poza tym należę do osób ostrożnych. Ale mam wiele przyjaciółek, które cieszyłyby się bardzo, gdyby miały możliwość „wywaczenia” cymbałów, zanim wplaczą się w nieciekawą sytuację.

- Interesujący pomysł.

- Ale oni z pewnością znaleźliby sposób maszkowania się. - Shelley zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: - Gdyby kobieta zachowywała się jak samica motyla, nazwano by ją „poszukiwaczką złota”.

- Nie rozumiem.

- Gdyby wybrała sobie męża, biorąc pod uwagę to, co mężczyzna ma do zaoferowania jej dzieciom, wyszłaby za niego raczej dla pieniędzy niż z miłości i większość ludzi uznałaby ją za osobę interesowną. Myślę, że stanę się owadem. Życie będzie znacznie prostsze.

- Ale i krótsze - zauważył Gere.

- Gdybyśmy byli owadami, spędzilibyśmy pod gwiazdami całą noc.

- To mocny argument. — Gere ułożył się przy niej.

- Ja się donikąd nie wybieram, a ty?

Shelley przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu.

- Mmm - westchnęła. Czy jest coś bardziej po-krzepiającego od męskiego ramienia? Od męskiej siły, którą wyczuwasz? - pomyślała rozmarzona.

Czuła, że naprawdę ma ochotę zostać tu przez całą noc z Gere'em.

Tę cudowną chwilę zakłóciło nagle oślepiające światło latarki.

- Ej, wy tam, na górze! Złóżcie!

Gere usiadł i spojrział w dół przez siatkę.

- Co, u..?

Shelley wyczuwała jego napięcie. Jej oczy przywykły już na tyle do światła, że rozróżniała postać mężczyzny z potężną latarką i w mundurze zastępcy szeryfa. Był w średnim wieku, miał wydatny brzuch i wyglądał na niezbyt sympatycznego człowieka. Prawą rękę trzymał na kaburze pistoletu.

- Złóżcie stamtąd oboje. Chcę zobaczyć wasze dowody tożsamości.

- Nie robimy nic złego - powiedział Gere, rzucając Shelley uspokajające spojrzenie. - Po prostu siedzimy tutaj i wpatrujemy się w gwiazdy.

-Widzę, co robicie - burknął oficer - inaczej dawno wyciągnąłbym broń. Ale plac zabaw zamykają o zachodzie słońca, a więc przebywacie tu bezprawnie. No, proszę zejść i pokazać mi dowody tożsamości.

- To nam zajmie chwilę - powiedział Gere, pamiętając niedawną wspinaczkę.

- Mam nadzieję, że nie macie zamiaru pakować piknikowego koszyka - odpowiedział ironicznie policjant.

- Już schodzimy - rzekł Gere, wruszając ramionami.

Schodzenie okazało się jednak znacznie łatwiejsze od wchodzenia i w niespełna dwie minuty później znaleźli się na dole. Policjant obejrzał prawa jazdy obojga w świetle latarki.

- Czy jesteście aresztowani? - zażartował Gere, choć w głębi duszy niepokoił się o finał tego incydentu.

Policjant oświetlił z kolei jego twarz.

- Czy przyjechał pan tu samochodem?

Gere skinął twierdząco głową.

-Jakim?

- Volkswagenem z opuszczanym dachem.

Policjant opuścił latarkę i oddał Gere'owi prawo jazdy.

- Cieszę się. Znalazłem samochód w czasie patrolu. Silnik był jeszcze ciepły, ale w pobliżu nie było nikogo. Nie wiedziałem, czy go odholować, czy wysłać kogoś na poszukiwanie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy? - spytała z nadzieją Shelley.

Oficer obejrzał jej prawo jazdy, następnie poświecił latarką w twarz. Zadowolony, że zdjęcie przedstawia

tę samą osobę, zwrócił jej dokument, wyłączył latarkę i odwrócił się do Gere'a.

- Jesteście oboje trochę za starzy na takie zabawy, nie uważacie?

- Nie ma takiej rzeczy, na którą człowiek byłby za stary, jeśli jest w towarzystwie kobiety, która wygląda jak panna Peters - rzekł Gere, uśmiechając się swawolnie.

- Co prawda to prawda, proszę pana - przyznał policjant, obrzucając Shelley taksującym spojrzeniem.

- Panie doktorze - poprawiła go Shelley, a obaj mężczyźni spojrzeli na nią zaskoczeni. - On ukończył Harvard i zrobił doktorat.

- Naprawdę?

- Tak, nawet dwa.

- No cóż, jak na tak wykształconego człowieka nie postępuje pan zbyt mądrze, narażając taką ładną dziewczynę na niebezpieczeństwo - rzekł szeryf. - Wie pan, jaki jest dzisiejszy świat. Byliście oboje tak zajęci sobą, że nie słyszeliście nawet moich kroków. Mieliście szczęście, że to ja, a nie jakiś szaleniec.

Jedno spojrzenie. Wystarczyło jedno spojrzenie na minę Gere'a. Policjant niechcący użył niebezpiecznego słowa.

- Mógł to być szaleniec z hakiem - szepnęła Shelley i po chwili milczących zmaganiach żadnemu z nich nie udało się opanować i wybuchnęli śmiechem.

- Bierzecie narkotyki? - spytał czujnie oficer.

- Nie - wykrztusił z trudem Gere. - To po prostu... taki nasz żart.

Gere zdołał jakoś utrzymać przez chwilę powagę, ale gdy napotkał spojrzenie Shelley, zaczął się znów skręcać ze śmiechu.

- Sobotnie noce - mruknał szeryf, kręcąc głową.
- Wiecie co, dzieciaki, muszę polować na pijanych kierowców. Nie mam czasu bawić się w opiekunkę dwojga przerośniętych nastolatków. Chodźmy do waszego samochodu, sprawdzę rejestrację i udamy się każde w swoją stronę.

Gdy w kilka minut później wyjechali na główną szosę, Shelley powiedziała, wciąż się śmiejąc:

- Myślałam, że padnę, gdy powiedział, że mógł być szaleńcem.

- Tak, to była niesamowita chwila - zgodził się Gere. - Ale właściwie miał rację. Nie słyszeliśmy jego kroków. Mogliśmy stać się łatwym celem dla jakiegoś przypadkowego włóczęgi.

- Powinniśmy byli sprawdzić, czy na siatce nie wisi jakiś hak. Policjant mógł przecież spłoszyć w samą porę jakiegoś szaleńca.

Ale Gere nagle spoważniał.

- Dał do zrozumienia, że niefrasobliwie naraziłem cię na niebezpieczeństwo, Shelley. Nigdy nie zrobiłbym tego celowo.

- Hej, plac zabaw to był mój pomysł, zapomniałeś? Nie mogłam przypuszczać, że wyrzuci nas stamtąd jakiś gliniarz.

- Nie jesteś więc... obrażona?

- Obrażona? - roześmiała się Shelley. - To była bomba! Ten facet odegrał scenę jak z filmu kryminalnego.

Radio wciąż było nastawione na stację nadającą nostalgiczną muzykę rockową. Grali właśnie w tej chwili „St. James Infirmary”.

- Uwielbiam tę piosenkę - powiedziała Shelley.
- Moja siostra ma tę płytę. To stary przebój, ale świetna melodia do tańca. Piękna, chociaż smutna.

Umilkła, wsłuchując się w dźwięki muzyki.

- To, co powiedziałaś o mnie policjantowi, było naprawdę bardzo miłe.

- Naprawdę tak myślałem.

- Wiem. -I to jest w tym najsympatyczniejsze, pomyślała. - Coś panu powiem, doktorze Booth, nikt nigdy nie zarzucił panu, że zabrał pan dziewczynę na zwykłą randkę.

- Ale ja chciałbym... - zaczął. Nieoczekiwanie zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Odwrócił się ku Shelley, na ile pozwalał mu kubełkowy fotel w samochodzie, przyglądał się przez chwilę jej twarzy, po czym przesunął lekko palcami po jej policzku, wargach. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale westchnął tylko głęboko. Wreszcie się zdecydował: - Układam sobie w głowie całe przemówienie do ciebie, ale gdy spojrzę ci w oczy, poczuję zapach twoich perfum, wszystko mi się płacze.

Położył rękę na oparciu jej siedzenia i choć jej nie dotykał, Shelley czuła jego fizyczną obecność. Nie tylko on miał kompletny zamęt w głowie.

- Shelley, co do kobiet... - Zanurzył palce w jej włosach, a przynajmniej chciał to zrobić. Natrafiwszy na sztywną powłokę lakieru, mruknął coś bez związku i cofnął rękę. Odetchnął głęboko i wydusił z siebie: - Prawda wygląda tak, że nie mam zupełnie doświadczenia, jeśli idzie o kobiety i randki. Jak gdybym znalazł się w obcym kraju i nie znał jego zwyczajów.

Shelley oparła mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze sobie radzisz. W restauracji czułeś się jak w domu.

- Ale ty się nie czułaś i o to właśnie mi chodzi. Wiem, że jesteśmy inni, Shelley. Prowadzimy zupełnie inne życie. Wiem też, że ludzie uważają mnie za dziwaka, który żyje na uboczu i bada owady. Nie

miałem nigdy powodu, żeby coś zmieniać. Aż do tej chwili.

Patrzył jej w oczy z napięciem niemal namacalnym. Przełknęła ślinę i wymówiła ochryplym głosem:

- Gere...

- Pragnę cię poznać, Shelley. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Chcę wybrać się z tobą gdzieś, gdzie będziesz się czuła swobodnie, poznać twój styl życia.

Przesunął dłonią po twarzy.

- Musiało to zabrznieć obsesyjnie.

- Trochę - przyznała łagodnie.

- Może jestem opętany - rzekł ponuro, uruchamiając silnik. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem aż do chwili, gdy wysiedli z samochodu przed domkiem Shelley. Otworzyła drzwi, po czym spojrzeli na siebie, nie bardzo wiedząc, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

Wreszcie Shelley wspięła się na palce i pocałowała Gere'a w policzek.

- Spędziłam naprawdę przemiły wieczór. Dziękuję.

Gere wpadł w panikę. Wieczór się kończył, za chwilę Shelley zniknie za drzwiami. Instynktownie wyczuwał, że jeśli pozwoli jej odejść po uprzejmym, lecz zdawkowym pożegnaniu, zobaczy ją już wyłącznie w dzipie, wkładając pocztę do jego skrzynki.

Pochwycił jej rękę, ukrył w swojej dłoni. Nie próbowała jej wyrwać, co poczytał za dobry znak.

- To nie jest jakaś chorobliwa obsesja. Nie jestem niebezpieczny. Po prostu... fascynujesz mnie.

Nie miał pojęcia, jak sobie tłumaczyć jej spokojny uśmiech czy blask oczu, które wyglądały jak gdyby zbierały się w nich łzy. Pomyślał, że to księżyc płata figle, nie widział bowiem powodu, dla którego miałaby płakać.

- Chciałbym się znów z tobą spotkać - powiedział, czerpiąc odwagę z jej uśmiechu. - Pozwól mi poznać się lepiej.

- W przyszłą sobotę jedna z moich koleżanek z pracy urządza coś w rodzaju przyjęcia urodzinowego dla swojego męża w parku rozrywki Pleasure Island. Idziemy całą grupą. Może zechcesz mi towarzyszyć?

- Będę zaszczycony - rzekł Gere, uśmiechając się jak kompletny głupek.

- Potrzebuję pomocy

- Cześć, Gere. Miło, że zadzwoniłeś. Jaka pogoda na południu?

- Skończ z tą ironią, Kelsey. Jestem zrozpaczony. Umówiłem się randkę.

- A więc zdobyłeś się wreszcie na odwagę. Wspaniale!

- Kolejną randkę - wyjaśnił Gere. - Spotkaliśmy się wczoraj.

- Bomba! Jak ci poszło?

- Jak? Cudownie! Shelley jest uczulona na pieprz.

- No tak, gdybym była mężczyzną, to właśnie zainteresowałoby mnie najbardziej w kobiecie.

- Nie rozumiesz. Ona była... cudowna.

- Widzę, że to słowo dnia.

- Zawsze zrzedziłaś, że się z nikim nie umawiam. Powinnaś się cieszyć.

- Ależ cieszę się, cieszę, A teraz powiedz mi, co takiego zrobiła, by zasłużyć na to miano?

- Kichnęła w sałatkę i zamówiła jedną truskawkę na deser. Myślałem, że kelner pęknie ze złości.

- To miło, Gere. A teraz powiedz mi, czy byłeś chociaż romantyczny?

- Tak - zachichotał.
 - O Boże, Gere, słyszę przez telefon, jak się ślinisz. Jak bardzo byłeś romantyczny?
 - Bardzo. Świetnie sobie radziłem, dopóki nie nakrył nas policjant.
 - Policjant? Gere? Nie przesłyszałam się?
 - Plac zabaw był już zamknięty.
 - Plac zabaw?
 - Tak. I było... fenomenalnie, gdy wdrapaliśmy się na górę, na sznurową siatkę. Myślę o kupnie hamaku.
 - Sądę, że jestem zbyt młoda, by słuchać dalej.
- Zapadło chwilowe milczenie. Gdy w końcu Gere się odezwał, był bardzo poważny.
- Kelsey, pomóż mi. Tym razem spotykamy się z jej przyjaciółmi.
 - I co z tego?
 - Jak to? To bardzo ważne, Kelsey. Nie mogę zrobić z siebie idioty.
 - A dlaczego miałbyś zrobić? Rozluźnij się. Sam powiedziałeś, że wczoraj wszystko poszło dobrze.
 - Wczoraj miałem na sobie ciemny garnitur i białą koszulę, a na placu zabaw... znaleźliśmy się przypadkowo. W przyszłym tygodniu wybieramy się do miejsca zwanego Pleasure Island. Sprawdziłem. To część kompleksu Disneylandu. Czynna nocą.
 - Poradzisz sobie.
 - Kelsey, to jest park rozrywki. Co wieczór celebruje się tam powitanie Nowego Roku. We wszystkich klubach są dansingi.
 - No to co?
 - Kelsey! Przecież ja nie umiem tańczyć.
 - To się naucz. Jesteś geniuszem.
 - W ciągu sześciu dni?

- Musisz się tylko nauczyć kroków wolnych tańców. Przy szybkich możesz udawać i tańczyć po swojemu.

- I to wszystko?

- Bułka z masłem! Wypożycz sobie po prostu kasety wideo. Nareszcie popatrzysz na coś innego niż te twoje owady.

- Rzeczywiście są kasety, na których pokazują, jak tańczyć?

- Jasne. Masz pod ręką papier i długopis?

- Hmm? Och, tak.

- Podam ci kilka tytułów filmów, w których możesz obejrzeć szybkie tańce. Zapisuj: „Saturday Night Fever”, „Dirty Dancing”...

- „Dirty Dancing”? - roześmiał się Gere.

- Człowieku, w którym ty wieku żyjesz? - W głosie Kelsey zabrzmiała irytacja. - Och, i koniecznie wypożycz „Footloose”. Kevin Bacon uczy tam kolegę tańczyć. Powinieneś oglądać tę scenę niezliczoną ilość razy.

- Myślisz, że naprawdę może mi się udać?

- Jestem tego pewna. Zwykle na dziesięć szybkich kawałków grają jeden wolny. Musisz tylko poruszać się rytmicznie w takt muzyki. Z pewnością będzie taki tłok, że twoje ruchy będą ograniczone.

- Co mam na siebie włożyć?

- Od kiedy zwracasz uwagę na ubranie?

- Muszę zrobić dobre wrażenie.

- Gere - odezwała się Kelsey po chwili milczenia - widzę, że wystarczyła jedna randka, żebyś wpadł po uszy?

- Zdaje się, że sama chciałaś, żebym znalazł sobie kogoś szczególnego?

- Ale czemu tak się spieszysz? Powinieneś spróbować różnych owoców, zanim zdecydujesz się, które drzewo posadzić. Co ty wiesz o tej dziewczynie?

- Wiem, że chciałbym posadzić drzewo.
- Z Sondrą było tak samo.
- Dajmy spokój Sondrze. Shelley jest zupełnie inna.

- Co wcale nie oznacza, że nie złamię ci serca, tym bardziej że uparłeś się, by mieć je na dłoni. Wprawdzie nienawidzę grać roli adwokata diabła, ale, Gere, mieliście z Sondrą wiele wspólnego, łącznie z pracą.

- Nie znosiłaś Sondry!

- Owszem. Nigdy jej nie lubiłam. Była zbyt ambitna. Wiedziałam, że złamię ci serce. I nie myliłam się. A teraz nie mogę znieść myśli, że się pakujesz w podobną sytuację. Co macie ze sobą wspólnego?

- Odczep się, Kelsey - powiedział ostro.

- Nie spiesz się, dobrze? Spotykaj się z nią, baw się, ale traktuj to lekko. Co możesz o niej wiedzieć po jednej randce?

- Ona... - Gere miał głowę pełną obrazów. Shelley oraz wspomnień. Jej uśmiechu. Czułości w głosie, gdy opowiadała o swym młodszym bracie. Jej dotyku, gdy leżeli przytuleni. Niestety, zabrakło mu słów.

- Może jej chodzić o twoje pieniądze, Gere.

- Teraz ty jesteś śmieszna. Ona nie wie nawet o funduszu powierniczym.

- Może nie. Ale widziała twoją ziemię, dom, wie, że jesteś dyrektorem instytutu. Dwieście tysięcy musi robić wrażenie na kobiecie, której roczny dochód wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów, nawet jeśli nie wie o milionach.

Gere musiał przyznać, że niepokój Kelsey jest szczerzy. Wiedział również, że myślała w tej chwili o łowcy posagów, który ją oszukał i uwiódł, a potem złamał jej serce. Była wtedy bardzo naiwna i niedo-

świadczona. Nie mógł jednak pozwolić, by oskarżała Shelley.

- Nie potępiaj kobiety, której nie znasz, tylko dlatego że sama masz złe doświadczenia - powiedział.

W słuchawce panowało długie, zbyt długie, milczenie.

- Nie chcę po prostu, żebyś znowu cierpiał, Gere - rzekła wreszcie Kelsey.

- Przestań mi wiec matkować i powiedz, jak mam się ubrać! Muszę zrobić wrażenie na kobiecie.

- Gere, włosy, ubranie, to wszystko są sprawy drugorzędne. Jesteś dobrym człowiekiem i to jest najważniejsze.

- Tak. Masz rację. Kobiety wprost uwielbiają nudziarzy.

- Nie jesteś nudziarzem, Gere, lecz nieoszlifowanym diamentem.

Znów oboje zamilkli. Kelsey odezwała się pierwsza.

- Gere?

- Hmm?

- Zachowasz się odpowiedzialnie, prawda? To znaczy... zabezpieczysz...?

Twarz Gere'a mieniła się wszelkimi odcieniami purpury.

- Kelsey!

- Przepraszam, ale ostatnio prowadzę zajęcia z wychowania seksualnego.

- Nie traktuj mnie jak swoich żółtodziobów, tylko dlatego że potrzebuję twojej rady w dziedzinie mody.

- Przepraszam, Gere. A więc, doktorze Hunk, czy nie myślał pan o sprawieniu sobie nowych okularów?

- Właśnie to zrobiłem.

- Chcesz powiedzieć, że są identyczne jak stare?

Czy fakt, że musiałeś specjalnie zamawiać je w fabryce,

nic ci nie mówi? Noś je sobie na co dzień, a dla celów towarzyskich zamów inne. Szukaj słowa *designer*. Będą drogie, ale imponujące. W cienkich złotych oprawkach będzie ci bardzo do twarzy.

- Chciałaś mi to już dawno powiedzieć, prawda?

- Ty głuptasie! Dawno ci to już mówiłam. Nigdy nie przykładałaś do tego wagi. Ta kobieta musi ci się naprawdę podobać.

Gere skwitował jej słowa wymownym milczeniem.

- Pewnie nie zechcesz nosić kolczyka? - spytała Kelsey z nieśmiałą nadzieją i dodała zachęcająco:

- Wystarczyłoby przekłuć jedno ucho.

- Prędeż zjem dżdżownicę - odpowiedział Gere.

Istniały pewne granice jego poświęcenia, nawet dla Shelley Peters.

- No cóż - rzekła ze świeżym entuzjazmem Kelsey.

- Jesteś gotowy do robienia notatek? Zaczniemy od spodni.

Shelley osunęła się z gracją na plastikowe krzeselko przy jednym ze stolików w kawiarence w pasażu handlowym.

- Robienie zakupów jest tak wyczerpujące jak bieg na długim dystansie.

- No, moja droga, to nie jest wystarczająca wymówka dla ilości kalorii zawartych w czekoladowych ciastkach, które właśnie kupiłaś.

- Do diabła z kaloriami, potrzebuję energii! - Shelley beztrudnie wyciągnęła ciastko z torebki. - Trudno znaleźć coś odpowiedniego dla mężczyzny, który kończy trzydziestkę. Myślę jednak, że trafiłyśmy w dziesiątkę z „witaminami”. - Żartobliwy prezent był dużym flakodem wypełnionym czekoladowymi drażetkami. Umieszczona na nim etykieta głosiła: „Witaminy geriatryczne”.

Maggie otworzyła lemoniadę i nalała do plastikowych kubeczków.

- Mnie podoba się bardziej książka.

- Kto nie byłby zachwycony, dostając książkę pod tytułem: „Lepszy mądry trzydziestolatek od głupiego jak but dwudziestolatka”

- Nie cierpię kupować prezentów dla ludzi, których nie znam zbyt dobrze - powiedziała Maggie, pijąc lemoniadę. - Chyba się Stan nie obrazi, co?

- Sądząc z tego, co o nim opowiada Barbara, jest to człowiek, który nigdy się nie obraża. Zresztą przy prezencie od Barbary nasz jest całkiem niewinny.

Maggie sięgnęła do torebki z ciastkami Shelley.

- A co ona mu kupiła?

- Nie widziałaś? Pokazywała nam wczoraj w pracy. Kupiła mu slipki w lamparcie cętki z czerwonym satynowym sercem na przodzie i dużym napisem: „U trzydziestolatka wisi jak szmatka”.

- Padnie trupem, gdy to zobaczy.

- Żartujesz? Przecież poznałaś męża Barbary. W pełni zasługuje na przydomek Szalony Stanley.

- Masz rację. Włożył je do pracy i pokaże sekretarkom.

- Wyświadczyć przysługę Barbarze oraz sekretarkom i nie sugeruj tego, dobrze?

- Co Barbara w nim widzi?

- Miłość jest ślepa - odpowiedziała Shelley, wyciągając słomką plasterek cytryny z kubka. - Poza tym nie jest taki zły. Może trochę niedojrzały i nieokrzesany, ale mą fioła na punkcie Barbary.

- I vice versa - dodała Maggie, wzdychając ciężko.

- Opowiedz mi o swojej randce w ciemno. Czy twoja bratowa dalej jest tak4 złą kucharką?

- Mój brat upiekł mięso na ruszcie.

- No i jak było?
- Wiesz sama, jak to wygląda. Była moja bratowa, brat, rodzice Rogera, Roger... Przez chwilę czuliśmy się niezręcznie, ale potem jakoś poszło.
- Jaki on jest?
- Ujdzie w tłoku - powiedziała Maggie, wzruszając ramionami. - Jego rodzice przenieśli się tutaj w zeszłym roku, a Roger właśnie ukończył stanowy uniwersytet w Missouri i przyjechał zorientować się, czy chciałby tu zamieszkać.
- Musiał ci się choć trochę spodobać, skoro go zaprosiłaś dziś do Pleasure Island.
- Słyszałaś o małżeństwach z wyrachowania? To jest właśnie randka z wyrachowania. Mnie potrzebny był ktoś do pary, a on miał pretekst, żeby wyrwać się na kilka godzin z domu rodziców.
- I nie podoba ci się ani trochę? - spytała współczująco Shelley.
- Wygląda dość sympatycznie, ale czy ja wiem? Lepiej opowiedz mi o sobie i doktorze Hunku. Po twoim rozmarzonym uśmiechu wnioskuję, że wszystko układa się wspaniale.
- To widać?
- Hej, to ja, Maggie, twoja przyjaciółka. Przez cały tydzień wymigiwałaś się od rozmowy na ten temat, ale teraz już ci nie popuszczę.
- Jest inny od wszystkich mężczyzn, których dotąd znałam. Taki... - westchnęła głęboko.
- No, dokończysz wreszcie - ponagliła ją Maggie.
- Kiedy nie wiem, jak go opisać. Uprzejmy. Szarmancki. Troskliwy. Uczuciowy. Miły.
- Przekonałaś mnie. Daj mu kosza. Ja się nim zajmę.

- Po moim trupie.
- To poważna sprawa? - zdziwiła się Maggie.
- Być może - przyznała Shelley.
- Co się stało, Shel? W zeszłym tygodniu nie byłaś nawet pewna, czy to nie randka z litości, a teraz jesteś cała w skowronkach, gdy o nim mówisz.
- Pocałował mnie.

Co ma robić z rękami? Zdając sobie sprawę, że nie obejdzie się bez pomocy, Gere powędrował z pracowni do kuchni.

- Pani Northbrook?

Gospodyni przerwała zamiatanie i stanęła na baczność niczym szeregowiec przed generałem.

- Słucham, doktorze Booth.
- Czy umie pani tańczyć? - spytał, nerwowo przełykając ślinę.
- Tańczyć? - uśmiechnęła się pani Northbrook, aż wokół jej oczu utworzyła się siateczka zmarszczek. - No cóż, może nie jestem mistrzynią lambady, ale w swoim czasie zdarłam w tańcu niejedne pantofle.

- Próbuję nauczyć się podstawowych kroków.
- Świetnie. Kto pana uczy?
- Próbuję się uczyć sam, oglądając kasetę wideo, i wydaje mi się, że złapałem krok, ale trudno sprawdzić bez partnerki. Czy zechciałaby pani...

Pani Northbrook roześmiała się, odstawiła szczotkę i machinalnie otarła dłonie o dżinsową spódnicę.

- Ostatnia rzecz, jakiej mogłabym się dzisiaj spodziewać, to zaproszenie do tańca. Przepraszam, ale cała pachnęę środkiem do czyszczenia.
- Nie szkodzi. Naprawdę nie zauważyłem.

- O, podsuswał pan meble - powiedziała pani Northbrook, wchodząc za nim do pracowni.

- Ćwiczyłem - wyjaśnił Gere, czerwieniąc się.
- Mam parę kaset wideo. Myślę, że się czegoś nauczyłem, ale...

Pani Northbrook obrzuciła go spojrzeniem, które wypraktykowała zapewne na swoich dorastających synach.

- Ale, jak mówią słowa piosenki, do tanga trzeba dwojga.

Ustawili się w pozycji wyjściowej.

- Wszystko w porządku, ale musi się pan rozluźnić
- pouczyła Gere'a pani Northbrook.

Gere był zbyt skoncentrowany na pracy nóg, by jej odpowiedzieć.

- Wiedziałam, że coś się święci, gdy usłyszałam tę muzykę.

- Muzykę?

- Uhm - potwierdziła pani Northbrook. - Zwykle słucha pan muzyki klasycznej. Jak to się stało, że taki wykształcony mężczyzna nie nauczył się nigdy tańczyć?

- Nie wymagano tego na studiach.

- Chyba ma pan nową przyjaciółkę - domyśliła się pani Northbrook.

- Tak.

- To dobrze dla pana. Czy jest ładna?

Gere przypomniał sobie twarz Shelley w blasku księżycy. W sztucznym świetle w restauracji. W słońcu, gdy przywoziła mu pocztę. Pamiętał jej uśmiech, jej oczy, wdzięczny zarys szyi i ramion. Długie piękne nogi w szortach albo czarnych pończochach.

- Tak - odpowiedział. - Jest bardzo ładna.

- Tak myślałam. Zadaje pan sobie wiele trudu, by zrobić na niej wrażenie. - W kilka minut później stwierdziła: - Naprawdę dobrze sobie pan radzi.

- O wiele łatwiej ćwiczyć z partnerką.

- Jeszcze łatwiej będzie z pańską dziewczyną. Gdy tylko otoczy ją pan ramieniem, przestanie pan myśleć o podstawowych krokach. Będzie pan po postu tańczył.

Przetańczyli jeszcze kilka melodii, aż wreszcie pani Northbrook poklepała go macierzyńskim gestem po ramieniu.

- Całkiem nieźle pan się w tym połapał.

- Mam nadzieję - westchnął ze znużeniem Gere.

- Zobacz pan. Pańska dziewczyna pomyśli, że tańczy pan od urodzenia.

Ujawszy się pod boki, obrzuciła spojrzeniem podsuwane pod ściany ciężkie skórzane meble.

- Jeśli zostawi pan kanapę i fotele tak, jak stoją, będę mogła porządnie tu odkurzyć. Sama nie mogłam ich ruszyć z miejsca.

- Trzeba było mi powiedzieć. Pani Northbrook?

- Słucham? - spytała, unosząc brwi.

- Dziękuję pani.

- Cała przyjemność po mojej stronie, doktorze Booth. I proszę się nie martwić. Gdy już przyjdzie co do czego, taniec wyda się panu najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

- Mam nadzieję - powiedział cicho Gere. - Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie.

Gdy wreszcie stał w sobotę przed lustrem w łazience, oceniając efekt swych wysiłków, był jednocześnie zadowolony i pełen sceptycyzmu. Wyglądał na tego, za kogo chciał uchodzić - modnie ubranego, stuprocentowego mężczyznę. Udał się do cieszącego się popular-

nością salonu fryzjerskiego i pozwolił, by ostrzyżono i wymodelowano mu włosy. Zgodnie z zaleceniami Kelsey kupił bawełniane spodnie. Usłużna ekspedientka zrolowała mu rękawy prążkowanej koszuli i pomogła dobrać odpowiedni trykotowy podkoszulek. Wydał nawet nieprawdopodobną sumę na parę butów przypominających te, które nosił potwór stworzony przez Frankenstein.

Mimo to jednak wciąż czuł się jak Gere Booth, towarzyska czarna owca w przebraniu wilka, oszust, który zostanie zdemaskowany. Może przybrać maskę, ale gdy otworzy usta i zarechocze jak żaba, świat dowie się, że nie jest pierwszym tenorem z „Pajaców”.

Nauka tańca i zakupy zajęły mu cały tydzień, wyjąwszy krótkie spotkania z Shelley przy skrzynce na listy.

Gdy podjeżdżał pod jej dom, targały nim wątpliwości. Owszem, chciał zrobić na niej wrażenie, ale odgrywać kogoś, kim nie jest? Podeszedł do drzwi i nacisnął przycisk dzwonka.

ROZDZIAŁ

7

- Gere - przywitała go z uśmiechem, otwierając drzwi, po czym obrzuciła go pełnym uznania spojrzeniem. - Wyglądasz... fantastycznie.

Gere wolałby, żeby w jej głosie nie brzmiało takie zdziwienie. I zachwyty.

- Dziękuję - odrzekł ze wzrokiem utkwionym w sznurówki swoich adidasów. Zmusił się, by spojrzeć jej w twarz i uśmiechnął się bezwiednie. - Nie mógłbym przecież zaprosić kobiety na tańce w moich powycieranych ciuchach.

- Znowu podstrzygłeś włosy - zauważyła Shelley, zdumiona, jak bardzo go to zmieniło.

- To ty wyglądasz uroczo - powiedział, wiedząc, że będzie znosił tortury z powodu jej bluzki z żółtej dzianiny, opinającej się na stromych piersiach. Przez środek biegł rząd małych guziczków, cztery górne były rozpięte, tworząc wycięcie w kształcie litery V, które odsłaniało wystarczająco dużo, by przykuć wzrok mężczyzny. Bluzka kończyła się dokładnie w miejscu, w którym zaczynała się dżinsowa minispódniczka, toteż gdy Shelley szła przed nim do samochodu, w talii błyskał od czasu do czasu pasek nagiego ciała.

Usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami i Gere uświadomił sobie, jak bardzo są odsłonięte. Choć spódniczka nie była krótsza od szortów, które Shelley zakładała do pracy, pozornie było jej jakoś mniej. Zerkając na jej nogi, wyobraził sobie, że sunie dłonią po tym apetycznym udzie i dotyka koronkowych majteczek. Zacisnął zęby, starając się skoncentrować na prowadzeniu samochodu.

Restauracja, w której mieli się spotkać z przyjaciółmi Shelley, znajdowała się na placu handlowym, wciąż pełnym ludzi robiących zakupy.

- Niestety, tutaj nie ma portierów - powiedziała Shelley, gdy Gere jechał wzdłuż rzędów zaparkowanych samochodów, szukając dla siebie miejsca.

- Nie mam nic przeciwko małemu spacerowi - zapewnił ją. - Ale ciebie mogę wysadzić przed wejściem do restauracji.

- Nie mam nic przeciwko małemu spacerowi - powtórzyła z uśmiechem jego słowa. - Poza tym chcę, żeby wszystkie kobiety mi zazdrościły, gdy będę szła obok ciebie.

Gdy wchodzili do restauracji, ujęła go pod ramię. Czuła obok siebie jego ciepłe sprężyste ciało, zapach wody po goleniu. Miejsce w zagięciu jego łokcia wydawało się być specjalnie dla niej stworzone.

Jej uwaga o zazdrosnych kobietach nie była wcale pochlebstwem. Nie wiadomo kiedy, gdzie i jak Gere przeobraził się z nudnego, nieprzytomnego naukowca w atrakcyjnego mężczyznę. Głowy kobiece rzeczywiście odwracały się za nim, jedne dyskretnie, inne ostentacyjnie. Maggie, a nawet szczęśliwa mężatka Barbara, były również nieco oszołomione, gdy przedstawiła im Gere'a. Maggie rzucała jej od czasu do czasu pytające spojrzenia i unosiła

zabawnie brwi, gdy nikt nie patrzył. Shelley wiedziała; że nie uniknie indagacji, gdy tylko zostaną same.

Rzeczywiście, nastąpiło to natychmiast, gdy panie udały się do toalety, a panowie tymczasem regulowali rachunek. Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Barbara i Maggie zasypały ją pytaniami.

- Gdzie znalazłaś tego faceta? - spytała Barbara.
- Jest szalowy.

- Dostarcza mu pocztę - odpowiedziała za przyjaciółkę Maggie, obrzucając ją równocześnie spojrzeniem mówiącym: „lepiej-się-szybko-wytłumacz”. - O co chodzi, Shelley? Powiedziałaś, że doktor Hunk nie jest w ogóle seksowny.

- Mówiłam ci, że sprawił sobie nowe ubrania.
- Shelley przyjęła pozycję obronną.

- To nie kwestia ubrania, Shelley - powiedziała Barbara.

- Ona ma rację - poparła ją Maggie. - A ty pozwoliłaś mi wierzyć, że to randka z litości.

- Nigdy nie twierdziłam, że jest brzydki.

- Ale też nie wspomniałaś, że ten facet mógłby stanowić konkurencję dla Rhetta Butlera wnoszącego Scarlett O'Hare po schodach.

- Jestem tak samo zaskoczona jak wy - westchnęła Shelley. - Wszystko się w nim zmieniło. Ubranie, fryzura, nawet okulary. - Ale nie uśmiech. Nie ciepły blask oczu. Nie uczuciowość. Nie dobroć. Żadna z cech, które sprawiają, że jest, jaki jest, dopowiedziała w myślach.

- Życzyłabym każdej z nas takiej niespodzianki
- rzekła z przymusem Maggie.

- Roger wydaje mi się bardzo miły - zauważyła Shelley, próbując zmienić temat rozmowy. - Znosi się na coś między wami?

- Nie ma szans - odrzekła Maggie. - To układ wyłącznie przyjacielski. On ma dziewczynę. Powiedział mi o tym w samochodzie. Został jej jeden semestr do ukończenia studiów. Rodzice nie wiedzą nic o ich związku, dlatego nie mógł mi o tym powiedzieć w czwartek przy matce,

- Przynajmniej postąpił uczciwie, uprzedzając cię - stwierdziła Barbara.

- Tak - rzekła z goryczą Maggie. - Gdy wreszcie trafił mi się właściwy facet, musi być zajęty.

- Nie wszyscy mogą być seksowni - drażniła się z nią Shelley.

- Dokuczaj mi, dokuczaj.

- Zdaje się, że Stanowi podobały się prezenty - zauważyła Shelley.

- Stanley uwielbia wszystko, dzięki czemu znajduje się w centrum zainteresowania - powiedziała Barbara. - W każde swe urodziny jest w siódmym niebie.

- Byłam ciekawa, jak Gere będzie czuł się pośród całkiem obcych ludzi, ale poradził sobie nieźle, prawda?

- Nigdy nie podejrzewałam, że jest nieśmiały - zgodziła się Barbara, przerywając tuszowanie rzęs i przyglądając się Shelley ciekawie. - Ty naprawdę masz fioła na jego punkcie.

- Jeszcze jakiego! - potwierdziła Maggie. - O d samego początku.

- Zrozumiałe, z jakiego powodu - podsumowała Barbara.

Shelley obrzuciła przeciągłym spojrzeniem odbicie Barbary w lustrze. Ona widzi jedynie atrakcyjnego mężczyznę, pomyślała, modne ciuchy i fryzurę. Nie ma

kompletnie pojęcia, jaki jest naprawdę. I Maggie również.

Miesiąc temu ona też zwracała uwagę na pozory. Ta myśl ją zasmuciła. Nie należała do osób płytkich, a jednak początkowo oceniła go bardzo powierzchownie. Gdyby Gere nie dał jej chrząszczy dla Kevina, być może nigdy nie odkryłaby głębi jego oczu, nie umówiłaby się z nim na randkę, nie wiedziałaby, jaki jest nadzwyczajny. Nie znalazłaby się z nim na siatce pod gwiazdami i nie pocałowałaby jej...

Kupili bilety (z wyjątkiem Shelley i Maggie, mających roczne wejściówki) i wtopili się w tłum, który przybył do Pleasure Island z silnym postanowieniem, by się zabawić. Przy wejściu kontrolerzy podstemplowali im dłonie.

Z wyjątkiem nielicznych turystów, gośćmi parku rozrywki były przeważnie pary, które spotkały się tu na randce, wystarczająco dorosłe, by pić alkohol, a jednocześnie wystarczająco młode, by ich system nerwowy był w stanie znieść kakofonię dźwięków dobiegających z głośników oraz różnych estrad.

Nim się zdecydowali, co będą robić najpierw, postanowili obejść cały park wokół, żeby sprawdzić, w których klubach panuje mniejszy tłok. Zatrzymali się, by obejrzeć akrobatyczne wyczyny młodego człowieka w trykocie, po czym Szalony Stanley zainteresował się nagle tym, co się dzieje po drugiej stronie ulicy. Muskularny osiłek popisował się przed swoją dziewczyną, uderzając młotem kowalskim w probierz siły.

Gere był bardziej zafascynowany reakcją Shelley na wszystko niż samymi atrakcjami. Wraz z resztą ze-

branych zaczęła klaskać w dłonie, gdy rozległ się dźwięk gongu i dryblas zażądał w nagrodę pocałunku od swej rudowłosej towarzyszki, na co chętnie przystała.

Ma roczną wejściówkę. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Jak często przychodzi do tego parku? Jak znosi to zamieszanie, ten chaos?

Czy pocałowałaaby go tak jak rudowłosa swojego osiłka, gdyby udało mu się zwyciężyć na probierzu siły? Czy pocałowałaaby go na pocieszenie, gdyby mu się nie powiodło?

Nagle zauważył z drzeniem serca, że Szalony Stanley kupuje bilet, by spróbować swych sił. Cokolwiek robił Stanley, musiał zrobić Gere Booth. Nie może zaryzykować, by przylepiono mu etykietkę, jak to określiłaby Kelsey, „niedorajdy”.

Przyglądał się, jak Szalony Stanley waży w rękach ciężki młot, a następnie wykonuje serię powolnych uderzeń, które podnoszą młoteczek coraz wyżej na skali. Stanley był mężczyzną o przeciętnym wyglądzie: szatyn średniego wzrostu, z lekką nadwagą, o żywych brązowych oczach. Jego serdeczność i bezpośredniość sprawiały, że wszyscy traktowali jego nieszablonowe manieri jako coś naturalnego. Pasował do niego przydomek „Szalony”, ale to szaleństwo było raczej dobroduszne.

Młoteczek przebył już dwie trzecie drogi na skali, Stanley jednak nie zamierzał się poddać. Włożył w kolejny cios tyle siły, że młoteczek podjechał do góry i uderzył w gong. Stanley splótł ręce nad głową niczym zwycięski bokser i kłaniał się pozdrawiającej go publiczności, następnie ostentacyjnie wyegzekwował pocałunek od swej żony, prosząc jednocześnie:

- Powinnaś dać mi ten prezent teraz. Zasłużyłem na niego.

- Dostaniesz dopiero w swoje urodziny - nie zamierzała ustąpić Barbara. Ciemnowłosa, drobna, kobieca, była tak stonowana, jak jej mąż ekstrawagancki.

- Uparła się, że muszę czekać aż do północy - powiedział Szalony Stanley - ponieważ dopiero jutro jest właściwy dzień. - Odchyliwszy brzeg marszczonego karczku bluzki, zerknął żonie za dekolt. - Trudno uwierzyć, że coś tam ukrywa.

- Dość tego, Stanley! - powiedziała ostrzegawczym tonem Barbara, trzepnąwszy go po ręce.

- Ta kobieta jest nieznośna - poskarżył się Stanley.

- Następny! - zawołał mężczyzna sprzedający bilety. - Kto jeszcze chce zaimponować swojej dziewczynie?

Stanley obrzucił pytającym wzrokiem Rogera i Gere'a.

- Startujecie? - spytał.

- Ja raczej nie - wymówił się grzecznie Roger. - Właśnie skończyłem college. Wygimnastykowałem umysł, ale straciłem formę fizyczną. - Ponieważ był raczej wątej budowy, jego odmowa nikogo nie zdziwiła.

Pozostał już tylko Gere, w którego uszach brzęczały jak natrętna mucha słowa Kelsey: „Nie bądź nedorajdą. Nie bądź nedorajdą. Nie bądź nedorajdą...”

- Spróbuję - rzekł, sięgając do portfela, po czym dodał, zwracając się do Shelley: - Nie spodziewaj się cudów. Nie miałem ostatnio zbyt wielu okazji do ćwiczeń.

Shelley nie mogła uwierzyć, że Gere zdecydował się wziąć udział w tej idiotycznej' zabawie. Nie byłoby nic zaskakującego w tym, gdyby Stanley wydał wszystkie pieniądze, dopóki nie udałoby mu się usłyszeć upragnionego dźwięku gongu, ale zupełnie nie pasowało to do Gere'a. Uśmiechnęła się do niego zachęcająco, gdy ważył w dłoniach ciężar młota. Odpowiedział jej odważnym, jeśli nie pewnym siebie uśmiechem.

To chyba działanie testosteronu, pomyślała Shelley, trochę rozczarowana, że Gere poczuł się zmuszony do udowodnienia swej męskości w taki efekciarski, samczy sposób. Jak gdyby nie miał pojęcia, jak bardzo jest męski.

Stanley pochylił się i szepnął coś Gere'owi do ucha. Gere skinął poważnie głową, głęboko skoncentrowany. Między obydwojma mężczyznami nawiązała się nić porozumienia, której nie zdołałaby przerwać żadna kobieta. Shelley przyglądała się z rosnącym zdumieniem, z jaką powagą Gere traktuje bezsensowne zawody i próbowała stłumić irytację. Gere był ostatnim mężczyzną, po którym mogłaby się spodziewać takiego zachowania.

Na skali, po której posuwał się do góry młoteczek, znajdowały się zabawne opisy klasyfikujące siłę mężczyzny biorącego udział w zawodach. Gere zacisnął zęby, modląc się, żeby znaleźć się powyżej napisu: „Chyba żartujesz!”

Stanley doradził mu, żeby plasował uderzenia bardziej z przodu. Gere uniósł młot nad głową, już to stanowiło nie byle jaki wyczyn, i opuścił go we wskazanym przez Stanleya miejscu. Była to jedna z tych chwil, kiedy wszystko dzieje się niczym na

zwolnionym filmie. Wstrzymał oddech obserwując, jak młoteczek mija kolejno: „Zasięgnij porady lekarza”, „Wymoczek”, „Chyba żartujesz!”, „Nieżyły zamach”, „Ładny popis”, „Prawie”.

Wreszcie - nie do wiary! - młoteczek dotarł na sam szczyt i uderzył w okragły gong. W powietrzu rozszedł się krystaliczny wibrujący dźwięk, a Gere roześmiał się głośno nie tyle z dumą, co z ulgą. No, niech tylko Kelsey o tym usłyszy!

W tej chwili przypomniał sobie o tradycji nagradzania zwycięzcy pocałunkiem i natychmiast przestał myśleć o siostrze. Skłonił się ku Shelley, gdy nagle poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

- Przepraszam pana, ale to park Disneya - powiedział bileter. - Dzieci patrzą.

Zbity z tropu, zajął wzrok Shelley, szukając oznak zmieszania, które sam poczuł, ale napotkał tylko szelmowski, psotny uśmiech. Idąc za jej spojrzeniem, zobaczył, że dobrze zbudowany młody bileter również stroi pocieszne miny i zrozumiał, że upomnienie było częścią zabawy.

Westchnął, uspokojony, że nie przekroczył granic przyzwoitości, nie skompromitował siebie i Shelley, nie zrobił z nich widowiska. Młody mężczyzna odegrał po prostu przedstawienie dla zgromadzonego tłumku.

Komentarz biletora stał się kawałem wieczora. Wystarczyło, by Gere wziął Shelley za rękę, a natychmiast jedno z ich paczki mówiło, przybierając odpowiednią minę: „Przepraszam pana, ale to park Disneya. Dzieci patrzą.”.

Bawili się rzeczywiście jak dzieci: Maggie była Myszką Miki, Stanley Kaczorem Donaldem, Barbara

wcieliła się w okrutną Bette Davis, a Roger w niezbyt przekonującego Johna Wayne'a.

Wyglądali się przez cały czas, stojąc w kolejce do klubu komediowego, aż wreszcie zagniewany Gere mruknął do Shelley:

- Nie mogę nawet trzymać cię za rękę!

Shelley zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Nie daj im się - szepnęła, po czym uśmiechając się kusząco, zagruchała: - Dalej, doktorze Booth, do dzieła!

Gdy Gere poczuł ciepło jej ciała, przestał go obchodzić ktokolwiek, oprócz Shelley. Pochylił ku niej twarz. Niemal natychmiast ktoś poklepał go po ramieniu. Oderwał wargi od jej ust tylko po to, by burknąć:

- Zjeżdżaj, pętaku!

- Rób jak uważasz - powiedział Stan. - Ale czekaliśmy prawie pół godziny na otwarcie klubu, a kolejka zaczęła się wreszcie posuwać.

Shelley roześmiała się i opuściwszy ręce, ujęła mocno jego dłoń.

- Chodź, bo nas jeszcze stratuja.

Chwila, której Gere obawiał się najbardziej, nadeszła, gdy wychodzili z klubu. Wszyscy postanowili zgodnie, że chcą potańczyć. Po długim oczekiwaniu w jeszcze jednej kolejce dostali się wreszcie do dyskoteki, wkroczyli w świat migających świateł i wibrujących dźwięków muzyki. Posuwali się z trudem schodami przez gęsty tłum w kierunku parkietu, który obracał się powoli, potęgując efekt *perpetuum mobile*. Wokół parkietu ustawione były stoliki, ale na razie nie dałoby się tam wetknąć nawet szpilki.

Dźwięki muzyki były tak głośne, że Gere'owi wydawało się, że ma w piersi elektroniczny wibrator.

Przypomniał mu się niedawno oglądany film o głuchych dzieciach tańczących w rytm muzyki, którą „słyszały” poprzez wibrację r/odłogi.

Nie dawało się w żaden sposób rozmawiać, ale nikomu to nie przeszkadzało. Stanley i Barbara wskoczyli już na obracający się parkiet, tymczasem Roger był wyraźnie przytłoczony, podobnie jak Gere. Maggie i Shelley kołysały się w rytm muzyki, gotowe do tańca.

Gere obserwował przez chwilę tańczących, co znacznie podniosło go na duchu, ponieważ okazało się, że Kelsey miała rację -każdy tańczył inaczej. Ćwiczył na tyle długo przed lustrem, porównując swoje ruchy z tańcami oglądanymi na kasetach wideo, by wiedzieć, że uda mu się ukryć wszelkie niedociągnięcia. Może czuć się jak idiota, ale nie będzie odbijał od innych.

Odetchnął głęboko, po czym uniósł pytająco brwi i wskazał gestem głowy parkiet.

- Z przyjemnością - powiedziała Shelley, ruszając przodem. Nie była pewna, czy Gere zechce zatańczyć, ponieważ nie przejawiał specjalnego entuzjazmu, gdy wspomniała mu o dyskotecie. Prawdę mówiąc, był tak nieśmiały, że zastanawiała się, czy w ogóle umie tańczyć. Jeszcze raz ją zaskoczył.

Gdy znaleźli się na parkiecie, zdała sobie sprawę, że ludzie przyglądają się Gere'owi. Po pierwsze, kobiety. Nie było w tym nic dziwnego: dzinsy opinały jego zgrabne pośladki, spod rozpiętej prawie do pasa koszuli wyglądał niebieski podkoszulek, pod którym rysowała się muskularna klatka piersiowa.

Wygląda na prawdziwego podrywacza, pomyślała niechętnie Shelley, próbując wmówić sobie, że podoba jej się ta metamorfoza Gere'a. Która dziewczyna nie chciałaby, żeby jej chłopak przyciągał pełne podziwu spojrzenia innych kobiet? Ale nie chodziło tylko o wygląd. Pełen niespodzianek doktor Hunk poruszał się z takim wdziękiem, jak gdyby szkolili go zawodowi choreografowie. Po chwili przyglądały mu się nie tylko kobiety, obrzucali go również zazdrosnymi spojrzeniami mężczyźni, niezadowoleni z wrażenia, jakie robił na ich partnerkach.

W bardziej awanturycznym środowisku mogłoby to stworzyć wybuchową sytuację. Jednakże przy całej swej hałaśliwości, *Pleasure Island* nie należało do miejsc, gdzie mężczyźni upijają się i wszczynają bójkę. Przyglądali się tylko, trochę poirytowani, i starali się przewyższyć umiejętnościami tanecznymi Gere'a, absolutnie nieświadomego emocji, które budził.

W istocie Gere nie zwracał uwagi na nic poza muzyką... i Shelley. Nie mogłaby zarzucić mu braku zainteresowania, za każdym razem, gdy napotykała jego spojrzenie i uśmiechała się do niego, odwzajemniał się uśmiechem, od którego serce jej miękło jak wosk. Wreszcie przestała zawracać sobie głowę kobietami gapiącymi się na Gere'a oraz ich zazdrosnymi partnerami i po prostu cieszyła się jego obecnością, poruszała się zmysłowo w rytm muzyki, uśmiechając się zalotnie i trochę prowokująco.

Po kilku tańcach zeszli z parkietu, by chwilę odetchnąć, dysząc ze zmęczenia, rozanieleni niczym para nastolatków zakochanych po raz pierwszy w życiu.

Ich znajomość zdecydowanie zmieniła charakter. Zmysły Shelley reagowały żywiłowo na obecność Gere'a. Pocałunek w kolejce do klubu połączył ich ciała i dusze. Był cudowny, stanowił potwierdzenie wzajemnego pociągu, obietnicę tego, co może się wydarzyć. Przypominała sobie ten pocałunek za każdym razem, gdy jej dotykał, gdy się do niej uśmiechał.

- Napijesz się czegoś? - spytał, nachylając się do jej ucha, by przekrzyczeć muzykę.

- Nie warto. - Machnęła ręką w stronę baru, przy którym tłoczyło się trzykrotnie więcej osób niż na parkiecie. - Nie jest ci za gorąco? - spytała, dotykając podwinętego rękawa jego koszuli. - Możesz to przecież zdjąć.

Gere spojrział na nią ze zdziwieniem i przyłożył dłoń do ucha na znak, że nie dosłyszał jej słów.

- Zdejmij to - powtórzyła, udając, że ściąga mu koszulę z ramion.

Wydawał się bardziej zakłopotany niż zwykle, Shelley zdobyła się więc na odwagę i wyciągnęła mu koszulę ze spodni, próbując zsunąć mu ją z ramion. Przeszkodził jej w tym jeden zapięty guzik.

Shelley pokazała mu guzik palcem i Gere posłusznie go odpiął, zdumiony, że kobieta, której pragnie niemal do szaleństwa, rozbiera go - dosłownie! - publicznie. Wyobraźnia podpowiedziała mu ewentualne następstwa tej sytuacji i poczuł, jak jego ciało reaguje na tę myśl. Shelley, najwidoczniej nie zdając sobie sprawy, jaki wulkan energii seksualnej poruszyła, schwyciła rękawy jego koszuli, rozwinęła je i zawiązała mu w pasie. Powiedziała coś do niego, ale jej słowa zagłuszył łomot muzyki. Gere pokręcił bezradnie głową.

- Tak jest modnie! - zawołała tuż przy jego uchu.

Gere wzruszył ramionami. Co go obchodzi moda! Chociaż zrobiło mu się chłodniej po zdjęciu koszuli, był roznamiętniony bardziej niż kiedykolwiek. To jej bluzka doprowadzała go do szaleństwa. Jeśli już miał coś rozpinać, wolałby, żeby to były guziki przy bluzce Shelley.

Ujął ją za ramiona i zatopił wzrok w jej oczach. Taniec sprawiał mu większą przyjemność, niż mógł się spodziewać, ponieważ tańczył z Shelley, a ona tańczyła dla niego. Zapragnął czegoś więcej: żeby zostali sami, z dala od tej przeklętej, pulsującej muzyki. Marzył o tym, by przytulić ją mocno, całować i zapomnieć o całym świecie.

I nagle stał się cud. Zaczęto grać jakąś bardzo wolną i zmysłową melodię. Być może inni wcale nie uważali tego za cud, ale Gere nie był głupcem. Modlił się, by móc wreszcie wziąć Shelley w ramiona, tulić ją do siebie i jego marzenie się spełniło. Był tym zbyt uszczęśliwiony, żeby martwić się, czy stawia nogi we właściwy sposób.

Gdy sobie o tym przypomniał, dawno już tańczyli. Płynęli po parkiecie, jak gdyby byli partnerami od lat. Z pewnością dlatego że Shelley jest wspaniałą tancerką, pomyślał z rozmarzeniem. Sam też wprawił się na tyle z panią Northbrook, żeby się nie skompromitować. Potem przestał zastanawiać się nad czymkolwiek, rozkoszował się wyłącznie chwilą obecną, czerpiąc przyjemność z faktu, że trzymał Shelley Peters w ramionach, że przytulała policzek do jego nagiego ramienia, czuł na skórze lekkie muśnięcia jej warg. Ukrył twarz w jej włosach, wdychając ich zapach.

Raptownie łagodna melodia przeszła ponownie w coś szybkiego. Gere niechętnie wypuścił z objęć

Shelley i zaczął się przyglądać jej w tańcu, rozkoszując się wspomnieniem podniecającego dotyku jej ciała. Uśmiechnęła się do niego zagadkowo, zmysłowo i pomyślała, że marzy o chwili, by móc znów ją tulić.

Gdy obrotowy parkiet przybliżył ich do miejsca, w którym Maggie i Roger stali przez większość wieczoru, Barbara pomachała dłonią i pokazała na zegarek. Gere ujął Shelley pod ramię i pomógł jej zejść z parkietu.

- Jest wpół do dwunastej! - zawołała Barbara.
- Jeśli chcemy obejrzeć noworoczny pokaz, powinniśmy przepchać się do głównej estrady.

Zbierał się tam już coraz gęstszy tłum. Na estradzie zespół grał karaibskiego rocka. Tancerze wręcz szaleli wśród frenetycznych oklasków widowni. Ogromny zegar odliczał sekundy.

- Za siedemnaście dwunasta - powiedziała Shelley.

- Za siedemnaście minut Stanley rozpocznie nową dekadę - dodała Barbara. - Jakie to uczucie, gdy nieuchronnie zbliża się czwarty krzyżyk?

- Dowiesz się w przyszłym roku - odparował Stanley.

Barbara wyraźnie zamierzała odwdzińczyć mu się uszczypliwą uwagą, gdy nagle stali się celem ataku płynnych serpentyn. Shelley roześmiała się na widok miny Gere'a, ścierającego krzepnącą zielonkawą masę z twarzy i wpatrującego się w nią z niedowierzaniem.

- To serpentyny w aerozolu - wyjaśniła.

- Masz to świństwo we włosach - powiedział, wyciągając z nich długą nitkę..

- Nie szkodzi... - zaczęła Shelley, ale dalsza część zdania utkwiała jej w gardle, gdy poczuła dotyk dłoni

Gere'a na policzku, a ich spojrzenia się spotkały. Przełknęła z trudem ślinę, widząc w jego oczach nie ukrywane pożądanie. Wyzwalał w niej szczególnie uczucia, od chwili gdy po raz pierwszy pocałował ją na placu zabaw.

Zabawne, ale przedtem uważała go wyłącznie za sympatycznego przyjaciela. Dopiero pocałunek uświadomił jej, że jest pełnym życia, zmysłowym mężczyzną, który potrafi wzniecić namiętność. Gdy leżała obok niego na siatce pod gwiazdami, czuła się z nim tak, jak pragnęła się czuć z mężczyzną w czasach, gdy wierzyła, że wszystko jest takie wspaniałe jak w książkach, które namiętnie czytała.

Jej pierwsi chłopcy, ich niezdarne pocałunki i pieszczoły uświadomiły jej różnicę pomiędzy romantycznymi oczekiwaniami a rzeczywistością. Potem przyszła pierwsza wielka miłość. Chłopak, któremu oddała swe dziewictwo z absolutnym przekonaniem, że jest mężczyzną, z którym zbuduje idealne życie, wyjechał do college'u i powoli czas ich rozdzielił.

Gdy wyprowadziła się z domu rodziców, miała swój kolejny romans: miłą, podniecającą przygodę. Ten związek skończył się, gdy zdała sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi. Młody mężczyzna był dobrym kochankiem, lecz kiepskim materiałem na męża.

To doświadczenie przydało jej dojrzałości, jej oczekiwania stały się bardziej pragmatyczne. Nie szukała już księcia z bajki, lecz kogoś, z kim mogłaby - przy staraniach i kompromisie obu stron - żyć we względnej harmonii przez resztę życia. Dawno już straciła wiarę, że istnieje coś takiego jak magia seksu, nagła świadomość wzajemnego przyciągania, oczekiwanie

z zapartym tchem na dotyk, zamieranie serca, gdy wreszcie nastąpi.

I wtedy Gere ją pocałował. Ten jeden pocałunek stał się kamieniem milowym, linią dzielącą pierwszą część jej życia od całej reszty. Sprawily to nie nowy wyglad Gere'a, fakt, że przeobraził się nagle w atrakcyjnego towarzyskiego mężczyznę, świetnie radzącego sobie na parkiecie, lecz jego uczuciowość, wrażliwość, szczerłość. Traktował ją, jak gdyby była niesłychanie kruchym przedmiotem, a gdy ją obejmował i całował, miała wrażenie, że uchodzi z niej życie. Maggie trafiła w sedno: miała fioła na punkcie doktora Hunka!

Gere odwrócił wzrok i udał głębokie zainteresowanie serpentyną, którą zdjął z jej włosów.

- Miałaś rację - powiedział. - Nie przylepia się.

Oglądał ciekawie plastik, zwijając go w palcach, a nawet wachając.

- I mówisz, że sprzedają to w aerozolu?

- Ludzie zawsze przynoszą takie rzeczy na zabawy. Dziwi mnie, że nigdy się z tym nie zetknąłeś.

- Nie chodzę często na zabawy - powiedział Gere. A Shelley ma roczną wejściówkę do tej krainy nieustającej rozrywki, skonstatował w myślach.

Shelley objęła go w pasie.

- Nie szkodzi - roześmiała się. - Dziś masz okazję nadrobić wszelkie zaległości.

Wciągając w nozdrza zapach jej włosów - jakiego kosmetyku używa, że jej włosy pachną tak niebiańsko?

- Gere przestał myśleć o głupich serpentynach. Tak spontanicznie go objęła, przytuliła się...

Zatopiony w marzeniach, podskoczył, gdy długa zielona wstążka wylądowała w jego włosach, a różowa oplatała Shelley.

Szalony Stanley kupił dwa pojemniki serpentyn od ulicznego sprzedawcy.

- Stanley! - zawołała ostrzegawczym tonem Barbara. - Zachowuj się przyzwoicie!

- Rozchmurz się - odrzekł Stanley. - Człowiek tylko raz w życiu kończy trzydziestkę.

- I to za pięć minut! Zostaw trochę na świętowanie.

- Po północy będę zbyt zajęty podziwianiem mojego nowego kija golfowego - powiedział Stanley, kierując w górę dysze pojemników. Serpentyny wystrzeliły na wysokość metra i opadły kolorowym deszczem na ich włosy i ramiona.

Śmiejąc się, zbierali je, formowali z nich kulki i obrzucali się nimi nawzajem. Muzyka stawała się coraz głośniejsza i coraz gorętsza, tłum - coraz gęstszy i hałaśliwszy. Serpentyny fruwały we wszystkich kierunkach, ludzie klaskali, wirowali w rytm muzyki, odliczali ostatnie sekundy.

Wykonawcy zeszli ze sceny i zaczęli tańczyć *congę*, wciągając do niej publiczność. Nad głowami tańczących rozpryskiwały kolorowe fajerwerki.

- Nie mogę uwierzyć, że jest tak samo każdego wieczora - wykrzyknął Gere, strząsając konfetti z ramion.

- „W każdą noc świętujemy sylwestra” - zacytowała Shelley telewizyjną reklamę. Przyglądała się twarzy Gere'a. Podobnie jak ona, miał we włosach serpentyny i konfetti, co nie przeszkadzało, że był dla niej najseksowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała.

Wspinając się na czubki palców, szepnęła mu do ucha:

- Jest pewien zwyczaj, który nierozzerwalnie wiąże się z sylwestrem.

Zastanawiając się, o co jej chodzi, Gere rozejrzał się dookoła. Wśród tańczących, obrzucających się serpentydami i wznoszących toasty ludzi zauważył przytulone, całujące się pary.

Co za niedomyślność! Gere chętnie puknąłby się w czoło, ale obie ręce miał zajęte pieszczaniem talii Shelley, przytulaniem jej, gdy tymczasem uwagę miał całkowicie skoncentrowaną na jej kuszących ustach. Jego niedomyślność polegała wyłącznie na tym, że bez przerwy myślał, jak by ją pocałować, a więc był to dla niego stan normalny.

Pochylił się ku jej wargom, rozkoszując się ich smakiem. Nigdy dotąd nie zatracił się bardziej w pocałunku. Ludzie trącali ich, popychali, ale Gere nie zwracał na to uwagi. Szaleńcza zabawa toczyła się gdzieś obok, nie dotyczyła ich. Tylko Shelley była dla niego ważna. Pragnął ją tulić, smakować, posiadać.

Byli tak sobą pochłonięci, że umknął ich uwagi dziki okrzyk radości Stanleya. On jednak nie pozwolił się zignorować i chwyciwszy Gere'a za ramię, oderwał go siłą od Shelley.

Gere zamrugał oczami, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Pogratuluj mi! - krzyczał radośnie Stanley.
- Zostanę tatusiem.

- Tatusiem? - powtórzył Gere, posłusznie ściskając dłoń Stanleya.

Shelley pierwsza połapała się w sytuacji i serdecznie ucałowała przyjaciółkę.

- Dziecko? Och, Barbaro, to cudownie!

- I nie zdradziłaś się ani słowem! - przyłączyła się do niej Maggie. - Jesteś okropna!

- Chciałam, żeby Stanley dowiedział się pierwszy - tłumaczyła się Barbara. - I to koniecznie w dniu swoich urodzin.

- Hej, oddajcie mi ją- powiedział Stanley, chwytając żonę za ramię i odciągając ją od przyjaciółek. Poklepał ją po brzuchu, uśmiechnął się szeroko i dodał: - Cholera jasna! Dziecko!

- Nie miałam pewności, jak przyjmie tę nowinę - powiedziała Barbara, rozświetlona radością Stanleya.

- Musimy to uczcić - dodał Stanley. - Ja stawiam.

Przepchnęli się przez tłum do Klubu Przygody, chłodnej, spokojnej oazy w porównaniu z innymi klubami, które odwiedzili tego wieczora. Minęli wyfraczonych lokajów i przypadkowego badacza brytyjskiego z monoklem, w stroju safari, i znalazłszy zaciszny kącik, zamówili bezalkoholowe napoje.

- Powiniennem był się zorientować, że coś się dzieje, gdy Barbara nie dała się namówić dzisiaj na wino. Jesteśmy na diecie, co? - dokuczał żonie Stanley.

Gdy wzniesiono już toasty, złożono gratulacje i życzenia, Stanley zaproponował, żeby wrócili jeszcze do dyskoteki.

- Mam ochotę przetańczyć całą noc - powiedział, o czym dodał, opamiętując się nagle: - Jeśli, oczywiście, uważasz, że nie zmęczysz się za nadto.

- Taniec z pewnością mi nie zaszkodzi. Poza tym również chcę świętować. W końcu to twoje trzydzieste urodziny.

- No więc? - spytał Stanley. - Idziemy?

Maggie spojrzała pytająco na Rogera, który wzruszył ramionami.

- Jasne! - zgodził się.

Oczy wszystkich zwróciły się na Shelley i Gere'a. Shelley zastanawiała się, jak ma postąpić. Cieszyło ją szczęście Barbary i Stanleya, ale oni i tak będą dobrze się bawić, sami albo z przyjaciółmi. Spojrzała na Gere'a, potem na nich.

- Ja... Posłuchajcie, zrobiło się późno, a mnie potwornie rozbolała głowa. Nie gniewajcie się, ale...

Uściskała na pożegnanie przyszłych rodziców, po czym ujęła Gere'a za rękę i wyszli razem z parku.

Gere siedł w milczeniu, próbując wytłumaczyć sobie ból głowy Shelley i jej zachowanie na wieść o ciąży Barbary. Gdy poprosiła go, by ją pocałował, a potem odwzajemniła pocałunek, jak gdyby był dawno utraconym kochankiem, pomyślał... Potem zaś, gdy nabrał nadziei na coś więcej, wymówiła się bólem głowy.

Odczuwał coraz większe rozczarowanie. A jeśli wszystko zinterpretował opacznie? Jeśli nie był dla niej nikim szczególnym?

Dziewczyna z roczną wejściówką do Pleasure Island wymawia się bólem głowy o wpół do pierwszej w nocy, w sobotę, akurat wtedy gdy wybrała się na zabawę z Garrickiem Boothem. A jednak pocałowała go w szczególny sposób. To nie wytwór wyobraźni, wyczuwał to instynktownie.

W drodze powrotnej milczał przez cały czas. Shelley zachodziła w głowę, co też zaprzętało jego myśli. Był przecież taki czuły przez cały wieczór. Czemu teraz wydaje się taki daleki? Nie odezwał się ani razu, z wyjątkiem chwili, gdy spytał ją, czy woli, by opuścił dach, czy też jechał z podniesionym.

Żałowała, że nie powiedziała mu, by nie opuszczał dachu. Nie wiadomo czemu, rozgwieżdżone niebo

ponad ich głowami sprawiało, że milczenie Gere'a stawało się bardziej złowieszcze. Noc jednak była tak piękna, że Shelley odchyliła głowę na oparcie fotela, zamknęła oczy i rozkoszowała się łagodną pieśczołą wiatru.

- Jak twoja głowa? - spytał Gere, gdy wjechał wreszcie na podjazd prowadzący do jej domu.

- Moja głowa?

- Przecież boli cię głowa.

- Ach, tak! - Biedak, uwierzył w jej wymówkę! Albo źle zinterpretowała wysyłane przez niego sygnały, albo on nie odczytał jej pragnień.

Czy to możliwe, żeby był taki naiwny? Popatrzyła na jego pełne współczucia oczy i westchnęła głośno. Poszłaby o każdy zakład, ryzykując nawet rodzinny majątek, gdyby go posiadała, że tak właśnie jest.

Czując, że serce znów w niej topnieje, położyła dłoń na jego ręce opartej wciąż na kierownicy.

- Może wstąpisz do mnie na chwilę?

ROZDZIAŁ

8

- Jesteś pewna? Twoja głowa...
- Myślę, że musimy porozmawiać.

Niepewny, czy owa potrzeba porozmawiania wróży coś dobrego, czy wręcz przeciwnie, Gere skinął głową.

- Napijesz się czegoś? - spytała. - Kawy, herbaty, białego wina...

Gere wybrał kawę, ponieważ przygotowanie jej trwało najdłużej i w ten sposób zyskiwał na czasie. Jeśli miał dostać kosza, to przynajmniej nie od razu. Poszedł za Shelley do kuchni i przyglądał się, jak odmierza łyżeczką kawę i wlewa wodę do ekspresu.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do tego, jak silnie oddziałuje na niego jej uroda. Shelley była taka kobieca - krótka spódniczka opinała jej kształtne biodra, odsłaniając nogi, może nie tak długie jak u modelek, ale bardzo zgrabne, podobnie jak reszta ciała. Podziwiał jej stromy biust, szczupłą talię, kragłe pośladki, nie mógł oderwać od niej wzroku.

Shelley też celowo przedłużała rytuał parzenia kawy. Nie bardzo wiedziała, jak ma zacząć rozmowę na temat, który chciała poruszyć. Niektóre kobiety z pewnością miałyby tupet, by powiedzieć mu wprost:

„Słuchaj, wcale mnie nie boli głowa, skłamałam, żebyśmy mogli być sami i kochać się. Co ty na to, chłopcze?”

Ale Shelley Peters nie odznaczała się tupetem. Serce jej biło, ścisnęła ją w żołądku, nie była w stanie wyrzucić słowa. Sądząc po wszelkich objawach, była po prostu zakochana, co zresztą wcale nie ułatwiało jej zadania.

Gere zaczynał podejrzewać, że Shelley wcale nie boli głowa, że nie bolała jej ani przez chwilę. Oznaczało to pewnie dla niego złe wiadomości, które przekaże mu łagodnie i taktownie przy kawie. Nie uspokoił się wcale, gdy wyjęła ze spizarki ciastka i starannie ułożyła je na talerzu. Niepewność paraliżowała go, z drżeniem serca czekał, aż zostanie grzecznie wyproszony za drzwi: „Było mi bardzo miło, ale... nie dzwoń do mnie, sama się do ciebie odezwę.” Potem będzie mu czasem machała dłonią, wkładając korespondencję do jego skrzynki na listy.

Gere wykazywał dużą cierpliwość w badaniach naukowych, nie potrafił natomiast spokojnie czekać, aż dostanie kosza. Postanowił zdemaskować jej kłamstwo.

- Czy nie powinnaś wziąć czegoś od bólu głowy? Może aspirynę?

Stała do niego tyłem, widział, jak cała sztywnieje, po czym bierze głęboki oddech i odwraca się ku niemu.

- Nie boli mnie głowa, Gere. Nie bolała ani przez chwilę.

Myślał, że jest przygotowany na taką odpowiedź, ale udało mu się wyrzucić zaledwie:

- Ach, tak.

Shelley podeszła do stołu, usiadła tuż obok Gere'a i wzięła go za rękę. Gere czuł się, jak gdyby ktoś zadał mu silny cios w splot słoneczny. Usiłował się pozbierać, myśląc, że postąpiłaby bardziej humanitarnie, gdyby go nie dotykała, skoro zamierza go odtrącić.

- Nie jest to dla mnie łatwe - powiedziała.

Czy sądzi, że jemu jest łatwo siedzieć i czekać na odprawę?

Shelley wyczuła jego napięcie. Gdyby choć trochę wyszedł jej naprzeciw, ośmielił ją... Gdyby posadził ją sobie na kolanach i zaczął całować...

- Gere, zwykle gdy spotykałam się z mężczyzną, po kilku randkach stawało się oczywiste, do czego zmierzamy. Chodzi mi o to... - Westchnęła, po czym zaśmiała się nerwowo. - Można chyba zaryzykować twierdzenie, że jeśli mężczyzna całuje mnie w taki sposób jak ty dzisiaj, to sugeruje, że ma ochotę wejść ze mną do domu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Nie rozumiesz, prawda? - Gere poruszył się nerwowo, ale Shelley nie pozostawiła mu czasu na odpowiedź. - Ani trochę nie bolała mnie głowa. Wymyśliłam to, ponieważ chciałam... to znaczy, myślałam, że ty chcesz być ze mną sam, a jeśli tak, to ja pragnę tego samego. Ale teraz nie jestem już taka pewna i wołałabym, żebyś coś powiedział, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę.

Zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie po dłuższej chwili, która wydawała się wiecznością, Gere zerwał się z krzesła, pociągając za sobą Shelley. Ujął jej twarz w dłoń i spytał z napięciem:

- Chcesz wiedzieć, czy pragnę się z tobą kochać?

Tym razem to on nie pozostawił jej czasu na odpowiedź. Jego spojrzenie było tak zniewalające, że Shelley nie mogłaby odwrócić wzroku, nawet gdyby w sąsiednim pokoju rozdzwonił się alarm przeciwpożarowy.

- Nie sądzę, żeby mężczyzna mógł bardziej pragnąć kobiety niż ja ciebie - rzekł rozdygotanym głosem.

Shelley wolałaby być chłodna i opanowana, powiedzieć coś dowcipnego, ale gdzie tam. Jej ciało płonęło, gardło miała ściśnięte, oddychała z trudem.

Mijały sekundy, minuty. W końcu Gere spytał nieśmiało:

- Co teraz zrobimy?

- Myślę, że powinnam wyłączyć ekspres - odpowiedziała Shelley, po czym dodała: - Prawdę mówiąc, straciłam ochotę na kawę, a ty?

Gere wyglądał na absolutnie przerażonego. Skinał tylko głową.

Shelley podeszła do ekspresu, wyłączyła go i spojrzała na Gere'a. Stali po przeciwnych stronach małej kuchenki, ona oparta o bufet, on tyłem do stołu.

Jesteśmy płochliwi jak kucyki, pomyślała Shelley, zastanawiając się gorączkowo, jak wybrnąć z tego impasu.

- Shelley - wymówił jej imię z czułością i szcunkiem.

- Tak?

- Ze mną wszystko w porządku - rzekł ponuro, po czym zaklął cicho pod nosem. - Nigdy nie znalazłem się w tak kłopotliwej sytuacji... - Odetchnął głęboko i ponownie zaklął z obrzydzeniem. - Chodzi mi o to, że jestem absolutnie normalny i z pewnością jestem gotów... - Jęknął głośno. - Do licha, Shelley, nie mógłbym być bardziej gotowy do miłości z tobą, po prostu spaliłbym się na popiół. To dlatego...

Opadł z ciężkim westchnieniem na najbliższe krzesło. Shelley podeszła do niego szybko i usiadła obok, chwytając go za ręce.

- Gere.

- Ostrzygłem włosy i nauczyłem się tańczyć, Shelley, ale przysięgam ci, że nie mam pojęcia, co robić dalej. Kochałem się z kobietą tylko jeden raz w całym moim życiu i było to coś zupełnie innego. To ona grała pierwsze skrzypce, a poza tym nie zależało mi na niej. To znaczy zależało, ale nie...

Westchnął znowu i uściśnął mocno jej dłonie.

- Do licha, Shelley, nie przedłużajmy tego. Pomóż mi, dobrze?

- Tak jakbym wyprzedzała cię doświadczeniem o całe lata świetlne - powiedziała cicho Shelley, przytłoczona groteskowością sytuacji.

- Hmm? - Spojrzał na nią pytająco.

- Nic, nic - pokręciła głową. - Po prostu... - Uśmiechając się figlarnie, przyciągnęła jego dłoń do ust i pocałowała ją lekko. - Do tej pory dawałeś sobie świetnie radę. Nie sądzę, byś potrzebował mojej pomocy.

- Ale nie wiem, jak... zrobić następny krok.

- Wiem, że jesteś cholernie inteligentny, Gere, ale czasem zbyt dużo myślisz.

- Ale...

- Kochanie się to nie coś, co można dokładnie zaplanować, to coś, co się czuje.

Gere przesunął wolną ręką po jej szyi, pieszcząc delikatnie wrażliwą strefę za uchem.

- Wierz mi, kochanie, że ja to czuję.

- Czemu więc nie zatańczymy? - spytała, wstając.

- Zatańczymy?

- W klubie nocnym to zadziałało - przynajmniej na mnie.

Tym razem również. Ramiona Gere'a oraz „St. James Infirmary” okazały się nader zmysłową kombinacją. Wystarczyło, że zamknęła oczy i przytuliła policzek do jego ramienia, a natychmiast znalazła się z powrotem pod gwiazdami, w dyskotecce. Ale tym razem byli sami. Żaden policjant nie będzie im świecił latarką w twarz, żaden kelnerzy nie pozwolą sobie na głupie dowcipy, żaden przyjaciele nie oznajmią im nowiny o zbliżających się narodzinach. Objąwszy Gere'a w pasie, położyła dłonie na jego biodrach.

- Czy naprawdę nauczyłeś się tańczyć specjalnie na dzisiejszy wieczór?

- Nie zamierzałem ci o tym mówić.

- Dlaczego? - szepnęła.

- Chyba wstydziłem się, że dotąd nie potrafiłem.

- W jaki sposób się nauczyłeś?

- Wypożyczyłem kasety wideo.

Shelley roześmiała się cicho.

- Właśnie dlatego nie chciałem ci mówić.

Przesunęła dłońmi po jego plecach, po czym położyła mu je na ramionach, wyczuwając palcami sprężyste mięśnie.

- To najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił dla mnie mężczyzna.

- I warta każdej sekundy, którą na to poświęciłem - wymruczał Gere, ukrywając twarz w jej włosach. Czuł ciało Shelley każdym nerwem, przebiegały go dreszcze, gdy napierała piersiami na jego klatkę piersiową, pieściła plecy, ocierała się o niego w tańcu udami. O reszcie nie ośmielał się myśleć, bojąc się, że całkiem straci nad sobą kontrolę.

- Kasety wideo - powiedziała, skubiąc lekko zębami jego szyję. - Kto by w to uwierzył?

- Pani Northbrook powiedziała, że pragnienie, by trzymać cię w ramionach, ułatwi mi wszystko. I nie myliła się.

Shelley omal nie spytała, kim jest pani Northbrook, ale kobiecy instynkt podpowiedział jej, że nie musi się obawiać odpowiedzi, a nie chciała zepsuć czaru tej chwili. Zamiast tego zażądała:

- Pocałuj mnie. Kochaj mnie.

W tej chwili Gere zrozumiał, że wszystko będzie dobrze. Jak mógł odczuwać zdenerwowanie? Pragnienie, podniecenie, czułość - tak, ale zdenerwowanie? Nigdy! Nie przy najlepszej istocie ludzkiej, jaką ziemia nosiła.

„Pocałuj mnie. Kochaj mnie.” Posłuchał tego wezwania, całując ją najpierw delikatnie, potem coraz bardziej zaborczo, namiętnie, sunąc dłońmi po jej ciele, poznając je, pieszcząc. Przepęłniała go czułość, którą pragnął jej ofiarować. Miłość. Chciał się z nią kochać.

Ułatwiała mu wszystko, czasami szepcząc coś do ucha, czasami przejmując inicyjatywę. Zanim zdążył się zmartwić, jak dotrą do sypialni, Shelley postawiła nim tam w subtelny sposób. By oszczędzić mu niepokoju, jak ma zrobić następny krok, pierwsza rozpięła mu koszulę. Gdy jej palce zaczęły błądzić we włosach na jego piersi, Gere poczuł się niemal jak w niebie.

Sięgnął dłonią do guzików przy jej bluzce, które drażniły go przez cały wieczór, i spróbował odpiąć górny, który jednak okazał się złośliwie oporny. Shelley powstrzymała jego rękę i roześmiała się cichutko.

- One są tylko ozdobą - wyjaśniła, dostrzegając jego zakłopotanie. - To pulower. Widzisz?

No jasne. Gdy ściągnęła go przez głowę, oczom Gere'a ukazał się wspaniały widok, zwłaszcza gdy odpięła klamerkę z przodu biustonosza. Patrzył, dotykał, całował, potem znów dotykał, zaglądając od czasu do czasu w rozmarzone oczy Shelley.

Przytulił ją do siebie z całej siły i westchnął w uniesieniu, gdy zetknęły się ich nagie piersi. Z zamkniętymi oczami zanurzył twarz w jej włosach, rozkoszując się bliskością Shelley. Jej plecy były gładkie jak aksamit, jej dłonie wzniecały w nim pożar.

- Myślę, że przyszedł czas, żebym cię przeprosiła - powiedziała stłumionym głosem.

Przeprosiła? Ma wyjść? Było to coś nie do pojęcia, nie do pomyślenia.

Odsunęła się trochę i widząc jego minę, wyjaśniła szybko:

- Nie znam sposobu, by z wdziękiem zdjąć rajstopy. Minuta w łazience uratuje moją godność.

Zanim wyszła z sypialni, podeszła do łóżka i zdjęła narzutę. Gest był erotyczny, stanowił zarazem propozycję i zaproszenie. Gere nie mógł oderwać od niej oczu, zahipnotyzowany widokiem jej piersi, gdy się do niego zbliżała, i wdzięcznej linii pleców, gdy znikwała w łazience. Potem obrzucił spojrzeniem łóżko z prześcieradłem w kwiaty, pastelowożółtym kocem oraz puchatymi poduszkami, czekające, aż staną się z Shelley kochankami.

Usiadł na brzegu łóżka i oddychał głęboko. Myślał, że ochłonie trochę pod jej nieobecność, ale ciało miał napięte oczekiwaniem.

Schylił się i rozsznurował buty, po czym je zrzucił. Shelley wciąż się nie pojawiała. Tęsknił za nią. Jej obecność dodawała mu odwagi, gdy jej nie było, zaczynał czuć się niepewnie. Przypomniał sobie o plas-

tykowym pakieciku w portfelu i obietnicy danej Kelsey, że zachowa się odpowiedzialnie.

Gdy zaczęło ogarniać go coraz większe z wątpienie, Shelley wróciła do sypialni, uśmiechając się nieśmiało i rozpraszając natychmiast wszystkie jego wątpliwości. Rzuciła identyczny pakiecik na łóóko, mówiąc:

- To drobiazg dla ciebie na póóniej.

Gere wstał i otworzył ramiona. Podbiegła do niego i wtuliła się w nie, lgnąc do niego całym ciałem. Zrozumiał, że denerwowała się podobnie jak on, i rozzłościła go własna gruboskórność. Wymówił jej imię czułym, przepaszającym tonem, ona zaś uniosła twarz do pocałunku.

Poczuł, jak jej dłonie wślizgują się pod pasek spodni, następnie rozsuwają zamek błyskawiczny. Wciągnął spaszmatycznie powietrze, gdy dotknęła dłońmi jego bioder i zsunęła mu spodnie, które opadły do kostek. Zrzucił je wówczas kopnięciem, próbując pamiętać o tym, by oddychać, gdy Shelley przesuwala palcami po jego nagich udach.

Miał ochotę krzyknąć z rozpacz, tak nagle opuściły go pieszczące dłonie, lecz nim krzyk zdążył zadrzeć w powietrzu, jej ramiona objęły jego szyję, a usta całowały namiętnie.

Gere poczuł się, jakby dotknął bezkresu, aż się zachwiał, ale utrzymał równowagę, chwytając Shelley za pośladki i przytulając mocniej do siebie. Spóóniczka podjechała do góry. Przeklinając dzinsowy materiał, który wypełniał mu dłonie, cofnął się w kierunku łóóka i usiadł, trzymając ją na kolanach. Kaódy jej ruch wywoływał tysiące różnych odczuć, podniecając go, doprowadzając do szaleństwa.

Shelley westchnęła i wygiąwszy się w łuk, nadaremnie próbowała rozpiąć suwak spóóniczki. Gere poópie-

szyl z pomocą, ale palce mu drżały. Wreszcie wspólne wysiłki przyniosły oczekiwany efekt. Odchylając się od niego, Shelley zsunęła dżinsową szmatkę z nóg i odrzuciła ją ze zmysłowym śmiechem.

Gdy usunęli wspólnie tę przeszkodę, ich pieśczoły nabrały z powrotem łagodności. Przytuleni do siebie, odkrywali niemal leniwie swoje ciała, dopóki napięcie nie doszło znów do zenitu i nie pozbyli się resztek dzielącego ich ubrania.

Leżąc tak obok siebie, nadzy, spojrzeli sobie w milczeniu w oczy, świadomi tego, co za chwilę nastąpi. Shelley zdecydowała się na bardzo intymną pieśczołę. Gere jęknął, czując, że zamiast krwi ma w żyłach płynny ogień.

- Shelley?

Pochyliła głowę i przylgnęła wargami do wrażliwego miejsca u zbiegu szyi i ramienia.

- Chyba nadszedł czas, żebyś przymierzył nową garderobę - szepnęła.

To wcale nie jest krepujące, pomyślał Gere z niedowierzaniem, widząc, jak Shelley poradziła sobie z prezerwatywą. Jak wszystko inne z Shelley, bezpieczny seks wydawał się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem.

Tulili się, głaskali, całowali, pieścili, a gdy połączyli się wśród zdyszanych oddechów i okrzyków rozkoszy, przeżyli moment cudownego spełnienia. Gdy wreszcie oderwali się od siebie, nasyceni i wyczerpani miłością, wciąż jeszcze oddychając z trudem, Gere wymówił jej imię urywanym szeptem.

- Hmm? - wymruczała Shelley.

- Do licha! - powiedział Gere.

Shelley roześmiała się cicho.

- Dzięki Bogu!

- Za co? - spytał zdziwiony.
- Gdy wymówiłeś moje imię, byłam przez chwilę pewna, że chcesz mi podziękować.
- Wydaje mi się, że to właśnie zrobiłem.
- Nie. Powiedziałaś: „Do licha!”, z wykrzyknikiem na końcu.

- Czy to lepiej?

Shelley zamknęła oczy i westchnęła, jej gorący oddech sparzył mu skórę.

- O niebo lepiej.

Gere wykrzesał z siebie odrobinę energii i wsparł się na łokciu, by móc spojrzeć jej w twarz.

- Dlaczego?

- Sam pomyśl, Gere. „Dziękuję” brzmi bardzo uprzejmie i na miejscu. „Do licha!” jest znacznie bardziej wymowne. Przecież jesteś harwardczykiem, a w dodatku doktorem.

- I to „podwójnym”.

- No widzisz, zapomniałam. Dobrze. Nawet lepiej. Tylko pomyśl, doprowadziłam mężczyznę z dwoma doktoratami do tego, że zawołał: „Do licha!”. To mi przypomina Waltera Cronkite'a.

Gere wzniosł oczy do nieba z irytacją.

- Całkiem się w tym pogubiłem, Shelley. Co ma z nami wspólnego Walter Cronkite?

- Widziałam w telewizji program o ludzkich reakcjach na różne wydarzenia. Na przykład, Walter Cronkite robił mnóstwo reportaży na temat programu badań kosmicznych od wystrzelenia pierwszego satelity, ale gdy pierwszy astronauta postawił nogę na Księżycu, był tak przejęty, że zdołał jedynie wymówić z nabożnym podziwem: „O Jezu!”. Widzisz więc, istnieje między tymi sprawami prosty związek: kochanie się ze mną było dla ciebie czymś równie

wspaniałym, jak spacer po Księżycu dla Waltera Cronkite'a.

Gere zamierzał jej powiedzieć, że to najbardziej pokrętna logika, z jaką spotkał się podczas trzydziestu lat swego życia, zamiast tego jednak uśmiechnął się jak zakochany lunatyk i rzekł:

- Zapewniam cię, że kochanie się z tobą było dla mnie czymś wspanialszym niż spacer po Księżycu dla Waltera Cronkite'a.

Shelley szeroko otworzyła zamglone od napływających łez oczy i ująwszy jego twarz w dłonie, wyszeptowała: „O Jezu!”, po czym przyłgnęła ustami do jego warg w długim pocałunku.

ROZDZIAŁ

9

- W jakiej dziedzinie poza entomologią zrobiłeś doktorat? - spytała Shelley. Odpoczywali, zmęczeni miłością, drzemali, następnie budzili się i znów się kochali. Teraz leżeli przytuleni w łóżku Shelley, nieświadomi upływu czasu, nie mając siły ani ochoty, by sprawdzić która godzina.

- Właściwie to entomologia jest moją drugą specjalnością - odpowiedział Gere. - Zacząłem od chemii, podobnie jak mój dziadek.

- Twój dziadek był chemikiem?

Gere skinął głową.

- Owszem. W złotym wieku chemii. Ma swój wkład w rozwój pewnych wczesnych procesów wytwarzania plastyku.

- I tym chciałeś się zająć?

- Wręcz przeciwnie. Zanim jeszcze poszedłem na studia, zaczęliśmy się już orientować, jakie szkody w środowisku naturalnym wyrządzają sztuczne tworzywa. Zdecydowałem się podjąć pracę nad zapobieganiem niszczeniu środowiska.

- Żeby uratować świat?

- Jak większość osiemnastolatków.

- Co cię więc skłoniło do zajęcia się owadami?
- spytała Shelley, ziewając i przytulając policzek do jego piersi.

- Zainteresował mnie problem pierwiastków chemicznych występujących w stanie naturalnym i dowiedziałem się, że prowadzone są pewne badania nad wydzielinami owadów. Tak to się zaczęło, a potem zrobiłem swój drugi doktorat,

- Zazdroszczę ci.

Gere zawsze czuł się trochę zakłopotany bogactwem swojej rodziny. Sztuczne tworzywa wydawały się śmiesznym sposobem zrobienia majątku, ale jego dziadek był człowiekiem przewidującym i postarał się o odpowiednie patenty, co przyniosło mu wielkie zyski.

- Z powodu Harvardu?

- Nie całkiem. Raczej tego, że znalazłeś coś, co cię zafascynowało, i poświęciłeś się temu. Mnie interesowało tyle rzeczy, że nie potrafiłam skoncentrować się na jednej. Moi rodzice oddaliby wszystko, żebym zrobiła dyplom, zamiast kolekcjonować różne zaliczenia.

- Stopnie naukowe nie są najważniejsze.

- I to mówi facet z dwoma doktoratami. W dodatku uzyskanymi na takiej uczelni jak Haa-vaad.

Gere roześmiał się, słysząc, jak przedrzeźnia wymowę nazwy uczelni.

- Chodzi mi o to, że masz pracę, którą lubisz. Czy papierek coś by tu zmienił?

Gdyby tak go usłyszeli jego uczeni koledzy! Wszyscy naukowcy znają wartość stopni naukowych. Oznaczają one stypendia, fundusze na badania. Potwierdzają wiarygodność. Naukowiec stanowi sumę swoich stopni, uczelni, publikacji oraz pracy.

- Moja mama uważa inaczej - wyjaśniła Shelley.
- Pokładała we mnie nadzieje. Ron od początku nie chciał słuchać o niczym poza mechaniką samochodową, poszedł więc do szkoły zawodowej, a Lizzy nie miała żadnych ambicji poza wyjściem za męża i rodzeniem dzieci. Kiedy zapisałam się na uniwersytet, mama cieszyła się ogromnie. Nie mogłam jednak zdecydować się na specjalizację, poza tym niezbyt dobrze mi szła matematyka i francuski...

- Francuski?

- Wymagany był język obcy. Miałam uczucie, że tracę zbyt wiele czasu na uczenie się przedmiotów, które mnie nie interesują, a gdy znalazłam coś, co naprawdę polubiłam, okazało się, że nie prowadzi to do niczego, rzuciłam więc studia. Teraz nadzieją jest Kevin.

- Specjalista od jaszczurek?

- Uhm. I wiesz co? Myślę, że on te nadzieje spełni. Uwielbia szkołę i wszystko go ciekawi. Teraz chce zostać entomologiem.

- Naprawdę?

- Aha. Od kiedy przysłałeś mu chrząszcze dla Annabel i opowiedziałam mu, co robisz.

Gere pocałował ją w czubek głowy.

- Musisz go przyprowadzić do instytutu któregoś dnia, żeby sobie wszystko obejrzał.

- Będzie szczęśliwy - powiedziała Shelley, tuląc się znów do niego. - Ja też.

Leżała w milczeniu i Gere pomyślał, że może zasnęła, ona jednak westchnęła cicho i wyszeptwała:

- Dzisiejsza noc była po prostu jak z marzeń.

Po oddechu poznał, kiedy zmorzył ją sen. Pogłaskał ją po włosach, myśląc, że chciałyby znaleźć jakiś czarodziejski sposób zatrzymania tej chwili na zawsze.

Spojrzał na zegarek, było wpół do szóstej. Leżał spokojnie do szóstej z otwartymi szeroko oczami, po czym wysunął delikatnie ramię spod głowy Shelley i poszedł na palcach do łazienki, zbierając po drodze ubranie.

Wziął prysznic i ubrał się. Nie mając żelu ani szczotki zaleconych mu przez fryzjera, mógł tylko rozczesać włosy grzebieniem. Kilka tygodni temu nie zaszczyciłby swego odbicia w lustrze nawet jednym spojrzeniem, dziś jednak przyglądał mu się krytycznie, począwszy od mokrych włosów, kończąc na zmiętej koszuli i spodniach. Kochanek z marzeń!

Łazienka nie była mała, ale pełna rozmaitych drobiazgów Shelley: mydeł, kpsmetyków, których używała, by podkreślić swą urodę. Ściany udawały się napierać na niego, gdy badał wzrokiem swoje odbicie. Minionej nocy Shelley kochała się z pełnym wigorem, zmysłowym i czułym mężczyzną. Teraz Gere Booth chętnie wyślizgnąłby się z jej mieszkania, nie budząc właścicielki, aby nie odkryła, że ten atrakcyjny mężczyzna w rzeczywistości jest żabą.

Ukląkł obok łóżka, obudził ją lekkim pocałunkiem w czoło. Jej nieświadomie zmysłowy pomruk podrażnił jego napięte nerwy.

- Nie jesteś już w łóżku - zauważyła na wpół przytomna. - Która to godzina?

- Trochę po szóstej...

- Szóstej?

- Muszę wracać do domu, Shelley. Psy...

- Och. - Wsparła się na łokciu.

- Są w patio. Von Frisch będzie siedzieć spokojnie, ale Wigglesworth może przesadzić ogrodzenie, jeśli długo jest sam.

Opadła ze znużeniem na poduszki.

- Może spotkamy się później? - spytał Gere, całując ją. - Na kolacji?

- Jasne. Ale bez szaleństw. Rano czeka mnie sortowanie poczty.

- Zadzwoń później. - Gere pocałował ją po raz ostatni w czubek nosa.

Znajdował się już w połowie drogi do drzwi sypialni, gdy zawołała:

- Gere?

Uniósł pytająco brwi.

- Nie chcesz przypadkiem numeru mojego telefonu?

Wymienił go cyfra po cyfrze i roześmiał się na widok jej zdziwienia.

- Zapamiętałem go przy okazji.

- Nikt nie powinien być taki bystry przed siódmą rano - powiedziała z wyrzutem, ukrywając twarz w poduszce.

Gere wybuchnął śmiechem i śmiał się przez cały czas, idąc do drzwi frontowych.

Gere czekał na nią przy skrzynce na listy, podobnie jak w poniedziałek i we wtorek.

Shelley uśmiechnęła się. Zawsze na posterunku, doktor Garrick Geniusz Seksu Booth. A teraz weź mnie w ramiona, pocałuj jak maniak seksualny i powiedz, że nie możesz czekać do weekendu, by się ze mną kochać, instruowała go w myślach.

Oczywiście, musi to wyjść od niego. Nie mogłaby powiedzieć mu, jak bardzo pragnie znaleźć się w jego objęciach. Jej kobieca duma ucierpiała, gdy zbyt łatwo zgodził się na jej propozycję, żeby spotykali się podczas weekendów ze względu na rozkład jej pracy. Nie, nie da mu tej satysfakcji, nie zaproponuje, żeby odłożyli na bok rozsądek i ulegli namiętności. Nie ma mowy.

Oczywiście na jego prośbę o rozmowę chętnie przystała...

Pocałował ją, gdy tylko wysiadła z dżipa, ona zaś radośnie odwzajemniła pocałunek. Czuła, że nie ma ochoty wypuścić jej z ramion.

- Dzień dobry, doktorze Booth - powiedziała z udawaną afektacją: - Jak się miewają pańskie owady?

Uderzyła ją jego niespodziewana powaga.

- Świetnie. - Słowa przeczyły jego smutnej minie. - Właściwie...

Shelley przygotowała się na złe wiadomości.

- Muszę ci wyjaśnić... - mówił dalej, z trudem dobierając słowa.

- Tak? - ponagliła go Shelley, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie, choć czuła się, jak gdyby ktoś podciął jej nogi. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała.

- To okres godowy nocnych motyli - powiedział.

I co z tego? - pomyślała, co to ma wspólnego ze mną?

- Shelley, wyhodowałem całą grupę ciem na specjalnej diecie w stadium gąsienicy. Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o wpływie odżywiania na wydzielanie feromonów i że samice dobierają sobie partnerów, którzy byliby zdolni zapewnić przeżycie potomstwu.

- O, tak, oczywiście, pamiętam. - Kiedyś, gdy o tym mówił, wyglądało to na grę wstępną, w tej chwili na pożegnalny pocałunek.

- Chodzi o to, że okres godowy trwa dość krótko i muszę dopuścić samce do samic, w chwili gdy są... chętne.

Serce Shelley znowu stopniało jak wosk, gdy zobaczyła rumieniec na jego twarzy.

- A kiedy małe panienki ćmy są chętne? - spytała żartobliwie.

- Wieczorami. Zaczyna się to o zmierzchu. Zmierzam do tego, że, niestety, nie biorą wolnych weekendów, co oznacza, że i ja nie będę ich miał. A przynajmniej najbliższego.

- Och - westchnęła Shelley, ukrywając zawód. Jeśli zamierza związać się z naukowcem, będzie musiała znaleźć zrozumienie dla jego pracy.

To prawda, że w jego badaniach duże znaczenie ma, by utrafić we właściwy okres, ale tak jak ćmy mają swoją szczególną porę roku, pni na spotkania mieli szczególną porę tygodnia.

Czując, że serce się w niej ściska, odrzuciła dumę i spytała:

- Może wobec tego zobaczymy się w ciągu dnia? Kevin ma zabawę szkolną w sobotę. Nie wybrałyś się z nami?

- Nie sędzę.

- Kevin bardzo chciałby cię poznać. Obiecałam popracować trochę w bufecie, ale to nie potrwa długo. Będzie wesoło.

- To nie... Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia w sobotnie popołudnie. Ale... o której zaczyna się zabawa? Może przyprowadziłabyś Kevina rano, żeby obejrzał instytut.

Poranna wycieczka do instytutu ze smarkatym braciszkiem nie wydawała się Shelley uczciwym zadóścuczynieniem za beztroską zabawę, ale zacisnąwszy zęby, spróbowała zapanować nad rozczarowaniem i rzekła, uśmiechając się z przymusem:

- Jestem pewna, że Kevin bardzo się ucieszy. Jeśli, oczywiście, nie będzie to dla ciebie kłopotliwe.

- Nie będzie. Po prostu... nie mam doświadczenia z dziećmi. Nie chciałbym zniechęcić przyszłego obiecującego naukowca.

- Nie ma obawy - zapewniła go Shelley. - Wystarczy, że pokażesz mu żaby i kilka pełzających stworzeń, a będziesz miał wielbiciela na całe życie. - Tak jak omotałeś już całkiem jego siostrę, pomyślała.

Zapadło długie niezręczne milczenie. Gere wpatrywał się z przesadnym zainteresowaniem w czubki zniszczonych tenisówek.

- Nie jesteś... zdenerwowana, prawdą? - spytał, nie podnosząc oczu. - Że muszę pracować podczas tego weekendu?

- Nie bądź śmieszny! - odpowiedziała Shelley, wciąż usiłując zdobyć się na wyrozumiałość. - Przecież nie możesz poprosić ciem, żeby zmieniły swój rozkład.

- Nie mogę - przytaknął skwapliwie.

- No cóż - powiedziała Shelley, czując, że grozi im kolejna chwila nieznośnego milczenia.

- Rozumiem - rzekł Gere, całując ją krótko na pożegnanie - masz jeszcze pocztę do rozwiezienia.

- A ty ćmy do obserwowania.

Może gdyby miała skrzydełka i wydzielała odpowiednie zapachowe substancje wabiące, znalazłby czas, by przyglądać jej się podczas weekendów.

- Masz oprowadzić małego chłopca po instytucie i stanowi tę dla ciebie taki problem? - zdumiała się Kelsey.

- Kompletnie nie znam się na dzieciach.

- Nie znoszę być zasadnicza, ale czy nie wydaje ci się, braciszku, że dzieci to też ludzie, tylko jeszcze nie dorośli?

- Ale to brat Shelley - powiedział Gere.
- Nie wiedziałam, że jest przedstawicielem mutantów.
- Bardzo zabawne, Kelsey.
- Posłuchaj, Gere. Ten dzieciak ma ulubioną jaszczurkę i uważa, że badanie owadów jest czymś fantastycznym. Wydaje mi się bardzo typowym chłopcem.
- Ale co mam mu powiedzieć?
- Po prostu z nim rozmawiaj. Pokaż mu coś interesującego i odpowiadaj na jego pytania. Unikaj tylko ściśle naukowych terminów. Pójdzie ci jak z płatką, zobaczysz. Ja się stykam z dziećmi na co dzień i jakoś żyję.
- Jak tam twoje zajęcia z wychowania seksualnego? Kelsey westchnęła ze znużeniem.
- Właśnie je przygotowuję. Prawdę mówiąc, tym właśnie się zajmowałam, gdy zadzwoniłeś.
- Przygotowujesz się do lekcji? W piątkowe popołudnie? - Gere był autentycznie zdumiony.
- Oho! Mój brat znalazł sobie dziewczynę i nagle okazuje się, że to ja sięję pietruszkę, jeśli nie umawiam się na zabawę w każdy weekend.
- Nie miałem na myśli...
- W porządku. Z pewnością znam przyjemniejsze sposoby spędzania czasu, ale nie miałam, na dziś żadnych planów, a pracą czekała. Ale dość na ten temat. Wróćmy do Shelley. Skoro przyprowadza do ciebie brata, to znaczy, że randka wam się udała.
- To mało powiedziane. Było...
- Nie kończ, proszę. Słyszę w tle świst strzały Amora.
- Shelley nie poluje na moje pieniądze - rzekł wyzywająco.
- O co więc chodzi? - spytała Kelsey po chwili milczenia.

- Ona myśli, że jestem seksownym, modnie ubranym supermanem.

- To źle?

- Kelsey, przecież wiesz dobrze, że taki nie jestem! Czy sądzisz, że ona tego prędzej czy później nie zauważy?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała długa cisza.

- Gere - odezwała się w końcu Kelsey - jeśli twoja dziewczyna cię nie lubi dla ciebie samego, lecz dla twoich ciuchów, to i tak przestaniesz się z nią widywać.

- Ale ja nie chcę przestać się z nią widywać - powiedział Gere. - Pragnę, żeby mnie...

Pokochała, dokończył w myśli. Następnie, ponieważ musiał znaleźć kozła ofiarnego, odegrał się na Kelsey:

- Jeśli naprawdę tak uważasz, to po co kazałaś mi się ostrzec i kupić modne ciuchy? Dlaczego przykładałaś taką wagę do moich cholernych okularów?

- Po to, żebyś miał więcej pewności siebie i zdobył to, czego pragniesz. I zadziało! Tylko że teraz boisz się, że pokochała potwora stworzonego przez Frankenstein, zamiast samego Frankenstein.

- Przynajmniej miałem takie buty jak on.

- Naprawdę, kupiłeś je?!

- Tak. I ani razu nie nastąpiłem jej na palce!

- Jeśli ta dziewczyna cię nie kocha, jest stuknięta - powiedziała Kelsey.

- Trochę stuknięta jest na pewno. Posłuchaj, powiedz mi jako trenerka, czy kiedykolwiek kazałaś twoim graczom, żeby wyobrażali sobie, że zwyciężają?

- Masz na myśli wizualizację?

- Właśnie.

- Oczywiście. Czasami czyni to cuda.
- Jesteś tak samo zwariowana jak ona.
- Widocznie to cecha kobieca.
- Zdecydowanie - zgodził się Gere, nie słysząc ironii w jej słowach.

Jak się można było spodziewać, Kevin przyjął z entuzjazmem propozycję zwiedzenia instytutu.

- Czy ten lalusz naprawdę ma tyle owadów? - spytał Kevin, sadowiac się obok Shelley w dziupie i zapinając pas.

- Ten lalusz ma dwa doktoraty, Kevinie - odpowiedziała Shelley. - Nie zapomnij zwracać się do niego per „panie doktorze”.

- Doktor Robak! - zawołał Kevin, śmiejąc się z oburzenia Shelley, po czym spytał nieoczekiwanie: - Boisz się go, czy co?

- Boję się? Skąd ci przyszedł do głowy taki idiotyczny pomysł?

- Wyglądasz na O-Z: okropnie zdenerwowaną. - Zaczął ją przedrzeźniać: - Masz zachowywać się grzecznie. Masz go tytułować doktorem.

- Smarkacz! - skarciła go Shelley, - O-Z, też coś! Chciałam tylko, żebyś docenił, jakie spotkało cię wyróżnienie, że będziesz oprowadzany po instytucie badawczym. Dobre maniere nigdy...

- ...nie wychodzą z mody - dokończył z rozdrażnieniem Kevin. - Wiem. Nie martw się. Będę D-R-P.

- Nie sądzę, żebyś miał na myśli doktora psychologii? - powiedziała Shelley, wywołując u Kevina atak śmiechu.

- Nie. D-R-P oznacza „do rany przyłóż” - wyjaśnił, uspokoiwszy się wreszcie.

- Hmm, człowiek uczy się przez całe życie.

Shelley zjechała z głównej szosy na krętą polną drogę. Gere zostawił dla nich otwartą bramę, wjechała więc i, zaparkowała na podjeździe. Dalmatyńczyki przybiegły z podwórka na tyłach domu, witając ich radośnie ku ucieście Kevina, który ukląkł, by je popieścić i pozwolił się lizać po twarzy.

- Dalmatyńczyki! Zupełnie jak na filmie! Jak się wabią?

- Wigglesworth i von Frisch - powiedziała Shelley, uśmiechając się do nadchodzącego Gere'a.

- Dziwne imiona - zauważył Kevin. - Który jest który?

- Spytaj doktora Bootha.

Kevin, który dopiero w tej chwili zobaczył Gere'a, wyprostował się i uściśnął mu dłoń jak dorosły mężczyzna. Shelley popatrzyła na niego z siostrzaną dumą.

Porozmawiali przez chwilę o psach, po czym przeszli na podwórko znajdujące się na tyłach domu. Gere przyglądał się chłopcu ukradkiem. Ciekawo, z otwartą głową, przypominał mu jego samego w tym wieku. Poczł nagły przypływ czułości dla dziecka.

- Rozumiem, że chciałbyś się dowiedzieć wszystkiego o pracy entomologa - powiedział.

- Tak, proszę pana - rzekł Kevin i natychmiast się poprawił: - Doktorze Booth.

- To wielki plus tej pracy - powiedział Gere, pokazując ręką w kierunku lasu. - To moje laboratorium terenowe. Chcesz je zwiedzić?

- Jasne - odrzekł ochoczo Kevin.

Shelley, która celowo zwolniła, pozwalając, by Gere i Kevin szli przed nią, uśmiechnęła się z zadowoleniem. I on się martwił, że nie znajdzie wspólnego języka z dzieckiem!

Przyglądała im się z tyłu i słuchała Gere'a, pokazującego Kevinowi owady w różnych stadiach rozwoju. Obserwowali mrówki na pniu drzewa, chrząszcze, larwy pod gnijącą korą, a Gere opowiadał o nich fascynujące rzeczy.

- Jak ci się podoba moje laboratorium na świeżym powietrzu? - spytał w końcu.

- Fantastyczne - odrzekł Kevin.

- Może teraz wejdziemy do środka? Jestem w tej chwili w trakcie kilku eksperymentów, które mogą cię zainteresować.

- Bardzo chętnie.

- Prowadzę obserwację niektórych ciem, które wychodzą właśnie z kokonów.

- Chcę zobaczyć żaby.

- Proszę bardzo - zgodził się Gere i uśmiechnął się do Shelley nad głową chłopca. Shelley skinęła dyskretnie głową na znak, że wszystko idzie wspaniale.

Żaby wywołały oczywiście entuzjazm, następnie Kevin spędził sporo czasu, czytając zapisy robione codziennie przez Gere'a.

- Entomolodzy muszą dużo pisać, prawda? - rzekł w końcu, kiwając ponuro głową.

- Prowadzenie skrupulatnych zapisów ma zasadnicze znaczenie we wszystkich rodzajach prac badawczych - wyjaśnił Gere, po czym dodał z porozumiewawczym mrugnięciem: - Ja też niezbyt to lubię. Wolę mieć do czynienia z owadami.

Następny punkt programu zwiedzania stanowiły ćmy.

- Hoduję je tutaj od stadium gąsienicy, ale karmione są różnym pokarmem.

- To te, które zamierzasz wypuścić w nocy? - spytała Shelley, spoglądając na Gere'a znacząco.

- O zmierzchu - sprostował Gere. - Oczywiście muszę je obserwować w jakiś czas później.

Shelley obrzuciła niechętnym wzrokiem niewinnie wyglądające ćmy, podobnie jak wiele kobiet krzywi się na widok kijów do golfa. Wiedziała, że zachowuje się nierozsądnie. Nierozsądnie, samolubnie, zaborczo, dziecinnie. Nie mogła jednak otrząsnąć się z wrażenia, że obserwowanie nocnych motyli stanowiło w równym stopniu wymówkę, jak i rzeczywisty powód, by się z nią nie spotkać.

Nazwijmy to instynktem, kobiecą intuicją czy kosmiczną wibracją, ale wiedziała, kiedy mężczyzna celowo jej unika. Nie miała tylko zielonego pojęcia z jakiego powodu.

Za każdym razem, gdy na nią patrzył, w jego oczach zapalał się płomień pożądania. Nawet soczewki jego okularów w grubych oprawkach nie były w stanie tego ukryć. Niezależnie od tego, co podpowiadał mu błyskotliwy umysł, jego ciało pragnęło jej szaleńczo.

Chyba że widziała to, co tak bardzo chciała zobaczyć.

Chyba że wierzyła w to, w co tak bardzo chciała uwierzyć.

Chyba że fakt, iż zakochała się nieprzytomnie, po uszy w niesamowitym doktorze Hunku, uczynił ją ślepą na fakty.

Przerwała Kevinowi wylewne podziękowania i zaproponowała, żeby pożegnał się z dahńatyńczykami, a ona tymczasem zamieni parę słów z doktorem. Zanim drzwi zdążyły się zamknąć za bratem, znalazła się w ramionach Gere'a. Westchnienie ulgi, które wyrwało mu się, gdy opasał ją ramionami, tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że jeśli nawet z jakiegoś powodu jej unika, nie przestał jej pragnąć. \

- Jesteś pewien, że nie uda ci się pójść z nami na zabawę? - spytała, gdy odprowadził ją oraz Kevina do dżipa.

- Będzie bombowo - zachęcał go Kevin.

- Z pewnością - rzekł Gere ponuro - ale mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia po południu. - Shelley ucieszyła się, że odmowa kosztowała go dużo, wyraźnie czuł się bardzo niezręcznie.

- Traci pan świetną zabawę, doktorze Booth - powiedziała z pozorną obojętnością.

- Nadrobimy to innym razem - zawołał Gere w ślad za odjeżdżającym dżipem i roześmiał się, widząc uradowaną minę Keyina.

Gdy dżip skręcił z podjazdu na polną drogę, kierując się ku szosie, ogarnęła go czarna melancholia. Dzisiejszej nocy nie będzie tulił Shelley w ramionach i może za to mieć pretensję wyłącznie do siebie.

ROZDZIAŁ

10

Shelley spędziła dwie godziny w bufecie, przybierając kawałki ciasta bitą śmietaną i zastanawiając się z rozpaczą, co było przyczyną, że doktor Garnek Booth ni stąd ni zowąd zamroził ich wzajemne stosunki.

Wiadomo, zamierzał uratować świat dzięki pierwiastkom chemicznym występującym w stanie naturalnym i w tym celu musiał pomóc samcom ciem w połączeniu się z samicami. Nie mógł się oddalić z miejsca obserwacji, ale przecież pozostawało tyle godzin, które mógł spędzić z osobniczką płci żeńskiej reprezentującą ten sam gatunek co on.

Nie mogła się mylić, jego poranny pocałunek mówił o tym, że jej pragnie. Czemu więc nie chce spędzić z nią tego weekendu? Może zwyczajnie mu nie zależy na ich znajomości? A może nie jest jedyną kobietą, która zagięła parol na doktora?

Nie chciała nawet myśleć o takiej możliwości. Była zbyt zadurzona, by pogodzić się z faktem, że ich związek jest dla niego mniej ważny niż dla niej. Poza tym pomyślała, że doktor Garrick „Kochałem-się-z-ko-

bieta-tylko-jeden-raz-w-życiu" Booth prowadzi grę z dwiema kobietami naraz, był po prostu śmieszny.

Chyba że jego pocałunki kłamały.

Chyba że całkowicie zawiódł ją instynkt.

Chyba że jest najłatwowiejszą kobietą pod słońcem, zakochaną w jednym z najbardziej roztargnionych uczonych łajdaków.

Właściwie, co ona o nim wie? Nigdy nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie to, że dostawał listy adresowane do doktora Hunka.

Nie będzie czekać! Weźmie byka za rogi i dowie się dokładnie, na czym stoi!

Prysznic, szampon, świeże ciuszki i pół godziny przed lustrem, po czym wskoczyła w dziapa i znalazła się przed domem Gere'a. Ponieważ się jej nie spodziewał, brama była zamknięta na kłódkę. Wdrapała się przez ogrodzenie, witana radośnie przez oba psy, które wyczuły smakołyki przyniesione przez nią w torbie.

Mogła zatrabzić i poczekać, aż jej otworzy, ale wolała go zaskoczyć. Ruszyła podjazdem, myśląc, jak bardzo pragnie zastać go w laboratorium na świeżym powietrzu pochłoniętego rolą swatki nocnych motyli, a nie z inną kobietą. Uświadomiła to sobie z całą jasnością, gdy rzeczywiście go tam zaskoczyła, nie zdającego sobie zresztą sprawy z jej obecności.

Miał na sobie stare džinsy i wytartą koszulkę z nadrukiem Harvardu, tenisówki i kask górniczy z lampą. Podążyła cicho za smugą światła w stronę kępy krzewów, które Gere miał zamiar obserwować, i stojąc bez ruchu patrzyła, jak otwiera specjalną klatkę i wypuszcza na wolność samca ćmy.

Wstrzymując oddech, przyglądała się, jak samiec zawisa na chwilę w powietrzu, „bierze namiar" i po-

frunąwszy w kierunku krzewów, zaczyna krążyć nad jednym z nich. Shelley wypatrzyła na nim drugą ćmę siedzącą na listku. Samica, zauważywszy samca, stała się niespokojna, zaczęła trzepotać skrzydełkami i nawet dla niedoświadczonego widza było jasne, że prowadzone są jakieś negocjacje. Nagle samica skapitulowała i nastąpiło połączenie.

Shelley była zbyt przejęta, by się poruszyć. Wciąż nie zdając sobie sprawy z jej obecności, Gere zbliżył się do krzewu i wzięwszy delikatnie ćmy do ręki, zamierzał włożyć je do jednej z osłoniętych klatek. Przy tym manewrze promień latarki prześlizgnął się po postaci Shelley. Gere zamarł na chwilę, po czym skierował na nią ponownie światło, jak gdyby sprawdzając, czy go wzrok nie myli.

- Mogłam być szaleńcem z hakiem - powiedziała, krzywiąc się.

- Shelley?

Oślepiąca, zamrugła powiekami.

- Przepraszam - rzekł, odwracając głowę, by skierować snop światła w bok i postąpił krok w jej stronę. Przypomniał sobie o ćmach, cofnął się i umieścił je ostrożnie w klatce, dopiero potem wrócił do dziewczyny.

- Zamknij oczy - powiedział, kładąc jej dłonie na ramionach.

- Słucham?

- Światło... Nie mogę trzymać cały czas głowy odwróconej w bok, bo mnie kurcz złapie.

Shelley posłuchała go. Słyszała szelest kroków Gere'a, poczuła na twarzy promień światła oraz jego wzrok, ciepło emanujące z jego ciała, gdy stanął przed nią.

\ - Pójdę sobie, jeśli ci przeszkadzam - powiedziała.

Minęło niewybaczalnie dużo czasu, zanim rzekł z głębokim westchnieniem:

- Boże, jak ty jesteś piękna!

Przesunął delikatnie palcami po jej policzkach, wargach, ujął jej brodę, odchylając głowę do tyłu. Shelley poczuła, że jej ciało drży, z trudem próbowała zapanować nad sobą, gdy ich biodra zetknęły się lekko.

Nagle przywarli do siebie, całując się jak szaleńcy. Wspomnienie intymnych chwil wzmogło ich namiętność. Shelley wędrowała wargami po jego policzku, szyi, skroni.

- Czy to oznacza, że cieszysz się z mojego przyjścia?

- Tak bardzo, że jeszcze chwila, a będziesz miała na plecach odciski kamyków i gałązek.

Przytuliła policzek do jego piersi, wsłuchując się w bicie serca.

- Chcesz, żebym sobie poszła?

- Nie w tym stuleciu.

- Czy mogę ci pomóc w pracy?

- Możesz się przyglądać. Prawie skończyłem.

- Mam nadzieję, że zapach moich perfum w niczym nie przeszkodzi?

- Najwyżej mnie zdekoncentruje - powiedział, uśmiechając się. - Ćmy są zbyt zajęte sobą, żeby zwracać na nas uwagę.

- Te, które przed chwilą schwytałeś, wcale nie miały zamiaru uciekać.

- Podczas kopulacji popadają w stan odrętwienia. Prawdopodobnie nie zauważyły nawet mojej obecności.

- Chcesz przez to powiedzieć, że wciąż były połączone?

- I będą jeszcze przez kilka godzin.

- Godzin?
- Uhm.
- Jakie to musi być wspaniałe dla nich.

Podtekst jej komentarza sprawił, że Gere natychmiast przypomniał sobie w dojmujący sposób słodczy zblizenia z Shelley i docenił ewentualność spędzenia z nią w ten sposób kilku godzin.

- Jeśli cię znów pocałuję, nie skończę pracy i jednak pozostawię ci wzorek z liści i kamieni na plecach.

- Obiecanki cacanki - drażniła się z nim Shelley.

- Następnym razem weźmiemy ze sobą koc i butelkę wina.

- Brzmi to dla mnie jak obietnica uwiedzenia w entomologicznym stylu - uśmiechnęła się Shelley.

- Chyba słyszałem, jak paru kolegów rozmawiało o interesujących spotkaniach... w warunkach terenowych - wyznał Gere.

- Opowiedz mi więc o spotkaniach twoich ciem.

- Shelley, śmiejąc się, ujęła go pod ramię.

Gere wypuścił następnego samca i wyjaśniał, co się dzieje.

- Widzisz, jakie aktywne stają się samice? Właśnie wydzielają feromony... Tak. Teraz obserwuj jego. Widzisz, że zainteresował się tylko jedną samicą?

Shelley skinęła głową.

- Wyraźnie podoba mu się jej zapach. Teraz on sprawdza, czy odpowiada jej jego „oferta”.

- A w jaki sposób ona daje mu do zrozumienia, że tak właśnie jest?

- Wygina odwłok.

Shelley przyglądała mu się podejrzliwie, czy nie stroi sobie z niej żartów, ale Gere miał całkiem poważną minę.

- Czyli wygląda to w ten sposób: „Hej, mała, czy masz ochotę zrobić to ze mną?“, na co pada zwężłe „tak“ lub „nie“?

- Ćmy są znacznie bardziej bezpośrednie od ludzi - uśmiechnął się Gere. - Prawdopodobnie dlatego że reprodukcja stanowi sens ich życia. Nie mają czasu na gry.

- Och, Gere, spójrz! - Ćmy połączyły się i wzbiły się w powietrze nad krzewami.

Gere podszedł do złączonych owadów i włożył je ostrożnie do klatki, wypuszczając jednocześnie dwa kolejne samce, które prawie natychmiast znalazły partnerki.

- Gdybym cieszył się takim powodzeniem w barach dla samotnych, być może częściej bym je odwiedzał - zauważył Gere, pakując swój dobytek, wyraźnie zadowolony z wyników dzisiejszej pracy.

- Z pewnością dobrze sobie radzisz - mruknęła Shelley pod nosem, nie spodziewając się, że Gere usłyszy jej słowa.

- Shelley, czy nic nie rozumiesz? - spytał, przerywając swe zajęcie. - Nie jestem takim mężczyzną, za jakiego mnie uważasz.

- Nie...

- Nigdy nie byłem w barze dla samotnych - powiedział, - Chyba żeby policzyć kawalerskie przyjęcie Heatha w prywatnej sali miejscowego klubu.

Serce Shelley znów zaczęło wyprawiać dziwne harce. Tak bardzo pragnęła wyznać mu, że go kocha! Zacisnęła zęby, by nie ulec pokusie. Wystawiła już na próbę swoją dumę, przychodząc do niego bez zaproszenia. Nie chciała prowokować swego szczęścia. Była na tyle staroświecka, że wolała usłyszeć te słowa najpierw od niego.

- Co tam masz? - spytał, zauważywszy torbę Shelley, dopiero gdy odłożył własne rzeczy w laboratorium.

- Łupy z zabawy. Było mi przykro, że musisz tu siedzieć, gdy ja się bawię, pomyślałam więc, że przynajmniej coś ci przyniosę. Mogę to włożyć do lodówki?

- Niespodzianka?

- Można tak to nazwać.

- Za tymi drzwiami, po lewej stronie - powiedział Gere, wskazując jej rozsuwane drzwi prowadzące z patio do głównego budynku.

Gdy wróciła z kuchni, Gere właśnie prznosił delikatnie ćmy do dużego pojemnika o siatkowych ścianach.

- I co teraz? - spytała.

- Zostawimy je tutaj. Gdy samice złożą jajeczka, wypuszczę dorosłe osobniki. Potem zobaczymy, jak się ma ten wylęg w porównaniu do grupy kontrolnej.

- Grupy kontrolnej?

- Potomstwa samców wyhodowanych na standardowej diecie.

- Chcesz powiedzieć, że te samce...

- Były na specjalnej diecie, która zawiera składniki trujące dla większości innych owadów. Zakładam, że składniki toksyczne są wyczuwalne w męskich feromonach i że samica wybiera konkretnego samca, ponieważ wie, że zapewni większą szansę przeżycia jej potomstwu.

Śluchając, z jakim zaangażowaniem opowiada o swojej pracy, Shelley pogodziła się z przyszłością.

- Skończyłeś już na dzisiaj?

- Z ćmami tak - odpowiedział.

- Co powiedziałbyś na wspólną zabawę? - wyszeptała, chwytając go lekko zębami za ucho.

- Poleciałbym na Księżyc, gdybyś mnie poprosiła - odpowiedział. - Co mi przypomina...

- Przypomina ci o czym? - spytała po dłuższej chwili, gdy wypuścił ją wreszcie z objęć.

- Że też mam dla ciebie niespodziankę. Chodź ze mną. - Poprowadził ją przez kuchnię do drugich drzwi prowadzących do patio. - Zamknij oczy.

- Czy traktujesz tak wszystkie kobiety, czy tylko mnie?

- Możesz mi zaufać. Nie wmanewruję cię na ścianę.

Przeszli jeszcze kilka kroków, po czym Gere zatrzymał ją, kładąc jej dłonie na ramionach.

- Możesz już otworzyć oczy.

- Ależ to hamak! - wykrzyknęła Shelley.

- Dwuosobowy. Najbardziej zbliżony do siatki z placu zabaw. Będziemy mieć nad sobą księżyc i gwiazdy, a nie przeszkodzi nam żaden policjant.

- Pozostaje jeszcze szalenciec z hakiem.

Gere pokręcił przecząco głową.

- W ogrodzie są psy, ostrzegają nas.

- Tak jak ostrzegły cię przede mną?

- Ciebie przecież znają. A propos, jak się tu dostałaś?

- Wdrapałam się przez płot.

- Czemu nie zatrąbiłaś?

- Nie chciałam ci przeszkadzać. Poza tym musiałam upewnić się, czy nie jesteś w towarzystwie jakiegoś długonogiego rudzielca. - Popchnęła lekko hamak, wprowadzając go w ruch. - Nie mogę uwierzyć, że kupiłeś hamak po prostu dla...

- Zaczynam odkrywać w sobie żyłkę rozpustnika - zażartował. - Miałem nadzieję, że mi w tym pomożesz.

Shelley rzuciła się na hamak i otworzyła szeroko ramiona.

- Z rozkoszą, doktorze.

Gere usiadł obok niej. Hamak uciekł spod niego i Gere wylądował na ziemi. Shelley przekręciła się na bok i wybuchnęła śmiechem.

- Mnie jest bardzo przyjemnie. A tobie?

Gere podniósł się, skrzywiony, masując bezwiednie stłuczony pośladek.

- Posuń się - nakazał gderliwym tonem. - Blżej brzegu.

- Żebym ja z kolei spadła?! - zaprotestowała.

- Nie bój się, nie spadniesz. Zrobimy to w sposób naukowy. Najpierw przytrzymam hamak ręką, a potem szybko się położę.

- Jeśli wyląduję na pupie, pokażę ci naukowe podejście! - odgrażała się Shelley.

- ^ Widzisz? To działa! - powiedział Gere, gdy już leżeli wyciągnięci obok siebie.

- Nie da się ukryć! - przyznała, gdy siła ciężkości popchnęła ich ku sobie, tak że ich ciała stykały się na całej długości. Głaszcząc policzek Gere'a, pocałowała go lekko i spytała: - Czy wspomniałeś coś o żyłce rozpusznika?

Przekręcił się, by mogła wesprzeć głowę na jego ramieniu.

- Robisz wszystko, by ją podsycać.

- Tak? A ja chciałam dać ci do powąchania mój przegub.

- Przegub?

Podsunęła mu rękę pod sam nos.

- Moje perfumy. Najbardziej skojarzyły mi się z feromonami. Podobają ci się?

- Mhm.

- Rozumiem, że oznacza to odpowiedź twierdzącą?

- Mhm.

- Mam nadzieję, że mi się zrewanżujesz?

Oszołomiony, podniecony, Gere przypomniał sobie wodę kolonską, którą dostał od siostry i której nie używał od zeszłej soboty.

- Nie używałem niczego. Nie planowałem...

Shelley wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- Sądzę, że taki genialny człowiek jak ty z pewnością jest w stanie wymyślić inny sposób, żeby uczynić kobietę... chętną.

Gere przestał myśleć o czymkolwiek. Posłuchał swego instynktu i przytuliwszy ją mocniej do siebie, obsypał pocałunkami. Po pewnym czasie Shelley podniosła głowę i spytała bez tchu:

- Przypomnij mi, co robi samica ćmy, gdy chce dać do zrozumienia samcowi, że jest zainteresowana?

- Wygina odwłok? - spytał, jak gdyby nie był całkiem pewny.

- W ten sposób?

Gere stracił oddech, gdy przylgnęła do niego z całej siły biodrami. Jego ciało zareagowało spontanicznie, odpowiedziało namiętnie na ten zew, zapragnął posiadać ją natychmiast. Shelley dobrze o tym wiedziała.

- Gdybyś był robaczkiem świętojańskim, świeciłbyś - zażartowała.

Chwyił ją dłońmi za pośladki i przyciągnąwszy do siebie jeszcze bliżej, pozwolił, by owładnęło nimi płomienne uniesienie. Shelley reagowała z namiętnością, dla której określenie „chętna” było zupełnie nieadekwatne/Kochała się z nim czule, a jednocześnie żarliwie, zrywając z nich ubrania, udowadniając pocałunkami, dotknięciami, że pragnie go tak samo jak on jej. Jej skóra była wilgotna i gorąca, ręce zaborcze i pełne inwencji.

Hamak stał się kołyską ich miłości, huśtającą się przy każdym poruszeniu i przyciskającą ich ciała jeszcze mocniej do siebie. Światło księżyca sączyło się przez szklany dach, zalewając patio srebrzystym blaskiem.

Później leżeli obok siebie zbyt znużeni, by się poruszyć, mówić, nawet myśleć. Wreszcie Shelley wyszeptała:

- Gere?
- Hmm?
- Czy to było trzęsienie ziemi?
- Przeczytamy jutro w gazetach.

Powiedz mi, że mnie kochasz, błagała go w myślach Shelley, czuję to, ale chciałabym usłyszeć, teraz, tutaj.

Gere nie myślał o niczym, a właściwie starał się nie myśleć. Intensywność przeżyć wyczerpała go do tego stopnia, że utracił zdolność jasnego rozumowania. Bał się odezwać, żeby nie powiedzieć za dużo. Albo za mało. Nie przywykł do takiej bezradności wobec uczuć, do utraty panowania nad sobą. W tej chwili marzył wyłącznie o tym, by się pozbierać, uporządkować myśli, uspokoić serce i duszę.

Czy ona potrafi czytać w moich myślach? - przemknęło mu przez głowę, gdy Shelley uniosła się nagle na łokciu i spytała:

- Mogę pożyczyć twoją koszulę? - Gdy obrzucił ją pytającym spojrzeniem, dodała: - Jeśli znak Harvar-du jest dla ciebie rzeczą świętą, zrozumiem. Jest po prostu dłuższa od mojej, a ja chętnie skorzystałabym z łazienki.

- Proszę bardzo - odpowiedział wreszcie.

Shelley zsunęła się z hamaka i włożyła koszulę, która ułożyła się miękko na krągłościach jej ciała.

Znak Harvardu znalazł się dokładnie na pełnych piersiach.

- To zaszczyt dla starej szkoły - uśmiechnął się Gere.

Shelley wygładziła przód koszuli i zajrzała mu w oczy.

- To tak, jak gdybyś mnie dotykał.

Gere odwrócił wzrok.

- Łazienka jest na końcu korytarza.

Zaczekał, aż usłyszy trzaśnięcie drzwi, po czym poszedł do drugiej łazienki w głównym budynku. Pod prysznicem odzyskał równowagę ducha, przynajmniej na tyle, by po włożeniu świeżego ubrania nie zapomnieć o spryskaniu się wodą kolońską, którą dostał od Kelsey. Poprawił też pościel na nie zasłanym dotąd łóżku.

Wszedł, pogwizdując, do salonu i nagle został kompletnie zaskoczony przez wielkiego skrzeczącego ptaka.

- Mam cię! - wykrzyknęła Shelley, gdy odskoczył, zasłaniając instynktownie twarz rękami i klnąc jak szewc.

Powtórzył któryś raz z rzędu swoje ulubione przekleństwo, gdy nagle zdał sobie sprawę, że „ptak”, przed którym się opędział, to gwizdek z pękiem piór na końcu.

- Witaj na zabawie! - zawołała, śmiejąc się. Chwycała go za rękę z taką radością, że nie mógłby się na nią gniewać, nawet gdyby chciał. - Chodź. Mam w torbie mnóstwo różnych rzeczy.

- Nie mogę wprost się doczekać - mruknął Gere, chętnie poddając się jej nieokiełznanej radości. Wrócili na hamak, siadając na nim po indiańsku, twarzami do siebie. Shelley wyciągała kolejno ze swej torby roz-

maite dziwaczne drobiazgi, zachowując na koniec coś, co jej zdaniem było najlepsze.

- Wata cukrowa?

Ośłupienie Gere'a wyraźnie ją uraziło.

- To najlepsza rzecz na każdej zabawie!

Ostrożnie zdjęła celofanowe opakowanie z różowej waty i zatopiła zęby w słodkim specjale.

- Kiedy jadłeś ostatni raz watę cukrową?

- Nawet nie pamiętam.

- To zbyt dawno. No, proszę, spróbuj. Ośłódź sobie życie.

Czekała, aż się zdecyduje, a następnie odgryzła kawałek waty w tej samej chwili, co Gere.

- Wiesz, co się podobno dzieje, gdy ludzie jedzą razem watę cukrową?

- Nie mam pojęcia.

- Przenoszą zarazki - roześmiała się szelmowsko.

- Smaczne, co?

- Zbyt słodkie! - skrzywił się Gere.

- Byłeś bardzo miły dla Kevina dzisiaj rano - powiedziała nagle Shelley w zamyśleniu. - Zrobiłeś na nim duże wrażenie.

- To bystry chłopiec.

- Opowiedział nauczycielce biologii o swojej wycieczce. Pytała, czy instytut nie organizuje wycieczek grupowych.

- Być może pomyślę o popularnych wykładach dla zainteresowanych.

- Dzisiaj... te ćmy... To było naprawdę fascynujące... sposób, w jaki się łączyły. Było w tym naturalne piękno. Myślę, że zaczynam rozumieć, co cię tak pociąga w tej pracy. - Oderwała następny kawałek waty, ale nie włożyła go do ust. - Ja mówię serio, a ty się ze mnie śmiejesz.

- Wcale nie z ciebie, tylko z waty. Wygląda jak pajęczyna.

- Ale ja jej nie produkuję.

- Gdybym był pajakiem, schwytałbym najtłustszego owada, żeby cię przywabić do siebie.

- Myślę, że zrobiliby to na mnie ogromne wrażenie. Coraz bardziej mnie to wszystko interesuje. Gdzie mogłabym chodzić na zajęcia o owadach?

- Na zajęcia?

- Tak.

Gere zastanawiał się przez chwilę.

- Musiałabyś skończyć czteroletnie studia. Dobry poziom mają na florydzkim uniwersytecie, ale ja nie chcę, żebyś tam pojechała.

- Dlaczego?

- Bo przeniosłabyś się do Gainesville, a ja tęskniłbym za tobą.

- Naprawdę? - spytała, uśmiechając się szeroko.

- Czy to cię dziwi?

- Niezupełnie. Ale kobiety lubią czasami słuchać takich rzeczy.

- Nie jestem w tym specjalnie dobry.

- Właśnie że radzisz sobie całkiem nieźle.

Przez pewien czas milczeli, po czym nagle Gere zapytał:

- Czemu tu jesteś, Shelley?

- Powiedziałam ci. Żal mi było całego... Och, do diabła! Czy to nie oczywiste, Gere? Jestem tutaj, ponieważ tęskniłam za tobą. Pragnęłam być z tobą. Czułam się zraniona, gdy powiedziałeś, że nie masz dla mnie czasu i musiałam się dowiedzieć... - Głos jej się załamał.

- Dowiedzieć się czego? - spytał Gere, niemal bojąc się odpowiedzi.

- Co jest przyczyną, że po ostatnim weekendzie nie mogłeś znaleźć dla nas czasu.

- Przecież ci wyjaśniłem. Ćmy...

- Gdybyś chciał być ze mną, znalazłbyś wyjście. I znaleźliśmy je dziś wieczorem. Mogłeś pójść z nami na zabawę.

- Musiałem kupić po południu hamak.

Musiał kupić hamak. Był to wystarczający powód, by doprowadzić dorosłą kobietę do płaczu. Shelley stłumiła szloch i zamrugała oczami, by ukryć piekące pod powiekami łzy.

Gere miał uczucie, że wszystko dzieje się na opak. Shelley wyglądała na taką bezbronną i dotkniętą. Skręcał się na myśl, że to może ponosić winę za jej smutny wyraz twarzy. Przełknął z trudem ślinę, modląc się, by potrafił ją pocieszyć. Dręczyło go nieprzyjemne poczucie winy, choć nie bardzo rozumiał, czym zawinił.

Broda jej drżała. Wysunęła ją mężnie do przodu i spytała:

- Powiedz mi jedną rzecz, Gere. Czy zamierzałeś mnie poprosić, żebym go z tobą wypróbowała?

Nawet gdyby dożył tysiąca lat, nigdy nie zrozumie kobiet.

- A jak sądzisz, po co go kupiłem?

- Po co go kupiłeś jest dla mnie rzeczą oczywistą. Pytanie brzmi, czy jest to hamak dla jednej kobiety?

Gere osłupiał ze zdumienia.

- Myślisz...

- A co mogłam pomyśleć, jeśli nagle nie miałeś dla mnie czasu?

- Źe się przeraziłem! - Gere nie miał zamiaru przyznawać się do tego, a tym bardziej wykrzyknąć swego wyznania jej i całemu światu.

- Mnie? - spytała Shelley z równym osłupieniem.
- Owszem, ciebie. Uczuć i pragnień, które we mnie wzbudziłaś. Spraw, o których zacząłem myśleć przez ciebie.

- To znaczy, Gere? - Przyglądała mu się badawczo.

- Przyszłości - powiedział. - Dzieci. Czy sądzisz, że nie widziałem wyrazu twojej twarzy, gdy Barbara oznajmiła, że spodziewa się dziecka? Albo nie słyszałem tęsknoty w twoim głosie, gdy opowiadałaś o swoim młodszym braciszku? Ty chcesz mieć dzieci, a ja nigdy o nich nawet nie myślałem.

- Myślałeś o tym, żeby mieć dzieci ze mną?

Tym razem wyglądało na to, że się naprawdę rozpłaczę. Gere nie miał pojęcia, co zrobi, gdyby się tak stało.

- Nie odpychaj mnie, Gere. Nie musimy się z niczym spieszyć.

- Odepchnąć? Ciebie? Czy sądzisz, że kiedykolwiek mógłbym lub chciałbym cię odepchnąć?

- Ale nie chciałeś się ze mną widzieć podczas weekendu.

- Myślisz, że nie chciałem z tobą być? Kochać się z tobą? - Ujął jej twarz w dłonie. - Tęskniłem za tobą już wtedy, gdy jechałem do domu w niedzielę nad ranem. Nie chciałem po prostu być z tobą, skoro nie jestem... - Z piersi wyrwało mu się ciężkie westchnienie. - Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz: chłodnym, modnie ubranym gogusiem, z którym wybrałaś się do parku rozrywki i z którym się kochałaś.

Shelley odskoczyła od niego, jak gdyby ją spoliczkował i przygwoździła go morderczym spojrzeniem.

- Mężczyzna, z którym się kochałam, wypożyczył kasety wideo i nauczył się dla mnie tańczyć. Oglądał ze

mną nocą gwiazdy na placu zabaw. Opowiedział
mojemu bratu mnóstwo ciekawych historii o owadach.
Myślałam, że to on był ze mną w hamaku mniej więcej
godzinę temu. Chcesz powiedzieć, że się myliłam?

Gere zamknął oczy i odetchnął głęboko.

- Byłem beznadziejnie głupi, prawda?

Shelley nie miała najmniejszego zamiaru przeczyć
tej opinii.

- Przeszedłem piekło - powiedział - umierając ze
strachu, iż odkryjesz, że nie jestem tamtym facetem.
Bałem się, że obudzisz się ze snu i przestaniesz...

- Co przestanę? - spytała cicho.

- Pragnąć mnie. Kochać się ze mną.

- Dlatego że nie masz na sobie wyjściowych ciu-
chów i modnie uczesanych włosów? Czy to znaczy, że
chcesz się ze mną kochać tylko wtedy, gdy jestem
ubrana w ekstrawaganckie ciuszki?

- Jestem po prostu - powiedział Gere, ujmując ją
za brodę i zmuszając, by spojrzała na niego - niedo-
świadczony i niepewny w stosunkach z kobietami.

Czy sposób, w jaki na mnie patrzysz, oznacza, że
mnie kochasz? - myślała gorączkowo Shelley. Cze-
kała, pełna nadziei, pragnąc usłyszeć te magiczne
słowa.

- Czy wszystko popsuję? - spytał w końcu.

Shelley uśmiechnęła się i pochyliła do przodu,
kładąc mu ręce na ramionach.

- Pocałuj mnie, a przekonamy się.

Gere zamierzał być delikatny i czuły, ale jak zwykle
smak jej warg wzbudził w nim głód, który niełatwo
zaspokoić. Otoczył ramionami jej szyję i pociągnął na
siebie, kładąc się na plecach i prostując nogi. Hamak
spowił ich niczym kokon. Shelley rozchyliła zaprasza-
jąco wargi i zatarcili się w pocałunku.

- No i jak? - spytał po chwili.

- Myślę, że właśnie przetrwaliśmy nasz pierwszy kryzys - odrzekła głosem cichym jak westchnienie.

Leżeli przez pewien czas spokojni i zadowoleni. Nagle Shelley wsparła się na rękach i spojrzała z góry na twarz Gere'a.

- Przypomniałam sobie właśnie, że została mi jeszcze jedna niespodzianka z zabawy.

- Ta w lodówce?

- Mhm. Myślę, że to bardzo odpowiedni czas na nią.

- A ja myślałem, że to bardzo odpowiedni czas, żebyś mnie znowu pocałowała.

- Nienasycony człowieku! Jeśli jeszcze raz cię pocałuję, moje wargi będą w opłakanym stanie. Nie, teraz niespodzianka.

- Mam nadzieję, że to lody - powiedział Gere, gdy Shelley gramoliła się ostrożnie z hamaka. Nagle uśmiechnął się pożądliwie. - Boże, wprost uwielbiam tę koszulkę.

Idąc za jego wzrokiem, Shelley spostrzegła, że przód koszulki przekrzywił się i przez powiększone otwory po obciętych przez Gere'a rękawach widać jej piersi. Poprawiła ją i burknęła:

- Nie, to nie lody. I kropka!

Nie było jej przez dość długi czas, aż wreszcie usłyszał, jak woła:

- Zamknij oczy i czekaj. Nie podglądaj.

- Mogę czasem zachowywać się głupio, ale jestem uczciwy!

- Możesz już patrzeć. - Stała tuż przed nim. - Widzisz? To nie są lody.

- Tort! - powiedział, starając się wykrzesać z siebie odrobinę entuzjazmu.

- To jest Tort-Na-Twojej-Twarzy! - zawołała, mierząc dokładnie. - To za to, że pomyślałeś, iż kochałam się z tobą z powodu twoich modnych ciuchów!

Plując i prychnając, Gere otarł z oka bitą śmietaną. Zimny, lepki krem z wysepkami pokruszonego złocistego ciasta spływał mu po twarzy, kapał z brwi.

Shelley wybuchnęła śmiechem. Wyglądał tak zabawnie, tak absurdalnie. Ale gdy na nią spojrział, z jego oczu wyzierała chęć mordy.

Uśmiech spętał z jej warg, mimo woli cofnęła się o krok. Był taki duży, taki silny, taki... wściekły.

- Gere? - wymówiła słabym głosem. - Ty... masz chyba poczucie humoru?

Odpowiedziało jej groźne milczenie. I mars na czole.

- Odezwij się do mnie, Gere. Przecież to tylko żart. - Spróbowała się roześmiać, po czym znów spoważniała. - Jeśli jesteś zły, jakoś temu zaradzimy. Powiedz mi tylko, co w tej chwili myślisz.

- Myślę - odrzekł dramatycznym tonem, zeskrobując garść kremu z policzka i rozsmarowując go na twarzy Shelley - że właśnie udało nam się przetrwać drugi kryzys.

ROZDZIAŁ

11

Po wyjściu Shelley Gere zadzwonił do Kelsey.

- Jej wcale nie przeszkadza, że jestem taki, jaki jestem - powiedział.

- Zapytałeś ją o to wprost, Gere? - spytała zdziwiona Kelsey.

- Samo jakoś tak wyszło/Sytuacja była raczej dość zabawna. Powiedziałem jej, że nie mogę się z nią zobaczyć z powodu okresu godowego ciem, a ona pomyślała, że ja nie chcę się z nią widzieć.

- Szybko wyciąga wnioski.

- Nie bądź taka złośliwa przez cały czas! Myślała, że być może mam kogoś innego. Dlatego zakradła się do mnie przez płot, zamiast zatrąbić.

- Twoje życie z pewnością stało się ciekawsze, od kiedy poznałeś tę kobietę.

- Zgadza się - mówił dalej Gere, nie zwracając uwagi na ironiczny ton siostry - że nie powinniśmy się spieszyć, ponieważ wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyliśmy się nawet dobrze poznać.

- Powiedziała ci to, gdy już przeszła przez ten płot?

- Och, znacznie później. Gdy już zmyliśmy bitą śmietaną. - Uśmiechnął się do siebie na to wspo-

umienie. Gdyby tylko Kelsey wiedziała, jak interesujące stało się jego życie!

- Bitą śmietaną? - powtórzyła Kelsey, chichocząc.
- Czy nie nabijasz mnie w butelkę, braciszku?

- Z tortu.

- Upiekła dla ciebie tort? - spytała z zachwytem Kelsey.

- Nie. Rozsmarowała mi go na twarzy.

- No i kto tu jest złośliwy?

Gere zignorował jej zaczepkę.

- Rozmawialiśmy bardzo długo na temat jej wątpliwości. Martwiło ją, że się różnimy, ale miała na myśli raczej mój doktorat niż co innego.

- Doktorat?

- A właściwie dwa. I Haa-vaad. Ona nie ma dyplomu.

- Ho-ho-ho! Powtórz to jeszcze raz. Czyżbym słyszała, że mój brat, Garrick Lloyd Booth, celowo przedrzeźnia wymowę swojej Alma Mater?

- Powinnaś usłyszeć, jak to wymawia Shelley. Jest urocza.

- Z każdą chwilą bardziej ją lubię. - Z głosu Kelsey zniknęła ironia.

- Pokochasz ją - powiedział Gere. - Tak jak ja.

Kelsey milczała przez dłuższą chwilę.

- Jesteś tego pewny, Gere?

- Z każdą minutą pewniejszy.

- Czy jej to powiedziałeś?

- Niezupełnie. Ale myślę, że ona wie. Jest... domyślna.

- Zdawało mi się, że w poprzedniej rozmowie użyłeś określenia „stuknięta”.

- Stuknięta to zbyt mocne słowo.

- Gdybym była na twoim miejscu - doradziła poważnie Kelsey - powiedziałabym, co czuję. Kobiety lubią o tym słuchać, zwłaszcza jeśli mają intuicję. Jest im to potrzebne.

- Kelsey?

- O co chodzi?

- Ona twierdzi, że marzyciel może być praktyczny, a naukowiec może nauczyć się marzyć. I, Kel...

- Hmm?

- Powiedziała mi, że mnie kocha.

Gere wstrzymał oddech, czekając na reakcję siostry.

- Czuję, że ona będzie dla ciebie bardzo dobra.

- Już była - odpowiedział Gere, uśmiechając się radośnie.

- Myślę więc, braciszku, że masz coś do zrobienia.

- Tak! - Kelsey nie musiała podpowiadać mu, co ma robić. Przyznał się wreszcie wobec siebie do tego, o czym wiedział przez cały czas, że jest po uszy zakochany w Shelley. - Kelsey? - powiedział cicho.

- Tak?

- Dziękuję. Za... wszystko. Dalej siedziałbym sam w tych lasach, gdybyś mi nie pomogła.

- Od czego ma się siostrę? - W jej głosie zabrzmiały podejrzane tony.

- Co się stało? - spytał Gere.

- Nic. Jestem po prostu głupią, małą siostrzyczką.

- Polubisz ją.

- Wiem - prychnęła Kelsey. - Będziesz z nią bardzo szczęśliwy, a ja nie stracę brata, lecz zyskam siostrę.

- O co więc chodzi?

- Po prostu wprawiam się przed ślubem! - odpowiedziała. - I zamierzam odwiesić słuchawkę, za nim całkiem się rozryczę!

Tak czy owak Gere zamierzał pójść za radą siostry i powiedzieć wreszcie Shelley, co do niej czuje.

Następnego dnia, w poniedziałek, gdy Shelley przywozła korespondencję, czekał na nią z długą różą przed skrzynką na listy.

- Ja też cię kocham - oznajmił, całując ją czule.
- Och, Gere! - Łzy napłynęły Shelley do oczu.
- Czemu mi to mówisz, gdy jestem taka spocona, w dodatku mam jeszcze mnóstwo listów do rozwiezienia?

- Ponieważ nie mogłem czekać ani chwili dłużej.
- Teraz ty jesteś sentymentalny i impulsywny!
- Może wpadniesz do mnie wieczorem i pomożesz mi odegrać rolę swata wobec moich ciem?

Shelley jęknęła, jak gdyby zadał jej fizyczny ból.

- Co się stało?
- Nie spodziewałam się, że mnie zaprosisz. Umówiłam się z Maggie na kolację. - Po chwili przykrego milczenia dodała: - Może wybrałbyś się z nami?

- Raczej nie. Zresztą będę wolny dopiero późnym wieczorem.

Znowu zamilkli.

- A może wpadniesz w drodze do domu. Zjedlibyśmy - uśmiechnął się figlarnie - tort lub ciokolwiek.

- Będzie już bardzo późno.
- A jutro?
- Kto wie? - droczyła się z nim Shelley, pewna, że oboje wiedzą, iż oznacza to: „Tak, tak, tak!”

We wtorek Gere zajął dogodny punkt obserwacyjny, z którego zamierzał przyglądać się reakcji Shelley na to, co zostawił na ziemi obok skrzynki: zwinięty koc, kosz piknikowy oraz butelkę wina, na której zawiesił kartkę z napisem: „Dziś wieczorem”.

Nie dane mu było się dowiedzieć, jak zareagowała by Shelley, ponieważ to nie jej dżip zatrzymał się przy bramie. Podbiegł szybko do listonosza, zanim zdążył odjechać.

- Gdzie jest Shelley? - spytał.

- Shelley? - Listonosz był bardzo młody i schludnie ubrany. Zaskoczony niespodziewanym pytaniem, wygadał się: - Shelley nie mogła dzisiaj pracować. Jej dżip został kompletnie rozbity.

- Rozbity?

- Tak. Musiało to źle wyglądać. Wezwali helikopter i w ogóle.

Gere poczuł serce w gardle.

- Helikopter?

- Tak. Latający ambulans.

- Z którego szpitala?

- Chyba ORHS.

- ORHS?

- Tak. Orlando Regional. Tam zwykle odwożą rannych.

- Gdzie to jest? - zawołał przez ramię Gere. Pędził już w stronę domu. Musiał zamknąć psy i odryglować bramę...

- Słucham?'

- Jak się tam dostać?

- To centrum Orlando. Ale...

Droga do szpitala zajęła Gere'owi pół godziny, co stanowiło absolutny rekord. Jadąc, powtarzał przez cały czas wmyślach: „Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.”

Gdy wreszcie znalazł się w szpitalu, jego zdenerwowanie osiągnęło zenit. Nie zarejestrowano przyjęcia żadnej Shelley Peters, ale rejestratorka poradziła mu, żeby spytał na ostrym dyżurze. Nawet przy kom-

puteryzacji może się zdarzyć, że, zwłaszcza nocą, pacjent nie zostaje od razu wciągnięty do wykazu.

Odczekał długą chwilę w kolejce tylko po to, by się dowiedzieć, że tu również nic nie wiedzą o Shelley Peters. Chciał już zadzwonić do urzędu pocztowego, czy tam czegoś nie wiedzą, gdy rejestratorka zauważyła nagle sanitariusza i przywołała go:

- Hej, Reggie! Pracowałeś wczoraj wieczorem, prawda?

- Tak. Nosem już się podpieram przez te podwójne dyżury.

- Czy helikopter przywiózł kogoś z wypadku pocztowego dżipa?

- Tak. W ciężkim stanie.

- Co się stało?

- Wezwali chirurga. Rodzina czeka w pokoju obok sali operacyjnej.

Gere wymamrotał podziękowanie i puścił się pędem do poczekalni. Gdy wszedł do zatłoczonego pokoju, zdał sobie sprawę, że nie zna nikogo z rodziny Shelley, oprócz Kevina.. ..

- Czy ktoś z państwa zna Shelley Peters? -zawołał.

- Gere?

Pomyślał, że wyobraźnia płata mu figle. Nie mógł słyszeć jej głosu. Nie mógł jej widzieć. Leżała przecież nieprzytomna na sali operacyjnej. Nie mogła iść ku niemu z drugiego końca pokoju.

-Jakim sposobem..?-spytała, przytulając się do niego z całej siły. - Och, Gere, jak bardzo się cieszę, że cię widzę. To takie straszne. Stanley znajduje się na sali operacyjnej już od ośmiu godzin. Barbara jest strzępem człowieka. Próbowaliśmy z Maggie uspokoić ją, żeby nie straciła dziecka. Nie wiem, jak ona to zniesie.

- Stanley? - spytał zdumiony Gere, wciąż nie mogąc się pozbierać.

- Musiał wczoraj pracować do późna, więc Barbara poszła z nami na kolację. Złapał gumę w samochodzie i pożyczył mojego dżipa, by kupić dętkę na stacji benzynowej. Nie wiedzą, czy z tego wyjdzie.

- Twój zmiennik powiedział mi, że twój dżip... Myślałem, że to ty - powiedział.

- Myślałeś, że ja...

- Najpierw widziałem cię ranną i zakrwawioną. Potem pomyślałem: „Nie, to nie mogło się zdarzyć”. Zacząłem sobie wyobrażać cię żywą i zdrową. Usiłowałem wizualizować twój uśmiech.

- Naprawdę? Podczas jazdy?

- Nie zamykałem oczu, tylko raz, ale otworzyłem je szybko, gdy zatrąbiła na mnie ciężarówka.

- Stanley Curtis?

- Chodźmy, to pielęgniarka - powiedziała Shelley, ciągnąc Gere'a za rękę. - Może dowiemy się czegoś nowego. Och, Gere, mówiła nam wcześniej, że żebro przebiło mu płuco, ma uszkodzoną wątrobę i rezerwaną śledzionę. Gdyby nie był przypięty pasem, zginąłby na miejscu.

Barbara, podtrzymywana przez Maggie, podeszła do nich wraz ze starszą kobietą, zapewne matką Stanleya.

- Jest już po operacji - powiedziała pielęgniarka.

- Wszystko będzie dobrze. Doktorowi udało się „zacerować” wątrobę, musiał jednak usunąć śledzionę.

- A płuco? - spytała gorączkowo Barbara.

- Mówiłam już państwu wcześniej, że doktor usunął odłamek kości, który wbił się w płuco. Z pewnością poinformuje panią szczegółowo o wszystkim, ale jeśli nie nastąpią jakieś nieprzewidziane komplikacje, Stanley powinien całkowicie wyzdrowieć.

Barbara, Maggie oraz rodzina Stanley a rzucili się sobie w objęcia. Barbara wybuchnęła płaczem.

- Stanley może czasem zachowywać się jak głupek, ale nie umiem wyobrazić sobie życia bez niego.

- Dzięki Bogu - wyszeptała Shelley, tuląc się do Gere'a.

- Cieszę się, że nic mu nie będzie - powiedział Gere. - Chcesz porozmawiać?

- Jestem już tutaj niepotrzebna - skinęła głową Shelley. - Dowiem się od Maggie, co powiedział doktor.

Gere zaprowadził ją w kątek poczekalni, gdzie było stosunkowo mało ludzi.

- Pocałuj mnie.

W pocałunku znalazły odbicie wszystkie przeżycia minionych kilku godzin. Shelley nie miała ochoty puścić Gere'a, co zresztą nie stanowiło problemu, ponieważ on nie zamierzał ruszyć się stąd bez niej. Gdy pocałunek się skończył, przytuliła się do jego piersi, wsłuchując w bicie serca.

- W krytycznych sytuacjach - powiedział Gere, głaszcząc ją po włosach - wszystko widzimy ostrzej. Nagle człowiek wie, co jest naprawdę ważne, wszystko inne usuwa się w cień. Przeżyłem jedną z takich chwil, gdy sądziłem, że zostałam ranna. Byłem w stanie myśleć jedynie o tym, że nie chcę cię stracić. Nie mam już żadnych wątpliwości, Shelley. Zrobię wszystko, co zechcesz i na co jesteś gotowa. Małżeństwo. Dzieci. Tylko... - Przerwał i przytulił ją jeszcze mocniej. - Nigdy mnie nie opuszczaj.

Shelley zdała sobie sprawę, że są to oświadczenia. Być może dość niezwykle, ale taki też był mężczyzna, w którym się zakochała.

- Czy ten uśmiech oznacza „tak”? - spytał głosem pełnym nadziei i miłości.

- Właściwie nie jestem pewna, jakie padło pytanie, ale odpowiedź brzmi „tak”.

- Kocham twój uśmiech - powiedział, obrysowując czubkiem palca kontur jej ust. - Uwielbiam też całą resztę, ale to właśnie twój uśmiech podnosi mnie na duchu, gdy jest mi źle.

- I powinien - rzekła Shelley - bo jest to czarodziejski uśmiech, który zmienił żabę w księcia.

- Myślę, że uczynił to raczej pocałunek.

Przypomniała sobie chwilę, gdy pocałował ją pod gwiazdami na placu zabaw.

- Myślę, że był to pocałunek, który mnie zmienił w księżniczkę - powiedziała, wznosząc ku niemu twarz. - Czy tym razem chcesz przemienić mnie w boginię?